

„ORZEŁ BIAŁY“
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

B.D.I.C



ORZEŁ BIAŁY SYRENA

MARZEC
1966

March 1966

Price 3/6

Cena 3/6

\$ 0.50; 2.50 F.

Polska walcząca o wolność

Nr 20/1167

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



KAPLICA ZYGMUNTOWSKA NA WAWELU

FP 2156

fraszki

Kiepska miara

Gdyby każdemu dać według zasługi,
Nic byśmy nie mieli ponad własne długi.

Olbrzymi postęp

Wzrost kultury sowieckiej uzna i oszczerca:
Przecież nie zatłuczono Arzaka i Terca.

Najwłaściwsza pora

Wiara w siebie
Najbardziej jest przydatna na własnym pogrzebie.

SZYBKIE



PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI

TAZAB

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W.7.

Tel. FRE 3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100 East 10th St., N. York 3. NY.

WE FRANCJI:

PACZKI do POLSKI i ROSJI

LEKARSTWA!

LEKARSTWA!

ELKA S.A.R.L. 20 rue Legendre,
Paris 17-e.

W NUMERZE:

| | |
|---|----|
| * * * Jedność etyki | 1 |
| Zdzisław Stahl: De Gaulle wobec Przymierza Atlantyckiego, Rosji i Europy „politycznej“ | 2 |
| Lidia Ciołkoszowa: Terc i Arzak | 4 |
| Irena Sas-Komarnicka: Przed spotkaniem w Mekce | 5 |
| Zbigniew Grabowski: Twarze Hiszpanii (II) | 6 |
| Józefa Mękarska: Rozmieszczenie Polaków poza Polską | 9 |
| Kazimierz Glabisz: Nierówne szanse walki między wywiadami | 12 |
| Tadeusz Norwid: Wojny lokalne a broń atomowa | 14 |
| Aleksander Stambrowski: „Socjalistyczne“ prawo cywilne | 16 |
| Z. S.: Sovietica — XXIII Kongres Moskiewski pod znakiem restalinizacji | 18 |
| Stefan Wóycicki: Rumuńska droga ku niezależności gospodarczej oraz Długa i trudna droga | 20 |
| Józef Garliński: Pod Wilnem (fragment z nowej książki) | 21 |
| A.Ch.: Otwarcie SPK w Austrii | 23 |
| Mieczysław Paszkiewicz: Pochwała wyrozumiałości | 27 |
| Hilda Jankowska: Ambicje i zawody Anny Jagiellonki | 31 |
| Paula Powileńska: Pamiętniki królowej piękności | 33 |
| Dr Michał: Zawał serca | 34 |
| Jan Ostrowski: Prakseologia Tadeusza Kotarbińskiego | 35 |
| Józef Żmigrodzki: „Od Wiednia do Maciejowic“ | 37 |
| Zygmunt Stermiński: A teraz w Kanadzie... | 39 |
| St. B.: Nagroda literacka dla gen. Maczka | 40 |
| J. O.: Życie kulturalne polskiego Londynu | 41 |
| Stefan Legeżyński: A jedwab cicho szeptał... | 43 |
| Czesław Dobek: Z notatnika szydery | 45 |
| Jan Claude: Kolanka, Kolanka | 46 |



B.D.I.C

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

Nr 20/1167

MARZEC 1966

Rok XXVI

JEDNOŚĆ ETYKI

Kaplica zygmuntońska na okładce tego numeru. Dzieło mistrzów włoskich tak mocno i nieodłącznie wplecione w polski „wiek złoty“. Widok znany każdemu Polakowi i jak najbardziej odpowiednia ilustracja części naszego dorobku milenijnego. A na tej stronie surowe piękno andalu-

zyjskiego Carrera del Darro z kraju tak bardzo od Polski innego jakim jest Hiszpania.

Nie chodziło nam o symbolikę w tym doborze. Symbolika, jeśli można się jej dopatrzeć, jest dziełem przypadku. Pomnik architektury iberyjskiej jest tylko ilustracją ostatniego z esejów o

„Ojczyźnie Europie“ pióra Zbigniewa Grabowskiego, którymi raczyliśmy czytelników od szeregu miesięcy. „Twarze Hiszpanii“ zamykają ten cykl, który ukaże się niezadługo w wydaniu książkowym, w kształcie znacznie poszerzonym.

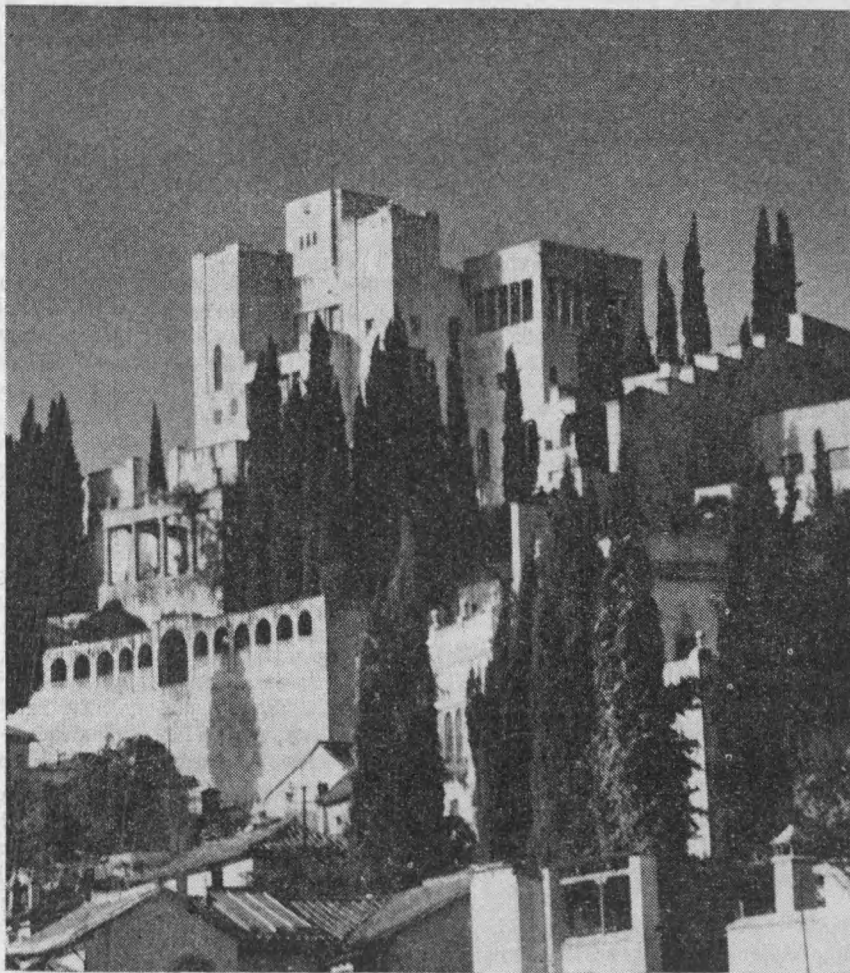
Niemniej przypadek, czy zbieg okoliczności, leży zwykle u podstawy nowych prądów myślowych i nowych dokonań historycznych. Żyjemy dziś pod znakiem „zjednoczenia Europy“. Dla niektórych zjednoczenie to jest już „faktem psychicznym“. Dla innych jest to koncepcja przyszłości. Są tacy, którzy patrzą na nie z rezerwą, są i tacy, którzy mówią o niej z entuzjazmem.

Z entuzjazmem mówi o niej młodzież we wszystkich bodaj krajach europejskich. Entuzjazm ten unosi się beztrudno ponad granicami państwowymi. Odżegnuje się, równie beztrudno, od starych uprzedzeń i niechęci. Co ważniejsze, przenika także poprzez mur policyjno-ideologiczny, jaki oddzielił Europę środkową i wschodnią od zachodniego rdzenia europejskości. Jeśli tak, to dążenie do jedności kontynentu europejskiego opuściło już dziedzinę marzeń i weszło w stadium realizacji.

Jak i czego trzeba będzie dokończyć zanim realizacja nastąpi — nikt nie umie dziś powiedzieć. Koncepcje polityczne i gospodarcze, zawiązki przyszłych wspólnych instytucji, spory i swary między koncepcjami, mnożą się z dnia na dzień i będą się dalej mnożyły. Nie odwróci to toku historii, co najwyżej zwolni lub przyspieszy jej tempo.

Jedność nie oznacza jednolitości, upodobnienia we wszystkim i pod każdym względem. Biada takiej Europie, która jedność swą sprowadziłaby do upowszechnienia pseudo-kultury podmiejskiego osiedla z jednakową w każdym kraju reklamą proszku do prania. Z bogactwa przeżyć i dokonań minionych pokoleń nie można zrezygnować, nie można się od niego uwolnić, tak jak nie można się uwolnić od klimatu kraju, w którym się mieszka. Jedność polega na zdolności zrozumienia różnic.

(Dokończenie na str. 44)



DE GAULLE WOBEC PRZYMIERZA

PO grudniowych wyborach prezydenckich we Francji wysunięto z niektórych stron przewidywania, że generał de Gaulle — nie przeszedłszy w pierwszym głosowaniu i zmuszony do poddania się balotażowi — w poczuciu osłabienia swej pozycji zmieni stanowisko odnośnie do najbardziej spornych punktów realizowanej polityki. Spodziewano się więc przede wszystkim, że zmieńczy on nacisk na rewizję Traktatu Północno-Atlantyckiego, (NATO) i że mniej stanowczo będzie podtrzymywał francuskie prawo weta w Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej.

Przewidywania te okazały się błędne, podobnie zresztą, jak przesłanka, na której je opierano. W rzeczywistości, polityka de Gaulle'a w rezultacie głosowań grudniowych wcale nie osłabła obiektywnie, ani tym bardziej w jego własnym, z pewnością mało zależnym od zewnętrznych okoliczności mniemaniu. Uzyskał powyżej 55 procent głosujących, co jest, jak na głowę państwa czy szefa rządu w zachodnich demokracjach, nie tylko dosyć, ale dużo. Brytyjski premier, albo prezydent Stanów Zjednoczonych mają często za sobą odsetek głosów, oddanych w wyborach, znacznie mniejszy, a nikt nie kwestionuje wskutek tego ich pozycji.

Przeciwnie nawet, ogromne większości uzyskują na ogół jedynie dyktatorzy w systemach totalnych, ostatnio komuniści ze swoimi monopolicznymi listami wyborczymi, albo niektórzy władcy nowokreowanych „demokracji” afrykańskich. Jak słusznie to podkreślił po wyborach korespondent paryski „Orla”, brak większości przyniatającej de Gaulle'a i konieczność drugiej tury wyborczej, to były dowody demokratyczności jego rządów, które w istocie umocniły jego pozycję. Dodać też należy, że innym kandydatom dano podczas wyborów równe prawa i zupełną swobodę, czyli obiektywne szanse mieli wszyscy jednakże.

TAK, ALE ZREWIDOWANE

Sprawa stosunku de Gaulle'a do Przymierza Atlantyckiego wymaga dokładnego oświetlenia nie tylko dlatego, że jest ważna w ogóle i dla polityki polskiej. Ponadto, stosunek ten bywa często przez niechętnych prezydentowi Francji komentatorów, głównie anglo-amerykańskich, przedstawiany jednostronnie lub wręcz fałszywie. Z kolei, ulegają tym fałszywym sugestiom niektórzy mniej krytyczni komentatorzy i czytelnicy polscy. W tych niechętnych komentarzach czyta się zwykle, że de Gaulle jest przeciwnikiem Przymierza Atlantyckiego albo, że chciał je zreformować w kierunku zaprowadzenia „dyktatoriatu” amerykańsko-anglo-francus-

kiego, przy czym o tym „dyktatoracie” pisze się z należyтым „demokratycznym” oburzeniem.

Jak przedstawia się ta sprawa ściśle i obiektywnie? Otóż, od początku swoich powrotnych rządów, czyli od 1958 r., de Gaulle wprawdzie konsekwentnie domagał się rewizji postanowień tego przymierza, mianowicie Traktatu Północno-Atlantyckiego, równocześnie jednak podkreślając, że jest dalej jego zwolennikiem i stoi na stanowisku solidarności Zachodu w stosunku do zagrożenia ze strony komunizmu. Projektowana ta rewizja wszakże, jako nieodpowiadająca interesom Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii, ponieważ umniejszyć miała uprzywilejowaną rolę ich obu, określana bywała od początku, jako sprzeczna z samym Przymierzem. Wbrew więc oczywistemu sensowi tego, co de Gaulle zawsze mówił, prasa anglo-amerykańska pisała z reguły, że występuje on przeciw Przymierzowi Atlantyckiemu, że chce je zerwać i opuścić.

Podobnie było po ostatniej wypowiedzi prezydenta Francji, pierwszej od grudniowych wyborów oraz jego re-elekcji na nowe siedmioletnie. Znowu czyta się przeważnie, jakoby de Gaulle wystąpił przeciw temu przymierzowi i zapowiedział, że Francja je opuści, podczas gdy treść jego oświadczenia w tej sprawie była inna. Fałszywi komentatorzy, którym nie brak inteligencji, musieli to rozumieć i brakło im chyba dobrej woli.

Na konferencji prasowej w dniu 22 lutego 1966, odbytej jak zwykle w pałacu Elizejskim, prezydent powiedział w dosłownym przekładzie, następujące zasadnicze, długie, ale niemniej jasne zdanie: „A więc, podczas gdy Francja uważa, że jeszcze dzisiaj jest użyteczne dla bezpieczeństwa jej samej i Zachodu, aby była ona sprzymierzona z pewną ilością państw, szczególnie z Ameryką, dla obrony ich oraz swojej w wypadku agresji dokonanej przeciw jednemu z nich; podczas gdy deklaracja złożona wspólnie odnośnie do tego w postaci traktatu przymierza atlantyckiego, podpisanego 4 kwietnia 1949 pozostaje w jej oczach zawsze ważna, Francja uznaje zarazem, że środki zastosowania, powzięte następnie nie odpowiadają już temu, co uważa ona za zadawalające dla niej w nowych warunkach”.

Wymieniając te nowe warunki, de Gaulle wspominał o ewolucji stosunków na wschodzie Europy, w wyniku

których Zachód — jego zdaniem — nie jest już tak zagrożony. Wskazał dalej na fakt, że Ameryka — nie posiadająca już teraz monopolu bomby wodoroowej i sama zagrożona nią ze strony Rosji — mogła by nie zdecydować się już dzisiaj na jej użycie w obronie Europy, co czyni dla Francji koniecznym mieć własną broń atomową. Podkreślił wreszcie, że zaangażowanie się Ameryki w Azji, może zmuszać w przyszłości jej europejskich sprzymierzeńców do mieszania się w wojny, obce ich interesom. Kończąc omawianie tego punktu, prezydent jeszcze raz stwierdził: „Znaczy to, że nie chodzi bynajmniej o zerwanie, lecz o potrzebną adaptację”, rozumie się Przymierza Atlantyckiego. Wszystko to jest na tyle jasne i wyraźne, że komentarzy nie wymaga.

DE GAULLE I ROSJA

Uważam natomiast za potrzebne omówić stosunek de Gaulle'a do Rosji, który jest często i słusznie, ale jednostronnie przez niektórych publicystów — także polskich — krytykowany. Mam na myśli tych, którzy zarczucają prezydentowi Francji skłonności prorosyjskie, przechodząc równocześnie milcząco do porządku nad tymi samymi tendencjami, ujawnianymi od dawna i w znacznie większym stopniu, zwłaszcza przez Stany Zjednoczone, a za nimi przez Wielką Brytanię.

I tak, słusznie krytykując zbyt optymistyczny ostatecznej wypowiedzi de Gaulle'a o zmniejszonym zagrożeniu Zachodu ze strony Rosji, nie wolno zapominać, że analogiczna, jeszcze dalej idąca i znacznie dawniej głoszona jest teza Waszyngtonu i Londynu. Nie wolno też zapominać, że to przecież Stany Zjednoczone nad głowami swoich europejskich sprzymierzeńców prowadziły rozmaite rokowania z Moskwą, i że to Biały Dom nawiązał z Kremlem „czerwony” drut bezpośredniego połączenia, symbolu współdziałania obu super-mocarstw, które kiedyś w Jałcie dogadały się co do podziału Europy. Stwierdzając więc z żalem, niepomysłny fakt przystąpienia Francji do wysięgu załotów do Moskwy, trzeba sobie zdawać sprawę, że Francja tego nie zainicjowała.

Należy też zanotować, że de Gaulle uprzejmie, ale wstrzemięźliwie i chłodno wypowiedział się 22 lutego o swojej planowanej podróży do stolicy sowieckiej. Na pytanie jednego z dziennikarzy, podkreślił jej formalny charakter jako rewizyty. „Jeśli udaję się do Rosji, to przede wszystkim, aby oddać temu

ATLANTYCKIEGO, ROSJI I EUROPY

wielkiemu krajowi wizytę, która jego rząd złożył nam w osobie p. Chruszczowa. Poza tym, oby porozmawiać (causer), wymienić poglądy i nie będę mógł wysnuwać wniosków przed powrotem z tej podróży“.

Niektórzy krytycy de Gaulle'a nazywają jego postulaty w sprawie Przymierza Atlantyckiego, powodujące wewnętrzne spory i możliwy kryzys w jego łonie, francuskim „prezenterem dla Moskwy“. Jest to znowu niesprawiedliwe lub conajmniej jednostronne. Można by nazwać takim samym prezentem anglo-amerykańską niechęć do reorganizacji tego przymierza, zrównania Francji pod względem uprawnień z dwoma czołowymi mocarstwami poza europejskimi i zażegnania tą drogą kryzysu. Wręcz obłudny jest też stawiany w imię demokratycznej równości zarzut, że de Gaulle chciałby ustalenia anglo-amerykańsko-francuskiego dyrektoriatu w NATO. Przecież obowiązuje tam od początku faktyczny dyrektoriat amerykańsko-angielski! Nazywany jest „specjalnym“ stosunkiem między Stanami Zjednoczonymi a W. Brytanią, oboma „po angielsku mówiącymi narodami“.

PRZECIWI, PONAD — ZA MIĘDZYPAŃSTWOWĄ STRUKTURĄ

W sprawie charakteru politycznego „europejskiej szóstki“ zwanej formalnie Europejską Wspólnotą Gospodarczą, de Gaulle podczas ostatniej konferencji prasowej nie powiedział rzeczy zasadniczo nowych. Nie osłabił zwłaszcza — wbrew wyrażanym po wyborach z niektórych stron nadziejom — swego sprzeciwu wobec projektów super-państwowej struktury nad Wspólnotą. De Gaulle przemawiał zresztą już po odniesionym przez Francję, podczas styczniowej konferencji w Luksemburgu, zwycięstwie na tym polu. Inne państwa uznały tam bowiem francuski prawo weta i graniczyły możliwość uzurpowania sobie suwerenności przez Brukselską Komisję Europejską z niemieckim prof. Hallsteinem na czele.

De Gaulle, stwierdzając te pozytywne ze swego punktu widzenia postanowienia luksemburskie, wypowiedział się następnie dość obszernie na temat „organizowania przez państwa swoich kontaktów politycznych“ i co więcej zapewnił, że Francja wszelkie inicjatywy w tym zakresie, wysunięte przez jej partnerów, a szanujące suwerenność państw, przyjmie „pozytywnie i z całym sercem“ (positivement et de grand coeur).

Konsekwentnej więc niechęci do form ponadpaństwowych towarzyszyła w jego słowach tym razem szczególnie ciepła nuta odnośnie do zacieśnienia więzów między państwowych.

Zimniej natomiast, niż przed kilku miesiącami, odniósł się prezydent Francji do W. Brytanii. W jesieni ub. roku podczas kampanii wyborczej wspomniął specjalnie o tym kraju, jako mile widzianym, ewentualnie w EWG, a ostatnio — na odpowiednie pytanie — wymienił Anglię jedynie na czele długiej listy państw, z którymi europejska „szóstka“ powinna się zbliżyć. Niektórzy komentatorzy przypisały tę zmianę faktowi, że ukłon probrytyjski przed wyborami miał być rzekomo koncesją dla probrytyjskich kół opinii francuskiej. Nie wydaje mi się to śluzne, ponieważ de Gaulle motywami tego rodzaju z reguły się nie kieruje. Przypuszczam raczej, że postępujące uzależnienie się socjalistycznego rządu brytyjskiego, Harolda Wilsona od Stanów Zjednoczonych jest głównym powodem oziębienia tonu ze strony gospodarza Pałacu Elizejskiego w stosunku do W. Brytanii.

DYSTANS AMERYKI

Wypowiedzi de Gaulle'a zostały przyjęte w Stanach Zjednoczonych bez większego poruszenia i raczej obiektywnie. Przede wszystkim ujawnił się ten dystans, który dzieli obecnie zainteresowania amerykańskie od spraw europejskich. Sprawy azjatyckie, wojna wietnamska — oto, co skupia dzisiaj główną uwagę i uczucia amerykańskiego społeczeństwa, prasy i opinii.

Konferencja prasowa prezydenta Francji przypadła na powrót Humphrey'a z półkuli Azji, z Wietnamu, Syjamu itd., skąd Amerykanie dopatrują się obecnie największego zagrożenia i z czego wiceprezydent Stanów rozpoczął zdawać swoim rodakom sprawę. Ponadto, Waszyngton — niestety — sam od dawna uważa sytuację europejską za ustabilizowaną i zagrożenie ze strony sowieckiej — w przeciwieństwie do chińskiego — za zmniejszone, czyli analogiczne poglądy de Gaulle'a raczej mu odpowiadają.

Obiektywnie też i rzeczowo zostały przyjęte w Waszyngtonie sugestie prezydenta Francji, dotyczące rokowań w sprawie reorganizacji Przymierza Atlantyckiego. Stwierdzono od razu, że kwestia dowództwa nad amerykańskimi jednostkami wojskowymi, stacjonującymi na francuskim terytorium może być przedmiotem rokowań. Zwrócono uwagę, że analogiczne jednostki i bazy w W. Brytanii są od dawna pod dowództwem brytyjskim, czyli podobne załatwienie sprawy nie natrafiło by na szczególne trudności. Wynika z tych reakcji od tamtej strony oceanu, że opinia amerykańska została znacznie mniej dotknięta sugestiami de Gaulle'a, niż niektórzy francuscy czy brytyjscy przeciwnicy jego rzekomego „antyamerykańskiej“ polityki.

Wydaje mi się, że szczególnie obiektywizm i spokojne, wszechstronne rozważania winniśmy stosunkom między mocarstwami zachodnimi, my, Polacy. Nie patrzmy na nie przez okulary żądnego z tych mocarstw, a natomiast umiemy zachować w ocenie ich polityki własne, wyprowadzone z polskiego stanowiska poglądy i sądy.

Zdzisław Stahl

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

Biurow Podróży: ANGLOPOL TRAVEL, 38, Thurloe Pl., London, S.W. 7.

TERC I ARŻAK

W ROKU 1959 nakładem paryskiej „Kultury“ ukazało się opowiadanie Abrama Terca pt. „Sąd idzie“. Znajduje się w nim scena przesłuchania: przed sędzią śledczym stoi młody chłopiec Sierioża.

— No młody człowieku — powiedział wreszcie śledczy — omówiliśmy szczegółowo wasze poglądy. Należałoby jeszcze sprecyzować — jak się wam udało wejść w kontakt z obcym wywiadem.

Zdawał się zachęcać go całym swym współczującym wyglądem: Nie krępujcie się. Po co ukrywać? Wszyscy tam znajdziemy się. Głupstwo przecież!

— Proszę bez głupich żartów — Sierioża zbladł — Jeszcze nie jestem skazany, jestem oskarżony.

Śledczy uśmiechnął się i rozsunął kotary. Światło dnia było tak czyste, tak przezroczyste, że pragnęło się zaczerpnąć oddech całą piersią.

— Chodź no tu. Słyszysz? Do ciebie mówię.

Zaraz uderzy — pomyślał Sierioża i twarz zrobiła mu się z drewna.

— Spójrz w okno!

Sierioża zobaczył plac, na którym bywał dawniej nie raz, zobaczył wejście do metra, człowieczków, dających weń nura, małe trolejbusy i samochody, w których również jechali ludzie i każdy jechał, dokąd chciał. A z góry padał śnieg, prawdziwy, żywy śnieg.

— Ci wszyscy tam — to oskarżeni. Widziałeś — ilu ich jest?

Śledczy pokazał snujący się pod nimi tłum. Potem pogładził Sieriożę po ostrzyżonej głowie i powiedział pieszczotliwie:

— A ty bracie, już nie jesteś oskarżony. Ty jesteś skazany.

NA JESIENI 1965 roku autor tych słów został w Moskwie aresztowany. Pod pseudonimem Abrama Terca ukrywał się wybitny i utalentowany młody pisarz i krytyk sowiecki Andrej Siniawski. „Kultura“ wydała także trzy inne jego książki. Wraz z Siniawskim aresztowano pisarza Juryja Daniela — pod pseudonimem Mikołaja Arżaka. Opublikował on w wydawnictwie „Kultura“ zbiór opowiadań pt. „Odkupienie“. Aresztowani we wrześniu ubiegłego roku, stanęli przed sądem w Moskwie w dniach 10-14 lutego roku bieżącego, oskarżeni o napisanie antysowieckich utworów i prze-

szmuglowanie ich na zachód w celu opublikowania, a więc o antyrosyjską agitację i propagandę. Atmosfera całej sprawy przypominała kartki opowiadania „Sąd idzie.“

Okres kilku miesięcy od uwiezienia obu pisarzy do ich rozprawy wyznała prasa sowiecka do rozpętania historycznej nagonki przeciw oskarżonym. Z góry przyjęto przesłankę, że są oni winni, a więc jak Sierioża z góry skazani. Ataki „Izwestii“ przypominały artykuły prasy sowieckiej z okresu wielkiej czystki stalinowskiej przeciwko starej gwardii bolszewickiej. Ten sam styl, ten sam język. Dość przytoczyć próbkę; zarzucając aresztowanemu, że poniżyli osobę Lenina „Izwestia“ napisała: „Do jakich bezdennych głębin ohydy stoczył się tak zwany literat, jeśli ob smarowuje swym huli-gańskim piórem imię, które dla nas jest święte.“

Proces sądowy odbywał się również w warunkach, jakie panowały w okresie stalinowskim. Specjalnie wybrano małą salę, aby jak najmniej publiczności dopuścić na rozprawę. Nie dopuszczono przyjaciół oskarżonych, lecz ławy publiczności zapełniono ludźmi dobranymi, z góry źle do oskarżonych nastawionymi, którzy swoim zachowaniem, śmiechem i uwagami dawali wyraz poparcia dla oskarżyciela. Nie dopuszczono na salę rozpraw prasy zagranicznej, sprawozdania zaś z przebiegu rozprawy, podawane przez prasę, radio i telewizję sowiecką były sfałszowane, stronnicze i skierowane przeciw oskarżonym — renegaci i kryminaliści, złapani na gorącym uczynku, oto najczęstsze określenia pod adresem obu pisarzy.

ALE nie wszystko rozegrało się jak za czasów stalinowskich. I te różnice są najbardziej znamienne.

W dniu 5 grudnia odbyła się w Moskwie demonstracja protestu przeciw aresztowaniu obu pisarzy. Pociągnęła ona za sobą dalsze aresztowania w środowisku pisarskim, lecz nie wszystkich one zastraszyły.

Oto na sali sądowej obaj oskarżeni należący do pokolenia całkowicie wychowanego w Związku So-

wieckim, nie przyznali się do winy. Wedle relacji Tassa miał miejsce następujący dialog prokuratora z oskarżonymi: Prokurator „Czy rozumiecie istotę oskarżenia wysuniętego przeciw wam?“ Siniawski: „Rozumiem okarżenie.“ Prokurator: „Czy przyznajecie się do winy?“ Siniawski: „Nie“. Daniel zapytany o przyznanie się do winy odpowiedział: „Nie, ani w części ani w całości“. Jakże odmienne to od scenerii procesów stalinowskich! Obaj pisarze nie dali się złamać, otwarcie mówili, że są niewinni i odrzucali odważnie oskarżenia oraz obelgi. W ostatnim słowie Siniawski bronił nie siebie, lecz wolności wypowiedzi pisarskich.

Podobnie jak w dawnych procesach politycznych, pojawili się na sali sądowej zaufani przyjaciele oskarżonych i złożyli zeznania obciążające. Wybielając siebie, pogrążali obu pisarzy. Ale i tu zdarzył się fakt dawniej niespotykany. Jeden ze świadków przyznał, że czytał książki obu pisarzy; na zapytanie prokuratora skąd je miał, oświadczył, że otrzymał je od dobrego przyjaciela, ale pomimo nalegań, odmówił podania jego nazwiska i przyjaciela nie wydał, choć grozi mu za to kara kilku miesięcy łagru.

Były też i inne różnice, a mianowicie postawa publiczności sowieckiej poza salą sądową. Dawniej zgodnie z wolą rządzących obsypywała ona oskarżonych w procesach politycznych najgorszymi wyzwiskami i obelgami. Teraz niewpuszczeni na salę sądową dziennikarze zagraniczni mieli możliwość przeprowadzenia rozmów, ze zbierającą się przed budynkiem sądowym młodzieżą. Pomimo obecności milicjantów w tłumie, młodzi studenci wypowiadali się jawnie za oskarżonymi, kwestionowali ich winę, mówili z niewiarą o doniesieniach prasy sowieckiej, a nawet domagali się wydania książek obu oskarżonych, by opinia publiczna mogła je osądzić. Taka reakcja kilkanaście lat temu byłaby niemożliwa.

Sąd zasądził Siniawskiego, zgodnie z żądaniem oskarżyciela na siedem lat, a Daniela na pięć lat obozu pracy. Od wyroku tego nie ma

apelacji. Ten barbarzyński wyrok wywołał falę oburzenia i protestów w całym wolnym świecie i — zdaniem dziennikarzy zagranicznych — duże poruszenie w Rosji. Zmusiło to partie komunistyczne w Europie zachodniej do wystąpienia przeciw wyrokowi. Punktem wyjścia tych protestów nie jest jednak szacunek i współczucie dla człowieka, lecz przede wszystkim interesy Związku Sowieckiego. Sekretarz partii komunistycznej brytyjskiej, John Gollan, napisał nawet w swym proteście, że rozumie przyczyny oburzenia jakie w Rosji postępowanie obu oskarżonych wywołało, jednakże twierdzi, że sposób przeprowadzenia całej sprawy przyniósł Rosji Sowieckiej więcej szkody, niż utwory Siniawskiego i Daniela, którzy w Wielkiej Brytanii byli mało znani, dopóki prasa sowiecka swoimi atakami nie nadała im rozgłosu. „Wielu — pisze Gollan — którzy szczerze życzą pomysłowości Związkowi Sowieckiemu patrzą na ten epizod i jego konsekwencje z głęboką troską.“ Ten sam ton odnajdziemy w proteście znanego pisarza komunistycznego Louis Aragona, na łamach oficjalnego organu partii „Humanité“. Aragon uważa, że jeśli władze sowieckie nie zgadzają się z tym, co skazani pisarze napisali, mogli ich obłożyć karą pieniężną, ale „pozbawienie ich wolności za treść powieści lub opowiadania jest tworzeniem precedensu, przynoszącego interesom socjalizmu większą szkodę, niż mogłyby ją przynieść dzieła Siniawskiego i Daniela. Nie należy do nas — pisze Aragon — dyktować wielkiemu i zaprzyjaźnionemu krajowi jak ma postępować, lecz ponosilibyśmy winę ukrywając nasze myśli.“

JAKIE były motywy, które doprowadziły do tego ohydneho wyroku i co chciano przez to osiągnąć? Niewątpliwie proces i wysokie kary mają na celu zastraszenie pisarzy sowieckich. Czy cel ten władze osiągną? Należy wątpić. Na pewno aparat policyjny rozciągnie baczniejszą uwagę nad możliwościami przemycania rękopisów na zachód i możliwe, że na jakiś czas możliwości te pomniejszą i proces przemytu utrudnią. Nie zdołają jednak dążeń tych zlikwidować: już po aresztowaniu obu pisarzy, przestały się na zachód nowe rękopisy.

Ale sprawa ma i inny aspekt, może ważniejszy. W kraju, gdzie czujne oko aparatu sowieckiego śledzi każdy krok obywatela, gdzie posiadanie maszyn do pisania jest pod kontrolą władz, potajemnie krążą z rąk do rąk w odpisach utwory pisarzy sowieckich, których nie przepuściłaby sowiecka cenzura. Tak też było z utworami Siniawskiego i Daniela. Skazanie obu pisarzy ma uderzyć nie tylko w przemyt rękopisów zagranicę, ale także, a może przede wszystkim, w tę niewidoczną literaturę podziemną. Czy to się władzom powiedzie? Niech na to odpowie Walery Tarzis.

Tarzis, pisarz sowiecki, którego za jego twórczość literacką osadzono w szpitalu dla umysłowo chorych, ogłosił zagranicą, pod swym własnym imieniem i nazwiskiem kilka książek, m. i. sławną już powieść „Sala Nr 7“, opartą na przeżyciach pisarza w szpitalu. W czasie procesu obu pisarzy, Tarzis otrzymał pozwolenie na wyjazd do Anglii, poczem po gwałtownych wystąpieniach przeciwko systemowi sowieckiemu, już na ziemi angielskiej, został przez rząd sowiecki pozbawiony obywatelstwa. Tarzis w swych przemówieniach i wywiadach zwracał uwagę na młode pokolenie inteligencji sowieckiej, która przełamała strach, buntuje się i szuka dróg do wolności. W wywiadzie, przeznaczonym dla londyńskiego „Sunday Times“ Tarzis podał do wiadomości tajny manifest stowarzyszenia młodych pisarzy, poetów, malarzy i rzeźbiarzy, występujących pod nazwą SMOG. — Jesteśmy — czytamy w manifestcie — Jest nas mało, ale zarazem wielu. Bo jesteśmy młodym lasem przyszłości, co rośnie w urodzajnej ziemi... Wszystko jest przeciw nam. Ale lud rosyjski jest za nami i z nami. Zwracamy się do wolnego świata, który już nieraz wykazał troskę o kulturę Rosji. Dajcie nam pomoc. Nie pozwólcie podeptać i zniszczyć młodej drzewiny ciężkimi butami.

Te słowa towarzyszące skazanym pisarzom mówią, że nie udało się jeszcze nikomu zniszczyć na wieki wolności myślenia i buntu twórczego. Można je zdusić i stłumić przez lata, ale nie można ich zabić. Nie udało się to jeszcze nikomu, nie udało się też władzom sowieckim.

PRZED SPOTKANIEM W MEKCE

W chwili, gdy świat chrześcijański stoi przed realizacją olbrzymiego procesu poszukiwania jedności i scalenia się, jest naturalne, że i świat Islamu przejawia nowe tendencje zjednoczeniowe.

Czy ma to być walka o odrodzenie i zjednoczenie religijne muzułmanów oraz przystosowanie Islamu do wymagań epoki, czy tylko o lepsze jutro dla kilkuset milionów wyznawców Mahometa, czy wreszcie o uzgodnienie współżycia polityczno-religijnego całego wiata muzułmańskiego — można dyskutować. W każdym razie, jest faktem, że od kilkudziesięciu lat Islam, pchany rękami ambitnych niedouków, z imienia muzułmanów, pozostaje tylko fasadą szeregu republik, rzekomo muzułmańskich.

Jedynie nie-arabskie państwa muzułmańskie — jak Pakistan, Afganistan, Iran i w pewnym stopniu Turcja oraz niedobitki królestw, jak Maroko, Libia, Jordania i Saudyjska Arabia zbliżają się do tego ideału, jakim był marzeniem twórcy Islamu: jedności religijno-państwowej. Inne państwa podlegają dyktaturze, rzekomo postępowej, de facto, wiernie imitowanej z sowieckiej, gdzie najświętsze prawa Koranu systematycznie są deptane i bezceremonialnie wysmiewane.

Godny jest więc uznania wysiłek nie-licznych, prawdziwych mężów stanu, a przede wszystkim króla saudyjskiego i szacha Iranu, by świat muzułmański postawił przed właściwymi zadaniami, a odwrócić od nerwowych paroksyzmów fanatyzmu, dyktowanego tylko żądzą władzy i osobistego zysku. Muzułmanom całego świata wykazują oni, że jeśli Islam ma się odrodzić w swej godności i potęgę należy bezlitośnie odrzucić, dyktowany fantazją efemerycznych „wodzów“ w guście Soekarno czy Nassera — nowy ład w istocie całkowicie sprzeczny z Koranem.

Ostatnie spotkanie Fajsala z szefami poszczególnych muzułmańskich, arabskich i nie-arabskich państw i postawienie zagadnienia Islamu na platformie szerszej niż arabska, w obliczu innych problemów, a nie tylko izraelskiego, poprzedza zjazd w Mekce.

Tam, obok odwiecznej Kaaby, nastąpić powinien renesans Islamu przez powierzenie „strażnikowi miejsc świętych“ — królowi Arabii, jakiejś nowej godności religijnej — unifikacyjnej. Tam wreszcie położona być może będzie baza wspólnej walki odrodzonego i zreformowanego Islamu, wraz z odrodzonym chrześcijaństwem, przeciw wrogiemu ludzkości i wszelkiej wierze, komunizmowi.

Irena Sas-Komarnicka

TWARZE

Hiszpanie są okrutni — na swój sposób; są surowi — dowodem na to ich więzienia, często mocno prymitywne. Ale ci, co zawadzili o te więzienia powiadają, że obok surowości jest i osobliwy liberalizm: wypuszcza się niekiedy więźniów na słowo honoru i pozwala się im na zakosztowanie krótkich chwil swobody. Poczucie honoru i duma: przejawiają się one na setki sposobów, a każdy kto podróżował po Hiszpanii zebrał niezłą wiązkę tych przejawów. I arystokratyczna pogarda dla pieniądza, dla nowoczesnych fetyszów produkcji.*) Brak zmysłu gospodarczego.

Hiszpan kocha rozmowę i dla uciechy życia towarzyskiego, dla kawiarni, dla dyskusji w *bodega*, poświęci wiele — jak każdy Południowiec, Hiszpan lubi mówić: odnosi się to do płci obojga. Jest on urodzonym *causeurem*: innego typu niż Francuz, albowiem dowcip jest w jego rozmowie rzadko rozsiany; ma ona długi oddech, barokowe przybudówki; jest często deklamacją, która pokutuje dalej w teatrach Hiszpanii, dziwnie dla nas staroświeckich, jeżeli

chodzi o manierę gry i elokucji. Ta mania rozmowy jest owocem otwartych plazas, słonecznych przyzb, wioskowych i miasteczkowych studni, gdzie dalej spotykają się kobiety; owocem targów i jarmarków, całego otwartego życia Południa, gdzie ulica należy do ludzi, do istot żywych, a nie do pojazdów mechanicznych, gdzie ulica wiąże, a nie rozdziela i gdzie nieraz odległość między domami poprzez *calle* jest tak niewielka. Gdy się słucha tych rozmów, zawołań, pokrzykiwań na ulicach i placach przychodzi na myśl stara prawda, że przeciw z tych właśnie rozmów ludzi na otwartych przestrzeniach przyjaznego miasta czy miasteczka narodziła się niejedna filozofia, że one to, te gadaniny ludzi z wyobraźnią stoją u podstaw i Platona i Sokratesa i perypatetyków i sofistów i tylu innych wędrownych szkół myśli. W Hiszpanii trwa ten kult rozmowy dalej; oby się utrzymał najdłużej. Rozmowa, jako żywa struga wyobraźni, jako szermierka uczuć jest wspaniałą pożywką kultury: albowiem wyobraźni Południowca nie są jeszcze potrzebne *props* i *gadgets* krajów skomercjalizowanych i zmechanizowanych, jak radio, jak telewizja, wrogowie samorodnego żywego odczucia, wrogowie wyobraźni.

KRAJ MĘŻCZYZN

Kraj męski, chlubiący się męskością. Idzie to znowu poprzez *toros*, symbol siły i płodności; byk jest w tej symbolice hiszpańskiej wymownym znakiem. Mężczyźni chlubią się tutaj bez żenady swoją erotyczną wydajnością. Dla ras romańskich jest to odwieczny temat dumy i chwalby mężczyzny: jego erotyczna sprawność, jego wydajność; podobnie jak dnem śmieszności jest impotencja czy zostanie *cocu*. Mężczyzna ras romańskich jest niezmiernie czuły i próżny na tym punkcie — o ileż próźniejszy od mężczyzny Północy, który odnosi się do tych spraw z pogodną nieraz rezygnacją; często jak w Anglii z pogardą i przekonaniem, że należy „te sprawy“ zostawić cudzoziemcom i podobnych *blackguards*. Stąd nasilenie zazdrości w krajach nordyckich i germańskich wydaje się o wiele mniejsze, aniżeli w romańskich: *crimes de jalousie* nieporównanie rzadsze.

Francuska próżność erotyczna, która jednak potrafi pokpiwać z samej siebie i korzystać z usług auto-ironii, jest w Hiszpanii spotęgowana dumą osobistą i brakiem zmysłu humoru oraz auto-ironii. Hiszpan nie ma zmysłu humoru. Hiszpan jest wyłączny, djabło zazdrośny; sam może mieć cały harem kobiet, ale wara komukolwiek się do nich zbliżyć.

Rozmowy męskie w Hiszpanii to ciągle komentarz do fizycznych i erotycznych zalet kobiet; kobiety omawia się głównie, jeżeli nie wyłącznie, pod tym kątem widzenia (w tym różnica między męskim środowiskiem w Polsce, a w Hiszpanii!). Zwany tego kraju, którzy wysiedzieli stołki kawiarni od Barcelony po Kordobę powiadają, że Hiszpanom nigdy nie brak gotowości mówienia o tematach erotyki i świętości swoich wyczynów. Promenady dziewcząt i kobiet we wszystkich miastach i miasteczkach Hiszpanii — od Ramblas barcelońskich po placę Sewilli — odbywają się stałe przed frontem i niejako na oczach rozlicznych kawiarni, gdzie mężczyźni czynią spostrzeżenia o kobietach, rozważając znane im, albo przeczuwane detale. Niedyskrecja męska w dziedzinie erotyki jest w Hiszpanii bodaj jeszcze większa niż w Polsce.

Ale Hiszpan nie ogranicza się do gadania o płci; albowiem nieprawda jest twierdzenie, że miłość się „robi“, ale się o niej nie mówi i że ci co wiele mówią zawodzą na terenie właściwej walki. Jest to wersja ukuta na pewno na Północy, która w ten sposób chciała się pocieszyć. W rzeczywistości bowiem kraje łańskie — iak i dawna Rosja carska — były i są terenem erotycznego gadulstwa łączonego ze stałą niemal gotowością do erotycznych świadczeń. Mężczyźni rozmawiając na ten temat rozpamiętują sobie swoje poprzednie przewagi i robią smak na nowe. Jest to ich żywioł: milczenie w tej sprawie uważaliby za przejaw degeneracji. Jest faktem, że dobroduszny dyktator, za którym dzisiaj tęskni wielu Hiszpanów, generał Primo de Rivera, w swoich przemówieniach, wygłaszanych gesto na arenach *corrid* poruszał temat *cojones* bez żadnej żenady. W Hiszpanii żaden mężczyzna się tego nie wstydzi. Pobudliwość tej rasy jest na pewno olbrzymia, czego stale nie rozumieją turystki z Północy, paradujące w najkrótszej wersji *shorts* i strojach kąpielowych typu *bikini*. Nie dziwnego, że Hiszpanie reagują na te pokazy nagości nieraz popędliwie i że uważają kobiety, które zjeżdżają na plaże i do miejscowości nadmorskich za osoby wyuzdane i szukające otwarcie czy skrycie przegody — co do tego drugiego często się zresztą nie mylą. Albowiem kraje Północy eksportują nie od dzisiaj tysiące *frustrated women*, tęskniących za tą osobliwą mieszanką

*) W pociągu chłop nie ustąpi miejscem oficerowi. Ofiarowujesz cyganowi bez grosza poczęstunek za odwiezienie ci rzeczy do autobusu: nie przyjmie tego bez rewanzu. Dajesz papierosy na pożegnanie kucharzowi w pensjonacie czy hotelu: nie, nie weźmie ich, jeżeli nie będą mu dane jako upominek od przyjaciela. Gdy obserwuje się zachowanie służby hotelowej wobec właścicieli, kiedy bierze się udział w zabawach, widzi się w stosunku „podwładnych“ do „szefów“ niewiele dystansu — jest to swoista demokracja krajów śródziemnomorskich, gdzie przedział społeczny istnieje na inny niejako sposób, aniżeli na Północy Europy. W zabawach, rozrywce wszyscy są sobie równi; tzw. dolne warstwy mają doskonałą manierę.

Znamienna była przygoda szwajcarskiego publicysty, który badał produkcję zakładów włókienniczych pod Barceloną: oświadczył dyrektorowi jednej z fabryk, że na pewno uda mu się podniesienie produkcji, jeżeli zaofiaruje odpowiednie *incentives*; dyrektor fabryki zgodził się; Szwajcar, który wiał biele hiszpańskim, przemówił do zgromadzonych robotników i powiedział, że każdy kto wyrobi więcej dostanie 100 papierosów. Milczenie. Za chwilę przodownik odzywa się: *señor*, jeżeli opowie nam pan jakąś piękną historię o swoim kraju, to może spróbujemy...“ Szwajcar uznał się za pobitego i w swoim artykule podkreślił, że z takim narodem trudno poważnie mówić.

II) HISZPANII

szarmancji i bezczelności, jaką ofiarowuje mężczyzna na Południu; kobiet erotycznie wygłodzonych pruderią i gaucherie mężczyzn Północy.

KRAJ Kobiet

Trudno się sprzeczać na temat urody kobiet hiszpańskich: przypuszczam, że w jakimś bezstronnym, a powszechnym konkursie piękności europejskiej zajęłyby one wysoką lokatę (Szwedki i Angielki zdobyłyby przypuszczalnie dwa pierwsze miejsca jeżeli chodzi o procentową częstość urody). Hiszpanki pobłyby łatwo Francuzki, które trzymają się chyba na wysokim miejscu prestiżu i sławy przez swój wrodzony dar umiejętnego pokazywania siebie, czyli, jak mówią Anglicy *presentation*; potrafią one ze swej urody, z danych naturalnych, często skromnych (niski wzrost, zbyt krótkie i nie zawsze foremne nogi) zrobić rzecz niezwykłą i efektowną — jak potrafią zrobić elegancką sukienkę, ba, *une création* z последнего materiału. Oczywiście procent urodziwych, doskonale wyrosniętych Francuzek zwiększa się ostatnio na tle uprawiania sportów: podobne zjawisko można było śledzić w Niemczech hitlerowskich, gdzie masowo narzucone ćwiczenia sportowe wydużyły nogi chłopców i dziewcząt, wytraciły przedwczesną tuszę i poprawiły na pewno rasę. Ale i tak jeszcze urok Francuzki to czar *une femme d'intérieur* (w przeciwieństwie do Angielki, która jest najładniejsza, jako *country girl*): w tym, co potrafi ona zrobić ze sobą prześwietlając swoje ciało *esprit* i bystrością, inteligencją. Ciało Francuzki uderza nas przede wszystkim swoją inteligencją; Hiszpanki swoim animalnym urokiem.

Hiszpanki biją Francuzki wyższym odsetkiem urody: wystarczy popatrzeć na rewję dziewcząt i kobiet na Ramblas Barcelony albo w alejach Palma de Mallorca, na placach Walencji, Madrytu czy Alicante, aby orzec, że jednak procent skończenie pięknych dziewcząt jest w tym kraju poważny. Mają one świetną osadę szyji, piękny krok; chodzą o tyle lepiej niż Francuzki, dla których przyspieszenie kroku albo bieg stają się nieraz katastrofą; chodzą godnie, aniżeli Włoszki, które mają uroczym drobionym, dziecinnie zalotnym krokiem. Oczywiście, wiek zbiera w Hiszpanii bezlitosnie żniwo, jeżeli chodzi o kobiety: starzeją się one zbyt szybko, ule-

gając — jeżeli chodzi o warstwy zamężniejsze — grzechowi obżarstwa. W Hiszpanii dziewczyna lat 25-ciu uważana jest za starą pannę; zamążpójście kobiety lat 30-tu stanowi nielada sensację. Rozpiętość wieku urody Hiszpanki jest przeważnie mała; krótsza na pewno od Włoszki. Ta piękność Południa napawa mimowiednie melancholią, dlatego właśnie, że wiemy, jak nielitościwie krótko ona trwa; i tylko tutaj, na Południu analogie z kwiatami mają jeszcze swoją dosadną wymowę, jeżeli chodzi o piękność kobiecą: na Północy granica zachowania tej urody przesunęła się daleko w górę.

Tylko nieliczna garstka kobiet, należących do arystokracji lub plutokracji może konkurować po 40-tce z kobietami Północy. Jeżeli jednak trafi się taka dama hiszpańska w wieku lat 55 czy 60, to istotnie jest na co patrzeć. Dla olbrzymiej jednak większości 35 lat stanowi ostateczną granicę ponętności; przywilej rozpalać namiętności po 35-tce mają chyba tylko *gitanas* Andaluzji. Taniec jest jednak niewątpliwie sposobem zachowania w tym kraju gibkości i nieprzezwyciężalnej na pierwszy rzut oka młodości ciała. Jest to doprawdy zdumiewające widowisko ten taniec starszych kobiet Hiszpanii. Żywo w oczach stoi mi oglądany w r. 1947 taniec trzech pokoleń w Vallde-mosie na Majorce: babek, matek i wnuczek; babki były bodaj najlepsze. Jakaż grację ruchów, jakaż godność i poczucie kobiecości zachowały te niewiasty, nieraz mocno zażywane; rytm tańca przechował się w ich ciele i było coś wzruszającego w tym jego przebijaniu się przez wszystkie tkanki ciała. Rozumiało się wtedy, że taniec jest czymś instyktownym w tym narodzie, że jest potrzebą, a nie rozrywką; rozumiało się dlaczego małe bachory drepczą już na każdy zasłyszany brzęk gitary. Ta rasa ma taniec we krwi, bardziej niż jakikolwiek chyba naród Europy (Węgrzy i Rosjanie zbliżają się tutaj do Hiszpanów). W wioskach hiszpańskich śledzi się z przyjemnością, jak kobiety idą do studni, jak niosą kosze czy dzbany na głowie — niewątpliwie to właśnie, ten obyczaj praktykowany od wieków, przyczynił się do wyrobienia pięknej, prostej postawy i układu szyi.

Hiszpanka ma cechy kobiety Orientu, nie tylko w swoim chodzie i wdzianku, nieco ciężkim zmysłowym, swojego ruchu; ma je również w sytości i pełni swojego ciała. Hiszpanka, nawet jeżeli pojawi się na plażach Katalonii czy Costa Blanca w kostiumie kąpielowym śmiałego kroju, zachowuje się inaczej aniżeli kobieta z Północy z Francji czy Włoch: ma o wiele więcej poczucia swojego ciała, nagości, jest

stale jakby skrępowana. Pół-nagość plaż dalej Hiszpanki żenuje; jest ona kobietą bardzo głębokiego, by tak rzec, *intérieur*; nawykła ona do tego, że wzrok męski jest natarczywy, że mężczyźni reagują niepohamowanie i dlatego umowna neutralność plaży jest dla niej hipokryzją i gwałtem.

Goya powiedział, że Hiszpanka jest „świętą w kościele, damą na ulicy, a djabłem w łóżku“. Istotnie, potrafi ona wpadać w mistyczny trans w kościele; nie ma ona ani w części zdolności Włoszki robienia z kościoła rodzaju salonu i terenu plotki. Jest ona na pewno dama na ulicy; co więcej, nawet dziewczęta uliczne zachowują się w Hiszpanii, jak damy. W dzielnicy przyportowej w Barcelonie, w mrocznych *bodegach* można spotkać dziewczęta i piękne i doskonale ułożone: ze zdziwieniem dowiadujemy się, że są to prostytutki. W żadnej z podejrzanych dzielnic Europy nie widziałem takiego nagromadzenia urody, spokojnej godności i doskonałych manier, jak w tych sprzedajnych *bodegach* Barcelony. Wystarczy przypomnieć sobie przerażającą wulgarność takiego St. Pauli w Hamburgu, ażeby ocenić dystans; okazuje się, że każdy naród jest inny w swoich najlepszych i najgorszych przejawach. Prostytucja jest przygnębiającym zjawiskiem; ale okazuje się, że nie wszędzie musi ona być wulgarna; że nawet tutaj nieuchwytnie cechy rasy dają się rozpoznać i uchwycić — nawet w poniżeniu.

DYGRESJA O EROTYCE

Ale, czy rzeczywiście prawdą jest ostatnia część werdyktu Goyi, że kobieta hiszpańska jest „djabłem w łóżku“? Niestety, nie posiadamy żadnego rzetelnego wykresu czy mapy erotycznej Europy; jakiegoś dr Kinsey'a, ale z polotem. Angielski psycholog Havelock Ellis w swojej kilkutomowej pracy *Man and Woman* — (był prekursorem Freuda pod wieloma względami i sformułował niektóre wnioski na podstawie wyobraźni i wiedzy lekarskiej, startując nie na psychiatrii i objawach neurotycznych jak Freud), omówił przed laty cechy i zalety kobiet Europy. M. in. poświęcił on słowa wielkiego uznania kobiecie polskiej, stawiając ją wysoko w ogólnej hierarchii kobiet Europy, jako inteligentną, bystrą, integry, jako pełną towarzyszkę mężczyzn. Ale Havelock Ellis nie poruszył sprawy erotycznej pobudliwości kobiet i problemu tzw. temperamentu (termin wyjątkowo mętny, nadużywany w mglistych analizach Polaków). Sam zresztą szukał schronienia pod skrzydłem wyrozumiałej Francuzki żrącej angielską pruderią; ale listy Havelocka Ellisa ogłoszone przed kilku laty świadczyłyby, że zajęcie się

Ellisa problemami płci wywołane zostało częściowo zjawiskiem wcale częstym w Anglii: pewną nieśmiałością seksualną graniczącą z impotencją.

Przypuszczam, że gdyby jakiś znawca nakreślił mapę erotyczną Europy, od strony *Male and Female Sexual Behaviour in Europe*, czyli zrobił robotę dr Kinsey'a po europejsku i bez wykresów i danych klinicznych, ale z wysiłkiem imaginacji, to takie *compendium* przyniosłoby niespodzianki i przesunięcia w tradycyjnej lokacie. Kto wie, czy narody nisko notowane, jak Czesi i Niemcy nie okazałyby się w takim obrachunku o wiele silniejsze „temperamentem” swoich kobiet, aniżeli faworytki takie, jak Francja czy Włochy?

Na razie jednak cała ta sfera tonie w nieodmówieniach, pomimo zdobycia swobody pisania o tych sprawach w naszej erze; era wiktoriańska zakneblowała nam usta na długo. Zapominamy, że wielkie epoki historii — od „Pieśni nad pieśniami” Salomona, poprzez Boccaccia, Ar'osta aż po Rousseau — mówiły swobodnie o sprawach ciała i płci. Dzisiaj tkwimy w fetyszu statystyki: dr Kinsey jest znakomitym przykładem tej choroby. Traktuje on płeć klinicznie, nie zatrzymując się w ogóle na takich przejawach, jak macierzyństwo kobiety; wysuwa prostą, ciężką tezę ilości, a nie jakości stosunku; odłącza płeć od sfery uczuciowej. Zarówno jego zwalście księgi, jak i tysiące podobnych opracowań na Zachodzie (nawet G. Gorera w Anglii) wywołują przygnębiające wrażenie: mechanizacji rzeczy żywych, zielnika instynktu. Im więcej mówi się na skomercjalizowanym Zachodzie o płci, tym smutniejsze robi się to zjawisko, tym bardziej zubożała jego treść; zapomina się przy tym, że wszelka analiza płci przeprowadzana w naszych czasach w *big cities* na podstawie metod stosowanych wobec plemion pierwotnych (jak to uczynił Bronisław Malinowski w swej pięknej książce o życiu seksualnym na Wyspach Trobriandzkich), jest chybotliwa. Dla tych plemion, podobnie jak dla człowieka pierwotnego płeć jest czymś bardzo ważnym; jest misterium; jest trzonem życia. Dla nas płeć przestała być misterium; dlatego przestała być źródłem radości i odnowy. Zalew książek na tematy seksualne dowodzi tylko dewaluacji samej płci w środowiskach krajów uprzemysłowionych.

W Hiszpanii płeć jest dalej jeszcze sprawą ważną; w poezji hiszpańskiej — aby przytoczyć chociażby dramaty Garcia Lorca *) — płeć i instynkt są dalej potężną siłą, opiewana, jako żywioł. Jeżeli chodzi jednak o kobiety hiszpańskie, to podobno Goya nie we wszystkim miał rację.

Pewna różgarnięta Hiszpanka, która wysłuchała licznych zwierzeń swoich rodaczek i rodaków, opowiadała mi, że tzw. temperament to rezerwuar ludu, gitanas, ale że kobiety warstw średnich i wyższych są w Hiszpanii nadmiernie obwarowane tradycją i religią, ażeby dać swobodny upust swoim zmysłom. Ostrzegając mnie ona, że Hiszpanki lubią grę drażnienia mężczyzny, że wyżywają się w kokieterii (jak Polki?) i że ich gorąca krew jest w dużej mierze pokazem i teatrem. Być może, że istotnie i w Hiszpanii — podobnie jak w innych krajach — linia podziału owego mitycznego „temperamentu” biegnie wzdłuż pewnych warstw społecznych; nawet w Anglii — co wiemy chociażby z literatury — gapały erotyczne gnieźdzą się wśród górników walijskich, raczej w East, aniżeli West End'zie Londynu.

PREŻNOŚĆ ŻYCIA

Kobieta hiszpańska dalej musi mieć towarzysza w kawiarni (brata albo męża); dalej pojawia się w towarzystwie *dueñy*, dalej musi zachować cnotę, jeżeli chce wyjść za mąż. Hiszpanka jest kobietą bardzo kobiecą, animalną; jest skrepowana, ale wiemy dobrze, że narody i ludzie „w niewoli” znajdują swoje drogi i sposoby. Kobieta hiszpańska jest w sumie bardziej zadowolona, pogodna i wesola, aniżeli jej bardziej uprzywilejowane siostryce na Zachodzie; nie cierpi na *frustrations*; ma zwierzęcą dynamikę, siłę odporu: potrafi czerpać radość z samego faktu istnienia, radość zatraconą coraz bardziej w uprzemysłowionych krajach Zachodu.

Oczywiście, sytuacja kobiety waha się zależnie od prowincji kraju: kobiety Katalonii są na pewno bardziej „postępowe”, aniżeli kobiety Kastylii czy Andaluzji. Odnosi się to zresztą do ca-

*) Garcia Lorca jest dalej przedmiotem wielkiego zaciekawienia na Zachodzie; ostatnio Ameryka zabrała się do analizy jego życia i dzieł (Lorca spędził czas jakiś w Stanach Zjednoczonych i był to okres wielkiej rozterki i załamań). Ostatnio krytyk francuski, Jean-Louis Schönberg, w rozbiórce krytycznym życia Lorca stawia wyraźnie kropkę nad „i”: Lorca był homoseksualistą i padł ofiarą zemsty klikki pederastów. Jest rzeczą ciekawą, że w tym tak bardzo męskim kraju, jak Hiszpania homoseksualista Lorca wypada niejako inaczej: dramaty jego pełne są pasji mężczyzny do kobiety, a przynajmniej jej zrozumienia tej pasji. Ciekawe byłoby zestawienie tutaj takich psychik, jak Wilde'a, Gide'a, Proust'a.

kiej Katalonii, najbardziej światowej i na świat otwartej ziemi Hiszpanii.

ROZMAITOŚĆ HISZPANII

Niebezpieczeństwem masowego turystu europejskiego jest to, że ogranicza się on do poznania Costa Brava i że Katalonię bierze się za miernik Hiszpanii. Jakież jest zdumienie tego wędrowca, gdy zahaczy o Kastylię: okazuje się, że słońce i klimat nie rozpraszają jeszcze wszelkich chmur i mroków myśli i uczuć. Wystarczy zwiedzić Escorial, ten klasztor-koszary, gdzie dumał Filip II i rządził stąd olbrzymim Imperium. Nastrój jego pokoju-celi, jego zgon — wszystko to rzuca inne cięśństwo; to także przejaw hiszpańskiej. Ale i cała Inkwizycja, to także dzieje męki duszy, która w pościgu za czystością doktryny, zabrnęła w okrucieństwo; to także przejaw hiszpańskiej skrajności. Włosi na pewno nie zdobyliby się na tego rodzaju instytucję, a ich Savonarola wydaje się ludzkiem przy ponurej organizacji Inkwizycji: poza tym był on spontanicznym, indywidualnym, a nie zorganizowanym zjawiskiem.

Spójrzmy na Toledo, „gniazdo na skałach, orle”, na tragicznie rozszczępiony jar rzeki, na suchą ranę ziemi; wejdźmy w mrok katedry w Toledo, która wygląda, jak gigantyczny grób i pachnie grobem i lochem śmierci. (Z zewnątrz katedry te, robią nieraz wrażenie nie dzieła człowieka, ale bloku skalnego). Toledo, miasto umęczonego El Greco, który w swoich obrazach wyraził ból istnienia, *vanitas vanitatum* i tęsknotę za innym światem, bardziej dosadnie, niż jakikolwiek malarz. Toledo, miasto Alcazaru, gdzie znajduje się tablica z zanotowaną rozmową ojca z synem-zakładnikiem u „czerwonych”; ojciec, dowódca Alcazaru ze stoickim spokojem żegna się z synem, gdzieś życie nie ocali; syn zostanie rozstrzelany przez „czerwonych”. Przypatrzmy się akweduktowi w Segowii: jakże inaczej wyglądałby on we Włoszech, o ile bardziej pogodnie i jasno! Jakże inna jest architektura tego kraju, gdzie średniowiecze popasało bardzo długo, gdzie renesans — tryskający we Włoszech radosnym źródłem światła — niewiele zostawił pomników, a jeżeli je pozostawił, to odmiennym tonem od odrodzenia włoskiego; gdzie nawet barok nie jest świecki i zdaje się wołać biłą trupiego blanszu: *memento mori!*

Śmierć, krew i męka: powtarza się ten motyw na rozmaite zawody w Prado, muzeum o słusznej sławie; Zurbarán i Ribeira i obrazy Meki Pańskiej, rany, ukrzyżowania, bicowanie i włościanica, ciało koloru gromnicy. I

(Dalszy ciąg na str. 24)

ROZMIESZCZENIE POLAKÓW POZA POLSKĄ

RZECZYWISTOŚĆ A NAJNOWSZE OBLICZENIA SOWIECKIE

DRUGA wojna światowa oraz jej następstwa polityczne i gospodarcze spowodowały wzmożenie ruchów migracyjnych ludności o zasięgu i natężeniu dotychczas nienotowanym. W pierwszym okresie powojennym wśród bodźców migracyjnych wystąpiły czynniki o charakterze czysto politycznym, przede wszystkim na obszarze Europy, wywołując ruchy, które poprzednio zdarzały się w tej skali bardzo rzadko.

Migracje międzykontynentalne

Zakłócenie „porządku demograficznego” wskutek przesunięcia się sfery wpływów sowieckich w głąb Europy zachodniej, związane z tym zmiany granic politycznych i ustroju społeczno-państwowego poszczególnych narodów, wywołały strumienie migracji między państwowej oraz migracji międzykontynentalnej, w pierwszym rzędzie do Stanów Zjednoczonych i Kanady.

Wysokość kwoty imigracyjnej w St. Zjednoczonych — według istniejących danych statystycznych: wyniosła w okresie 1946-1961 ogółem 3 miliony 60 tys. osób. W tym strumieniu migracyjnym pierwsze miejsce w okresie 1946-1958 zajęły Niemcy Zachodnie. Odplynęło stąd do Ameryki 652 tys. osób, co wyniosło 38,4 proc. ogółu przybyłych z Europy. W tej liczbie — według statystyk niemieckich — Niemcy stanowili mniej niż połowę (327 tys.), a reszta składała się z uchodźców z krajów Europy środkowo-wschod-

niej, którzy w latach 1946-1952 wyjechali z Niemiec w ramach akcji International Refugee Organisation (IRO). Wśród tej kwoty liczba Polaków wynosiła 150 tys. osób.

Do Kanady, która jest drugim wielkim obszarem imigracyjnym współczesnego świata, przybyło w latach 1946-1961 łącznie 2 miliony 77 tys. osób, z czego 87 proc. pochodziło z Europy. W okresie 1946-1958 przybyło tutaj 83 tys. Polaków.

Australia stała się terenem wzmożonego napływu emigrantów dopiero po drugiej wojnie światowej, kiedy złagodzone zostały ograniczenia obowiązujące poprzednio. W latach 1946-1958 suma emigracyjna wyniosła 1 milion 380 tys. osób, w tej liczbie główną pozycję stanowili przybysze z Europy — 1 milion 178 tys. (85,3 proc. ogółu imigracji). Napływ Polaków okazał się dosyć znaczny w porównaniu z okresem poprzedzającym. Według danych spisu australijskiego z 1947 r. — urodzonych w Polsce było 6.500 osób. W wynikach spisu ludności z 1954 r., pozycja ta wzrosła do 50.600 osób.

Kraje Ameryki Płd., w porównaniu z Ameryką Północną, odgrywają mniejszą rolę jako teren imigracyjny. Najwięcej emigrantów kierowało się do Argentyny. W okresie 1946-1958 przybyło tu ok. 911 tys. osób. Większość stanowili Włosi (ponad 55,2 proc.). Imigracja polska wynosiła 17 tys., czyli zaledwie 1,9 proc. ogólnej liczby przybyłych.

Kraje bloku komunistycznego nie odgrywają dziś prawie żadnej roli w migracjach międzykontynentalnych. Natomiast w pierwszym okresie powojennym poważna liczba emigrantów, pochodzących z krajów włączonych do tego bloku, wynosząca ok. miliona osób, składała się niemal wyłącznie z tych, którzy znaleźli się w Europie zachodniej jako żołnierze, jeńcy wojenni, wskutek wypadków wojennych po opuszczeniu kraju.

W akcji prowadzonej przez IRO w latach 1947-1951 osiedlono z tej liczby w krajach pozaeuropejskich — 746 tys. osób, a w szczególności w St. Zjednoczonych — 329 tys., w Australii — 182 tys., w Kanadzie — 124 tys., w Argentynie — 33 tys., w Brazylii — 29 tys., w Wenezueli — 17 tys. Akcja ta objęła 241 tys. Polaków.

Rozmieszczenie Polaków poza Polską

Nasilenie powojennych ruchów migracyjnych nasuwa pytanie, jak wygląda obraz geograficznego rozmieszczenia Polaków poza krajem i jak na podstawie istniejących międzynarodowych danych statystycznych można ocenić ich liczebność. Dokładne rozwiązanie tych pytań jest trudne. Szacunki, podejmowane przez wielu autorów, różnią się dosyć znacznie ze względu na odmienne założenia statystyczne, na których były oparte. Szczególnie wyraziście występują te różnice, gdy chodzi np. o szacunki sowieckie i szacunki autorów polskich (m.in. interesującą próbę analizy tych różnic przeprowadził E. Piasecki w „Czasopiśmie Geograficznym“, nr. 3. 1965.).

Rozpiętość tych różnic, ogólnie biorąc, wyraża się w ocenie, że obecnie poza granicami Polski przebywa nie mniej niż 5 milionów Polaków.

Porównanie statystyki sowieckiej i polskiej jest dzisiaj możliwe, ponieważ niedawno ukazał się szereg opracowań dotyczących liczebności narodów świata.

W ostatnim dziesięcioleciu Główny Urząd Geodezji i Kartografii Państwowego Geologicznego Komitetu ZSSR i Instytut Etnografii w Moskwie opracował szereg wydawnictw, które dotyczą rozmieszczenia i liczeb-

ności ludności świata. W roku 1964 ukazał się — opracowany przez obie te instytucje — atlas ludów świata (Atlas Narodów Mira, red. S. I. Bruk, W.S. Apieczko, Moskwa), zaopatrzone w dodatek statystyczny, ujmujący liczebność poszczególnych narodów w oparciu o szacunek dla 1961 roku.

Dane sowieckie szacują, że w polowie 1961 r., było ogółem Polaków na całym świecie — 34 miliony 758 tys., z czego 29 milionów 540 tys. mieszkało w Polsce, a poza krajem pozostawało ok. 15 proc. Wcześniej (1959 r.) szacunek sowiecki przyjmuje liczbę 34 miliony 616 tys. Polaków, z czego na Polskę wypada 28 milionów 830 tys. Wynika stąd, że poza krajem miało przebywać ok. 16,7 proc. (ok. 5 milionów 786 tys.). Według szacunku polskiego w tym czasie miało przebywać poza krajem ok. 22,2 proc. (ok. 8 mln 233 tys.) do 25,4 proc. (ok. 9 mln 834 tys.) osób narodowości polskiej. Z porównania tych obliczeń wynika, że szacunek sowiecki zniża liczbę Polaków poza krajem w granicach od ok. 2 i pół do 4 milionów.

Mniejszości w Polsce

Warto tu jeszcze wymienić szacunki sowieckie dotyczące mniejszości etnicznych w „Polsce Ludowej“.

Terytorium państwowe „Polski Ludowej“ w „Atlasie“ na mapie Europy bez ZSSR, w podziale 1:12.000.000, przedstawia obszar pod względem narodowościowym prawie homogeniczny. Jedyne wschodnia część województwa białostockiego oznaczona została symbolem (szraf) dla mieszanej ludności polsko-białoruskiej. Pozatym, na terenie pojałtańskiego pogranicza południowo-wschodniego, wyszczególnionych jest osiem skupisk mniejszości ukraińskiej w okolicach Ustrzyk Dolnych, Lubaczowa, Tomaszowa Lubelskiego, Hrubieszowa, Chełma, Włodawy, Gołdapu i Bartoszyc. Dwa skupienia żydowskie uwidoczono na terenie Warszawy i Wrocławia.

Według szacunku sowieckiego mniejszości narodowe na terenie „Polski Ludowej“ wynoszą ogółem dla 1961 r. — 427 tys., a w szczególności: Ukraińcy — 150 tys., Białorusini — 100 tys., Niemcy — 50 tys.,

Żydzi — 30 tys., Cyganie — 30 tys., Rosjanie — 20 tys., Słowacy — 20 tys., Litwini — 5 tys. Według szacunku polskiego dla 1961 r., liczba mniejszości narodowych jest nieco wyższa — 453 tys., w czym Niemców tylko 3 tys., zaś — Białorusów — 165 tys., Ukraińców — 180 tys., Cyganów — tylko 12 tys., Litwinów — 10 tys., oraz niewyróżniona w szacunku sowieckim grupa Greków — 5 tys., i Macedończyków — 5 tys., osiedlonych przede wszystkim na terenie powiatu ustrzyckiego, a przyjętych na prawach azylu politycznego.

Różnice szacunku

Polacy należą do narodów dosyć silnie rozproszonych poza granicami własnego kraju. Jeśli idzie o stosunek procentowy tego rozproszenia zajmują oni wśród narodów słowiańskich trzecie miejsce — po Słowakach i Słoweńcach. Przewyższają Polaków pod względem rozproszenia — Żydzi, Irlandczycy, Węgrzy i Norwegowie.

Jeśli idzie o liczebność Polaków osiedlonych poza Polską na poszczególnych kontynentach, różnice szacunku sowieckiego i polskiego występują najsilniej w odniesieniu do obu Ameryk. Szacunek sowiecki wynosi — 3 miliony 596 tys. 400 osób (1959) 3 miliony 35 tys. (1961), polski najwyższy — 7 milionów 169 tys., najniższy — 5 milionów 973 tys. Dla kontynentu australijskiego szacunek sowiecki ocenia ilość Polaków na 62 tys., polski na 92.563 osób; dla Afryki: sowiecki — 2 tys., polski ok 5 tys.; dla Azji bez ZSSR: sowiecki — 1 tys., polski ok. 1500 osób.; dla Europy z ZSSR bez Polski: Sowiecki 2 miliony 122 tys., polski szacunek (autorów krajowych) opierający się na sowieckim obliczeniu Polaków w ZSSR — 2 miliony 565 tys. 773 osób.

Jeśli idzie o stan osiedlania się Polaków w krajach zachodniej „kapitalistycznej“ Europy, dane sowieckie dla 1961 r. wynoszą 605 tys., z czego na W. Brytanię wypada 140 tys. z głównym skupieniem w Londynie; na Francję — 350 tys. ze skupieniem w Paryżu i departamentach północnych; na Belgię — 40 tys.; na NRF — 75 tys. (polski szacunek podaje 130-132 tys.).

Dane szacunkowe „Atlasu Naro-

dow Mira“ pomijają grupy narodowe liczące poniżej 5 tys. Stąd brak w „Atlasie“ szacunku dla skupień polskich w Europie, uwzględnianych w publikacjach wcześniejszych (S.I Bruk: Cislennost i rassielenije narodow mira, Moskwa 1961), jak Holandia — poniżej 5 tys.; Szwajcaria — ok. 5 tys.; Włochy — 3 tys. Turcja — 600 Polaków, zamieszkałych głównie w Adampolu.

Polacy w ZSSR

Najbardziej interesujący i kontrowersyjny z punktu widzenia polskiego jest ukazany w „Atlasie“ obraz rozmieszczenia i liczebności Polaków w ZSSR, problem rozwiązywany nie jednokrotnie przez autorów polskich.

Jak wiadomo, powszechny spis z 15 stycznia 1959 r. wykazał na terenie Związku Sowieckiego 1 milion 380 tys. Polaków, z których tylko 45,5 proc. podało język polski jako język używany. Szacunek sowiecki dla 1961 r. podany w „Atlasie“ wykazuje 1 milion 430 tys. Polaków, w większości przebywających na terenie Rosji europejskiej.

W szczególności — 362 tys. Polaków, tj. 26,3 proc. ogólnej ich liczby w ZSSR, znajduje się na terenie republiki ukraińskiej, gdzie stanowią 0,9 proc. ogółu zaludnienia republiki. Główne skupienia ludności polskiej występują na wschodnim Wołyniu (!), a więc poza granicą ryską, na Podolu po obu stronach Zbrucza, wzdłuż linii wyznaczonej przez Kamieniec Podolski-Płoskirów (przemianowany na „Chmielnicki“) — Żytomierz — Korosteń. Na Ukrainie zadnieprzańskiej jedyna polska wysepka występuje koło Melitopola.

Na obszarze trzech województw południowo-wschodnich pozostały po akcji „repatriacyjnej“ niewielkie skupienia Polaków w „obłasti“ lwowskiej (ok. 59 tys.) i tarnopolskiej (ok. 23 tys.). Z tego obliczenia wynikałoby, że na terenie Małopolski Wschodniej (bez województwa stanisławowskiego) znajduje się obecnie ponad 82 tys. Polaków. Wysiedlanie Polaków z Małopolski Wschodniej po Jałcie miało przebieg bardziej radykalny i bezwzględny, aniżeli w innych częściach ziem zabranych.

Znacznie więcej Polaków przeby-

wa obecnie na terenie rep. białoruskiej (539 tys.), gdzie stanowią 6,7 proc. ogółu ludności republiki, a 39,1 proc. ogółu Polaków z ZSSR. Główne skupiska ludności polskiej wykazuje „Atlas“ w zachodniej części Białorusi, zwłaszcza między Nowogródkiem a Mińskiem oraz wzdłuż linii Wołkowysk-Baranowicze. Na terenie Puszczy Nalibockiej istnieje zwarta enklawa polska.

Na obszarze Litwy pozostało 16,7 proc. ogółu Polaków w ZSSR i stanowią oni 8,5 proc. zaludnienia republiki czyli 230 tys. osób. Obszary zwartej większości polskiej występują koło Grodna, oraz w pasie ciągnącym się poprzez Lidę, Oszmianę do Dyneburga (Daugavpils). Polacy zasiedlają zwarcię okolice Wilna w kierunku na północ i na zachód, zaś samo Wilno wykazane jest w „Atlasie“ jako teren mieszany rosyjsko-litewski. Na Litwie kowieńskiej wykazane zostały tylko niewielkie enklawy polskie.

Na Łotwie Polacy stanowią 2,9 proc. ogółu zaludnienia, a 4,4 proc. ogółu ludności polskiej z ZSSR. Skupienia polskie istnieją w okolicach Dyneburga, a więc zachowały się na terytorium, które kontakt z Polską utraciło jeszcze w XVIII wieku.

Na rozległym terytorium republiki rosyjskiej przebywa według danych statystycznych 8,9 proc. tj. 118 tys. Polaków. Trudno jest ocenić bez szczegółowej analizy spisu sowieckiego z 1959 r., ilu jest Polaków w republice rosyjskiej na zachód od Uralu. Mapa etniczna europejskiej części rep. Rosyjskiej nie zaznacza skupień polskich.

Istnieją natomiast dane statystyczne dla azjatyckiej części tej republiki, które stwierdzają trzy większe skupienia: w „obłasti“ omskiej nad rzeką Irtyszem niedaleko miejscowości Tara, w „obłasti“ tomskiej nad rzeką Ob, oraz mniejsze skupienie między Krasnojarskim a Irkuckiem, w okolicach Agieńskoje.

W Kazachstanie, na terenie niedawno zasiedlanego „Celinnego Kraju“, przybywa 3,8 proc. (53 tys.) Polaków, przede wszystkim w zwartym skupieniu koło Celinogrodu i Kokczetau.

Skupienia ludności polskiej w zachodnio-syberyjskiej i kazachstańskiej części Związku Sowieckiego, gdzie przed wojną elementu polskiego nie było, są wyraźnym

wynikiem akcji wywozowej i przesiedleńczej Polaków, szczególnie ze wschodnich terenów Rzeczypospolitej. Statystyka sowiecka odświeża oczywiście tylko fragmentaryczną prawdę o losach polskiej ludności, pochłoniętej przez Rosję.

Polacy poza Europą

W obrazie rozszedlenia Polaków poza Europą pierwsze miejsce zajmują Stany Zjednoczone, a następnie Kanada. Ocena Liczebności tej największej grupy polskiej poza krajem sprawia duże trudności wobec różnych kryteriów stosowanych przy uznawaniu przynależności narodowej.

Niektóre szacunki polskie przekraczają liczbę 6 milionów Polaków, osiedlonych w St. Zjednoczonych. Szacunek sowiecki, przyjęty w „Atlasie“ dla 1961 r., podaje liczbę 2 miliony 500 tys., zaś dla Kanady (w oparciu o dane kanadyjskiego spisu ludności z 1 czerwca 1961), przyjmuje liczbę 325 tys. Polaków, zamieszkałych głównie w południowo-wschodniej części tego obszaru.

Jeśli idzie o szacunek liczebności Polaków w Ameryce południowej, sowieckie dane wykazują 100 tys. Polaków, z niewielką wysepką większości polskiej koło Kurytyby, podczas gdy szacunki polskie przyjmują liczbę 250-400 tys. osób. Dla Argentyny zgodne szacunki polskie i sowieckie podają liczbę 120 tys. (1959), zaś sowiecki szacunek dla 1961 obniża się do 100 tys. Dla Urugwaju szacunek sowiecki dla 1961 r., uznaje liczbę 5 tys. (polski wcześniejszy — 6 do 6,5 tys.). Wcześniejsze szacunki sowieckie podają: dla Chile — 2,50 tys. Polaków, dla Peru — 500, dla Ekwadoru — 1000, dla Kolumbii — 2000 osób.

W Austrii, gdzie nie ma większych różnic między nasileniem gęstości zaludnienia a rozmieszczeniem skupisk polskich — szacunki polskie oceniają liczebność elementu polskiego na 72 do 90 tys., zaś szacunek sowiecki dla 1961 r. Podaje tylko 55 tys. osób. W Nowej Zelandii oba szacunki, polski i sowiecki przyjmują liczbę 2 tys. Polaków.

* * *

Sowieckie dane statystyczne, odnoszące się do rozmieszczenia i liczebności Polaków poza krajem, da-

ją pewną syntezę tego problemu, oraz wnoszą szereg nowych nadsświetleń, przede wszystkim dla terytorium Związku Sowieckiego. Obliczenia sowieckie w porównaniu z polskimi szacunkami wykazują na ogół tendencję zniżania liczebności Polaków na świecie.

Ogólna liczba Polaków na terenie Związku Sowieckiego wynosząca 1 milion 380 tys. a wynikająca ze spisu w 1959 r., podwyższona dla 1961 r. do 1 milion 430 tys., została przyjęta w obliczeniach polskich autorów w Kraju, którzy nie mogą kwestionować prawdy i obiektywności cyfry sowieckiej. Natomiast obliczenia autorów emigracyjnych wykazują znaczne różnice, jak np. W. Wielhorskiego (w broszurze „Trzy pytania i trzy odpowiedzi“ — 2 miliony 540 tys. i B. Podoskiego w pracy „Polacy pod panowaniem sowieckim“) — 1 mln. 822 tys. osób.

Tendencja zniżania liczb (w tym wypadku) Polaków, istniejąca na ogół u państw imigracyjnych oraz wysuwanie argumentu o nieuniknionej asymilacji, ma w ZSSR jeszcze inny aspekt. Ma pomóc w zacieraniu niedających się statystycznie wyjaśnić niedoborów w stanie liczebnym Polaków na tym obszarze.

Argument o konieczności asymilacji jest ważki i istotny. Mamy przykłady wynarodowienia się już w drugim pokoleniu. Ale istnieją też przykłady trwania przy polskości przez paręset lat, jak np. Polacy w okolicach Suczawy, Dyneburga czy Kamieńca Podolskiego.

Józefa Męcarska

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.



GRYP

P. C. A.

PUBLICATIONS LTD.

KSIĘGARNIA SPK

POLECA

WYDAWNICTWA

WŁASNE

I WSZYSTKICH

WYDAWCÓW

POLSKICH

★

**Kupując polskie książki
i pisma:**

- sprawiasz sobie dużą przyjemność,
- spełniasz obowiązek obywatelski,
- pomagasz autorowi, wydawcy i polskim instytucjom,
- krzewisz najlepiej polskie słowo na emigracji.

★

**Polska książka
w polskim domu**

- to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel,
- to kulturalna rozrywka i odpoczynek,
- to najwłaściwszy sposób pielęgnowania ojczystego języka!

★

WSZELKIE ZAMÓWIENIA
POCZTOWE
ZAŁATWIAMY ODWROTNIE

Adres:

20, Queens Gate Terrace,
London, S. W. 7.

Tel.: KNI 3500

DZIAŁALNOŚĆ wywiadowczą prowadzi się od niepamiętnych czasów. Miała za zadanie i ma do dziś, sposobami mniej lub więcej podstępными czy bezwzględными przeniknąć możliwości i zamierzenia potencjalnych przeciwników. Działalność ta, pierwotnie tak samo prymitywna i dorywcza jak jej pochodne — dywersja i kontrwywiad, stawała się z upływem wieków coraz bardziej metodyczna, intensywna i wszechstronna, doznając oczywiście szczególnego nasilenia w okresach naprężenia i działań wojennych. Nigdy jednak nie prowadzono jej z takim nakładem pracy i pieniędzy oraz w tak nierównych warunkach jak obecnie: w erze syzyfowych prób doprowadzenia do pokojowej koegzystencji i powszechnego rozbrojenia.

Rezultaty tej niekoniernie tylko zakamuflowanej działalności są oczywiście zależne nie tylko od ilości i jakości zaangażowanych w niej ludzi, środków technicznych i pieniędzy. Zależą one w stopniu nie mniejszym od warunków napotykanym na penetrowanym terenie, tzw. od stanu ochrony jego tajemnic politycznych, wojskowych czy gospodarczych, od swobody poruszania się, od możliwości znalezienia na miejscu kolaborantów itd.

Na temat niewiarogodnie wielkich różnic w pojmowaniu i ochranianiu tajemnic państwowych po obu stronach żelaznej czy bambusowej kurtyny pisałem na łamach „Orła Białego“ dokładnie siedem lat temu, bo w jego numerze z 19 lutego 1959. W artykule tym położyłem szczególny nacisk na wykazanie, jak ogromnym ułatwieniem dla wywiadów komunistycznych są, obok innych „handicapów“ systemów demokratycznych, przede wszystkim nagminne niedyskrecje prasy zachodniej.

Że nadmierna swoboda zachodniej prasy jest wysoce szkodliwa i niebezpieczna, przyznał w rok później długoletni szef amerykańskiego wywiadu („Central Intelligence Agency“) Allen Dulles, stwierdzając, że chciałby wiedzieć tak dużo o Sowietach, jak dużo one wiedzą o Ameryce i innych państwach zachodnich li tylko na podstawie studiowania prasy. Nie dziw, że wobec tego wypowiedział się przy tej okazji kategorycznie za koniecznością ograniczenia tego źródła informacji, przyznając

Nierówne

KAZIMIERZ GLABISZ

równocześnie, że w systemach demokratycznych o to bardzo trudno.

Czy od tego czasu nastąpiła poprawa na tym polu i na ile zmieniły się także pozostałe warunki i możliwości działalności wywiadowczej?

Wydaje się, że największa zmiana nastąpiła w dziedzinie środków technicznych, najmniejsza pod względem wielkości aparatu ludzkiego i środków pieniężnych, a tylko częściowa pod względem warunków prowadzenia tej działalności — w formie tradycyjnej.

**ROZMIARY I ŚRODKI PIENIĘŻNE
SIECI WYWIADOWCZYCH**

Ponieważ zainteresowania wywiadów obu stron dotyczą bardzo wielu dziedzin i obejmują niemal cały glob, trzeba przyjąć, że dysponują one zarówno bardzo licznym i odpowiednio przygotowanym personelem, jak i ogromnymi środkami pieniężnymi. Dokładnych i pewnych danych oczywiście przytoczyć nie potrafię.

Wspomniana powyżej amerykańska C.I.A. podobno dysponuje rocznie około 2,5 miliardami dolarów, a przecież obok jej sieci istnieje jeszcze sieć ściśle wojskowa i specjalna sieć N.A.S.A., nie mówiąc już o kontrwywiadowczej sieci F.I.B. Wywiady większych państw sojuszników dysponują wprawdzie skromniejszymi środkami, niemniej stanowią mniej lub więcej cenne uzupełnienie sieci amerykańskiej. Zwłaszcza, jak się zdaje, rutynowany wywiad brytyjski i prowadzony od wielu lat przez gen. Gehlena wywiad zachodnio-niemiecki.

Wywiady komunistyczne nie dysponują prawdopodobnie tak dużymi środkami pieniężnymi, bo mogą działać taniej, ale za to rozporządzają bez porównania liczniejszym personelem. Masowość jest ich najbardziej charakterystyczną cechą. Zwłaszcza aparatu sowieckiego, stosującego od dawna starorusyjską zasadę „szapkami zakidajem“ oraz wschodnio-niemieckiego, nastawionego pod kierownictwem gen. Milke niemal wyłącznie na penetrację zachod-



SZYBKO I TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
w y k o n u j ą

ZAKŁADY GRAFICZNE

GRYP PRINTERS (H.C.) LTD.

171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.

Tel. BAT 0879

szanse walki między wywiadami

nio-niemieckiej „Bundeswehr“ i gospodarki. Ponieważ Moskwa w misjach drażliwych posługuje się chętnie także agentami innych satelitów, również ich wywiady wykazują dużą aktywność i to, jak dowiodły różne wyspy nie tylko na terenie N.R.F. Czy personel samego tylko sowieckiego aparatu wywiadowczego i analizującego zdobycze liczy istotnie, jak głoszą niektóre źródła amerykańskie, około 250,000 ludzi, nie wiadomo. Pewne jest natomiast, że posługuje się on intensywnie tak zwanym „ideowym“ wywiadem V-tych kolumn i gwałtownie rosnących flot rybackich. Faktem jest również, że wciąż on do wyraźnie szpiegowskiej roboty także personel sowieckich placówek dyplomatycznych i to nawet w krajach niezaangażowanych, jak np. Argentyna czy Meksyk. Ta masowość komunistycznych wywiadów utrudnia oczywiście pracę kontrwywiadów zachodnich, bo absorbuje je łapaniem płotek, a kamufluje przed nimi rekiny.

Różnice w ochronie tajemnic. Aczkolwiek w niektórych krajach wolnego świata ochrona tajemnic została zaostrzona, per saldo możliwości docierania do nich są nadal dla wywiadów komunistycznych daleko większe niż dla wywiadów zachodniego świata.

Po stronie komunistycznej nie traktuje się już wprawdzie pojęcia „tajemnica państwowa“ tak rygorystycznie jak w pierwszych latach powojennych, gdy np. plany Warszawy nie mogły wykazywać mostów na Wiśle, ale nadal nie ujawnia się prawdziwego stanu zbrojeń, czy faktycznego rozmiaru i szczegółowego podziału kredytów, czy rozmieszczenia oddziałów, wyrzutni, sieci alarmowych lub wytwórni, czy niepowodzeń w doświadczeniach, czy nowych konstrukcji lub zamówień sprzętu uzbrojeniowego. Przedstawiciele rządów lub eksperci nie polemizują ze sobą publicznie i nie są zmuszani do ta-

kich czy innych niedyskrecji przez kontrolujące ich ciała ustawodawcze. Totalitarny system zwalnia ich z obowiązku szczerej spowiedzi. Prasa i radio, „zglajchszaltowane“ i ściśle kontrolowane, również nie popełniają jakichkolwiek istotnych niedyskrecji. Dotyczy to również czasopism fachowych, ogłoszeń, map, zdjęć lotniczych itd. Swoboda ruchu obcokrajowców jest już wprawdzie mniej ograniczona, niż była przed kilku laty, ale wciąż jeszcze różne obszary są dla nich niedostępne, nie mówiąc już o tym, że są często „cynkowani“ z daleka i że jest ich nadal znacznie mniej niż dyplomatów, stażystów czy turystów zza żelaznej kurtyny po jej zachodniej stronie. Gdy do tego dodamy praktyczną niedostępność ogromnych połaci Rosji i Chin, poszerzenie pasów wód terytorialnych przez większość krajów komunistycznych, podejrzliwość lub słabą orientację tubylczej ludności, wreszcie znikomą znajomość jej języków na Zachodzie, zrozumiemy, jak trudno na tych ogromnych obszarach cokolwiek zaobserwować lub sprawdzić a co dopiero jakąś stałą sieć wywiadowczą stworzyć i utrzymać. Toteż także w ostatnich latach wywiady zachodnie były, jak się zdaje, w dużym stopniu skazane na informacje dostarczane przez uchodźców, nieraz zresztą bardzo cenne, i popełniały nadal duże błędy w ocenach zwłaszcza sowieckich i chińskich możliwości i intencji. Zwłaszcza, że były nieraz przez drugą stronę zręcznie inspirowane.

Warunki prowadzenia działalności wywiadowczej po zachodniej stronie żelaznej kurtyny pogorszyły się nieco w ostatnich latach, ale tylko w niektórych krajach, przy czym już podnoszą się głosy przeciw zwiększonej dyskrecji czynników oficjalnych. Tak up. niedawno nawet „Daily Telegraph“ skarżył się na nadmierną tajemniczość resortów obrony, twierdząc, że „prasa powinna otrzymywać szczegółowe informacje, by mogła bezbłędnie komentować decyzje rządu i należycie informować czytelników, którzy chcą wiedzieć, jak ich pieniądze są używane“. O tym, że czytelnikami są także pracownicy obcych wywiadów, nie wspominał.

Niestety trudno dopatrzeć się zwiększenia czujności i dyskrecji oficjalnych czynników i prasy amerykańskiej, a więc kraju, którego stanem zbrojeń wywiady komunistyczne najbardziej się interesują. Prasa ta, bezkarnie wobec braku odpowiedniej ustawy, wciska i najczęściej bardziej dbała o zaspokojenie ciekawości czytelników niż o bezpieczeństwo kraju, popełnia nadal niewiarogodne niedyskrecje. Nie tylko na temat posiadanych zapasów uzbrojenia i

surowców strategicznych, zamówień i terminów dostarczenia nowego sprzętu, rozmieszczenia i wyposażenia podziemnych wyrzutni międzykontynentalnych rakiet, stanu obrony przeciwlotniczej i przeciwatomowej, właściwości najnowszych broni, organizacji sieci elektryfikacyjnej, itd., ale także na temat wszelkich pociągnięć związanych z walkami w Wietnamie. Tak np. można było dowiedzieć się z prasy codziennej, które jednostki mają pójść do Wietnamu, ile helikopterów ma być dostanych, jak przedstawia się stan uzbrojenia i wyszkolenia dywizji gwardii narodowej i innych jednostek rezerwowych, jakie różnice poglądów ścierają się w Pentagonie i Białym Domu itd. Również pisma fachowe wciąż jeszcze podają zbyt wiele informacji technicznych, cennych zwłaszcza dla specjalistów sowieckich i skwapliwie przez nich wykorzystywanych. Mało tego, nie tak dawno dwaj Amerykanie (Wise i Ross) wydali w Anglii książeczkę „The invisible government“, demaskując nie tylko organizację, ale także liczne personalia C.I.A.

Poza niedyskrecją czasopism i wywiadownictw, umożliwioną przeważnie gaudulstwem czy nieuwagą wtajemniczonych, wielkim ułatwieniem dla obcych wywiadów jest także dostępność niemal wszystkich części zachodnich krajów, wąskość ich wód terytorialnych, istnienie (zwłaszcza we Francji i Włoszech) dobrze zorganizowanych V-tych kolumn, możliwość nabywania map, zdjęć lotniczych, kopii patentów itp., tolerowanie obserwowania manewrów morskich oraz urzędzeń nadbrzeżnych, przebywanie w nowojorskiej siedzibie O.N.Z. setek potencjalnych a nietykalnych szpiegów itd.

Choć organa bezpieczeństwa, czyli kontrwywiady, państw zachodnich z tym szkodliwym stanem walczą i przychwyciły już sporo Fuchsov, Mayów, Hissów, Rosenbergow, Abelów, Vasalów, Lonsdalów, Wennerströmów, Felfów, Frenzlów, Felfów itp. (w samych tylko Niemczech Zachodnich przyłapano w 1964 roku ponad 1.000 szpiegów), nie mogą wyrównać dostatecznie ogromnego „handicapu“ zachodnich wywiadów. Tym się tłumaczy wprowadzanie zwłaszcza przez Amerykę coraz to bardziej utecniczonych środków wywiadowczych.

NOWE, CZĘŚCIOWO „ROBOTOWE“ ŚRODKI WYWIADOWCZE

Nie mogąc, z przyczyn powyżej opisanych, dostatecznie przeniakać tajemnic potencjalnych przeciwników sposobami od dawna stosowanymi, a chcąc się zabezpieczyć przed przykrymi niespodziankami, które mogłyby być jeszcze groźniejsze niż „Pearl Harbour“,

Ameryka położyła szczególny nacisk na dorobienie się nowych środków wywiadowczych pod postacią specjalnych satelitów i samolotów rozpoznawczych, wyposażonych w rewolucyjne sondy i aparaty fotograficzne, olbrzymich radarów, dodatkowych stacji sejsmograficznych itd. Wymienię tylko najważniejsze i już ujawnione „roboty” tego typu:

— Satelity „Samos”, których kilka lata także nad Sowiecami i Chinami i które mogą nie tylko naziemne wybuchy atomowe wykryć, ale także na komendę bądź zrzucić bądź telewizyjnie przekazywać swoje pono fantastyczne ostre zdjęcia, w laboratoriach wielokrotnie powiększane,

— Satelity pomiarowe, umożliwiające ustalanie odległości dowolnych punktów od Ameryki z dokładnością do 30 metrów, gdy poprzednio omyłki sięgały 1.500 metrów. Ulepszenie to powinno bardzo zwiększyć celność międzykontynentalnych rakiet,

— Ulepszone i lepiej wyposażone samoloty rozpoznawcze („A-11” i „SR-71”) mające daleko większą szybkość oraz większy pułap i zasięg niż słynne samoloty „U-2”, wycofane po zestrzeleniu jednego z nich nad Rosją,

— Specjalne samoloty wyposażone w mikrobarografy, wprowadzone w miejsce satelitów „Midas”, które miały wykrywać wyrzucanie dalekosiężnych rakiet, jednak zawiodły,

Ponieważ elektronowe i laserowe wyposażenie tych powietrznych szpiegów reaguje na promieniowanie świetlne, ciepłe i radioaktywne oraz na energie pól elektrycznych i magnetycznych, noc czy chmurna pogoda podobno im nie przeszkadza. Z drugiej strony ich aparaty fotograficzne są tak czułe, że ich zdjęcia robione nawet z wysokości 9 mil po powiększeniu rzekomo ujawniają komputerom nawet piłkę krykietową a z wysokości ponad 100 mil przedmioty o długości 20 stóp.

Również olbrzymie stacje radarowe, zbudowane w uzupełnieniu dawnej „DEW-Line” w Alasce, Grenlandii i Wielkiej Brytanii — pod Yorkiem, mogą odegrać dużą rolę wywiadowczą o tyle, że wykrywają znacznie szybciej zbliżanie się rakiet, a nie tylko bombowców.

Oczywiście dopiero przyszłość wykaże, w jakim stopniu te udoskonalone środki wywiadowcze, nie mogące przecieć przeniknąć do wnętrza budowli, piecyz czy tuneli, zdołają wyrównać dotychczasowy handicap zachodnich wywiadów. Że są kłopotliwe dla Moskwy, to pewne.

Kazimierz G'abisz

JEST coraz więcej oznak, że sprawy ograniczenia rozprzestrzeniania broni atomowej, czyli sprawa t.zw. non-prolifracji, oraz rozbrojenia nuklearnego wysuwają się na pierwszy plan w polityce światowej. Zagadnienia te zaczynają przesłaniać — i być może będą całkowicie przesłaniać w najbliższej przyszłości — wszystkie inne aktualne konflikty i wojny lokalne, takie jak na przykład tocząca się obecnie wojna w Wietnamie. To nie tylko koła naukowo-wojskowe, związane z produkcją i strategią broni atomowej w Moskwie stają się coraz bardziej zaniepokojone rozwojem w dziedzinie atomowej, ale również analogiczne koła w U.S.A., a zwłaszcza w W. Brytanii, coraz wyraźniej kładą nacisk na potrzebę niezwłocznego uregulowania spraw broni atomowej w skali międzynarodowej. W tej chwili trudno jest jeszcze ocenić wagę i intensywność tego „trendu” w polityce międzynarodowej, ale sam fakt, że o potrzebie rozbrojenia atomowego, proliferacji i kontroli międzynarodowej zaczyna się myśleć, mówić i pisać — jest znamienity i wart bliższego zainteresowania.

CORAZ TAŃSZA

Faktem podstawowym jest, że bomba atomowa i rakietowa, mogąc ją przenieść na cel, staje się coraz tańsza i coraz łatwiej można ją wyprodukować. Czasy, w których na produkcję tej broni stać było tylko wielkie i mające olbrzymie budżety wojskowe mocarstwa i tylko one mogły sobie pozwolić na broń atomowo-rakietową, — należą do przeszłości. W „Prawdzie” z 10 stycznia komentator pisma, Berieckij, zamieścił artykuł, w którym podkreśla, że niebezpieczeństwo szybkiego rozprzestrzenienia się broni atomowej znacznej ilości średnich i małych państw jest tak wyraźne, że już dzisiaj należy myśleć jak mu zapobiec, bo jutro może być za późno. Podobnych artykułów w dość alarmującym tonie pojawiło się w prasie sowieckiej na przestrzeni ostatnich tygodni kilka.

Żeby dać jaśniejszy i bardziej przemawiający do wyobraźni obraz sytuacji, można się powołać na, w pewnym sensie analogiczną, współzależność rozwoju broni palnej i instytucji prawnej bezpieczeństwa in-

WOJNY

dywidualnego. Z historią prawa w Europie wiemy, że wynalazek broni palnej zrewolucjonizował i przyspieszył rozwój ustawodawstwa chroniącego bezpieczeństwo osobiste. Posiadanie broni palnej wyrównywało różnicę sił między jednostkami, lub też dawało bezwarunkową przewagę jej posiadaczowi bez względu na wszystkie jego wartości ludzkie i bojowe. Ustawodawstwo więc musiało dążyć do stworzenia możliwie efektywnych instrukcji, bezpieczeństwa, ograniczających użycie lub zakazujących posiadania broni palnej. Stopniowemu rozwojowi instytucji bezpieczeństwa towarzyszyło zaostrenie sankcji za przekroczenia przepisów — a z drugiej strony udoskonalenie systemu kontroli organów państwowych w stosunku do obywateli, w związku z coraz większym potaniem, udoskonalaniem i rozpowszechnianiem broni palnej.

Jeśli w tym mocno uproszczonym obrazie zastąpimy jednostkę przez państwo, a broń palną przez broń atomową — to każdego musi uderzyć fakt braku instytucji kontrolującej, ograniczającej i zapobiegającej użyciu broni nuklearnej w wymiarze ponadpaństwowym. Potrzeba powstania tego typu instytucji jest oczywista, jeśli ludzkość wraz ze swą cywilizacją ma uniknąć katastrofy nuklearnej wojny światowej. Wszyscy ludzie są zdolni widzieć i rozumieć ten obraz i jego właściwe proporcje, co skądinąd wcale nie znaczy, że zbliżamy się do rozwiązania w tempie, jakiego wymaga rozwój na płaszczyźnie broni atomowej. Jak dotychczas było raczej wprost przeciwnie.

CO NIESIE PRZYSZŁOŚĆ

Wiele rządów sztabów nie rozporządzających bronią atomową i dążących, mniej lub więcej po cichu, do ich posiadania, zdaje się zapominać o prostej prawdzie, że broń atomowa rzeczywiście może załatwić wszelkie, jak najbardziej ostre, konflikty — przeważnie jednak w ten sposób że owe konflikty znikną razem z państwami i ludźmi, którym na rozwiązaniu tych konfliktów za-

LOKALNE A BRONĀ ATOMOWA

leżało tak bardzo, że uciekli się aż do broni, atomowej.

O sprawach tych mówi się i pisze od bomby nad Hiroszimą w r. 1945 na wielu niekończących się konferencjach rozbrojeniowych. Jest tajemnicą poliszynela, że w sztabach wojskowo-technicznych i politycznych państw posiadających broń atomową już dawno leżą opracowane w kilku wariantach plany non-prolifracji, zakazu produkcji i użycia broni atomowo-rakietowych oraz organów kontroli międzynarodowej. Wszystkie projekty umów rozbiły się dotychczas o sprawy tej kontroli, jako sprzecznej z zasadą suwerenności państwa i to głównie ze strony Sowieców.

Ale czasy się zmieniają. Ani w Moskwie, ani w Waszyngtonie, ani nawet w Paryżu nie może nie budzić zaniepokojenia taki rozwój sytuacji, który zapowiada że np. Izrael czy Egipt mogą mieć operacyjną broń atomową za rok, Chiny za trzy lata, Indie, Pakistan i Indonezja — za cztery, a już za pięć lat bombą atomową lub rakieta machać może nie tylko plk. Boumedienne w Algierii, ale także Prezydent Nigerii. I w płaszczyźnie prawa międzynarodowego nie będzie stało na przeszkodzie, by broń atomowa mogła być użyta w interesie „suwerenności” i „odwiecznych praw” tych państw. Nie trzeba mieć zbyt wybujałej wyobraźni, by odpowiedzieć na pytanie: czy za lat 5 świat będzie mógł spać spokojnie — choćby tak jak dzisiaj?

W niemalym stopniu pobudził wyobraźnię strategów kryzys kubański w r. 1962, który unaoczniał realność niebezpieczeństwa atomowego. I w U.S.A. i w Sowieciech zrozumiano, jak może funkcjonować mechanizm wojny atomowej i co to naprawdę może znaczyć. Już wtedy stało się jasne, że na długą metę należy zastrzeżać, lub co najmniej ograniczyć, wyścig zbrojeń atomowych. Owocem tych dążeń była umowa o zaprzestaniu doświadczeń atomowych, z wyjątkiem podziemnych, — między Ameryką, W. Brytanią i Sowieciami z 5 sierpnia 1963 r., pod-

pisana symbolicznie przez kilkadziesiąt innych państw nie posiadających broni atomowej. Ale nie podpisały jej dwa rządy, mające aspiracje posiadania operacyjnej broni atomowej — francuski i chiński.

Francja i Chiny wiedzą, że ich obecny stan posiadania w tej dziedzinie nie daje im pełnych praw partnerów w klubie atomowym, liczą jednak, że najbliższe lata przyniosą im tę prawa. Ale tu jest „pies pogrzebany” — bo w ciągu tych najbliższych lat liczba takich kandydatów do klubu może się poważnie zwiększyć, co skomplikuje i utrudni rozwiązanie zagadnienia non-prolifracji i jej kontroli oraz pogmatwa przebieg dalszych faz procesu powstawania systemu bezpieczeństwa atomowego.

Nie 5 lecz 2

Układ atomowy z r. 1963 był niewątpliwie sukcesem, ale jednocześnie uprzytomił brak wartości jednostronnych deklaracji nie zaopatrzonych w sankcje międzynarodowe natury prawnej, politycznej i wojskowej. W rzeczywistości nie ma pięciu potęg atomowych, jak twierdzi „Prawda” (U.S.A., Sowiecy, W. Brytania, Francja, Chiny), tylko dwie, posiadające 99% istniejących broni atomowych i środków ich przenoszenia. Próba budowania jakiejś wstępnej konstrukcji prawnomiędzynarodowej dla non-prolifracji — w tym pięciopaństwowym klubie atomowym — prowadzi do fikcji. Realnie tę podstawową konstrukcję mogą stworzyć tylko U.S.A. i Sowiecy. Ale do tego potrzebne jest zbliżenie polityczne między tymi dwoma mocarstwami — w stopniu, który by umożliwiał obustronne poświęcenie mniej ważnych interesów politycznych i ideologicznych — *primum vivere*...

Łatwo dostrzec, że istnieją oznaki wzajemnej chęci zbliżenia między tymi dwoma nadmocarstwami — ale chęć ta jest, świadomie lub półświadomie, tępiona i rozwój zbliżenia — torpedowany przez różne drugorzędne konflikty, przestawiające spory ideologiczne i zwietrza-

łe uprzedzenia. Działają tu czynniki wewnętrzne w samych Stanach Zjednoczonych i Sowieciech, jak i zewnętrzne — takie jak nacisk państw zainteresowanych w istnieniu międzynarodowego chaosu w sprawach atomowych — Francji i Chin w pierwszym rządzie. O „force de frappe” gen. de Gaulle’a jeszcze rok temu pisały „Izwestia”, że francuska broń atomowa — to „pułdelko zapalek”, stanowiące prywatną własność generała. O bombie Mao Tse nie napisano nawet i takiego komplementu. Ale nie wiadomo jak będzie jutro i pojutrze...

Bomba i rząd światowy

Tylko Stany Zjednoczone A.P. i Sowiecy mogą dzisiaj zagwarantować sobie wzajemne bezpieczeństwo i stworzyć zaczątek międzynarodowego organu kontroli produkcji oraz użycia bomb nuklearnych i rakiet — pod groźbą sankcji ze strony organu. Musiałby to być oczywiście organ nie amerykański, nie sowiecki, ale autorytet międzynarodowy w całym tego słowa znaczeniu. Nasuwa się wniosek że organ taki powinien być związany z O.N.Z., która stałaby się wtedy zaczątkiem rządu światowego.

„Nieprzyzwoitością” polityczną i nietaktem jest dzisiaj jeszcze wspomnianie o możliwości powstania takiego rządu. Ale w kołach, świadomych niszczącej siły broni atomowych, już od lat mówi się o konieczności powstania takiego „rządu” — co prawda szeptem, by nie drażnić niektórych polityków i wojskowych. Wydaje się, że na tym tle należy również rozpatrywać dwa najważniejsze dziś konflikty między U.S.A. i Sowieciami — wojnę w Wietnamie i walkę polityczną o utworzenie tzw. „trzeciej siły atomowej” — w ramach N.A.T.O.

Chińskie intryki

W Pekinie sądzą że każdy układ dotyczący non-prolifracji musi — dzisiaj — zwracać się przeciw chińskiej broni atomowej. Chińczycy wiedzą, że taki układ może być tylko rezultatem zbliżenia między U.S.A. i Sowieciami. Dlatego starają się takiemu zbliżeniu przeszkodzić. Stąd oskarżenia pod adresem Sowieców o „rewizjonizm”, o zdradę idei komunizmu, wyrażającą się w

polityce koegzystencji z „imperializmem“, o spisek Sowietów z Amerykanami przeciw międzynarodowemu komunizmowi i — Chinom. Dla tego też Pekin chce utrzymać i zająć wojnę w Wietnamie, bo dopóki ta wojna trwa zbliżenie sowiecko-amerykańskie jest niemożliwe.

Dla Sowietów cały kłopot w tym, że krytyka chińska liczy się i w Wietnamie i wewnątrz całego światowego ruchu komunistycznego. Imperium sowieckie oparte o „teologiczną“ — ideologiczną — strukturę nie może sobie pozwolić na osłabienie podstaw ideologii, bo to by oznaczało osłabienie wpływów Partii, a Partia jest głównym zespołem i władzą tego imperium.

Polityka sowiecka musi dążyć do potępiania chińskiej ideologii i chińskiej partii w ramach całego ruchu komunistycznego. Jeśli Chiny zostaną potępione i wyeliminowane z ruchu, to dla prawowiernych komunistów przestaną politycznie istnieć i ich krytyka w stosunku do Sowietów przestanie się liczyć. W płaszczyźnie państwowej Sowiety muszą dążyć do zakończenia, albo co najmniej osłabienia i „zakłajstrowania“ wojny w Wietnamie w stopniu, który by dość szybko pozwolił na znaczną poprawę stosunków z U.S.A.. Do tego konieczne jest zwiększenie w Północnym Wietnamie wpływów sowieckich kosztem chińskich. W tym celu właśnie jeździł w styczniu b.r. do Hanoi Szepelin i wygląda że nie wrócił z pustymi rękami...

Straszak niemiecki

Drugim ważnym konfliktem jest spór o broń atomową dla N.A.T.O. — to znaczy o plany utworzenia M.L.F. Można zaryzykować twierdzenie, że Sowietom tylko pozornie chodzi tu o udział Niemiec Zachodnich w dysponowaniu tą bronią. Dla Sowietów jest to najwygodniejszy pretekst do walki z całym projektem uzbrojenia N.A.T.O. w broń atomową. Bonn, rewizjoniści, militariści i legendarni naziści, rzekomo tam rządzący, to tylko przysłowiowy „kaczy kuper“, w który się bije, ale chodzi o samą kaczkę. Konflikt ma stare podłoże.

Już w r. 1948 mówiło się, że walkę Wschodu z Zachodem rozstrzyg-

nie fakt posiadania „Ruhry“ — to znaczy ciężkiego przemysłu zachodnio-europejskiego. Dołączony do potencjału gospodarczego Sowietów przemysł ten stwarzał bezwarunkową przewagę Moskwy nad Stanami Zjednoczonymi. Dodany do potencjału U.S.A. — stwarza olbrzymią przewagę Stanów Zjednoczonych — co potwierdziło utworzenie Paktu Atlantyckiego.

Sowietom chodzi o coś więcej niż o utracenie zachodnio-niemieckich „atomszczyków“. Posadzenie Bonn o to, że gdy rozporządza będzie całym terytorium, zechce stać się potęgą atomową, jest obliczone na efekt propagandowy wśród najbardziej naiwnych (obliczono, że 5 — 6 wodorówek wystarczy do fizycznej likwidacji całego problemu „niemieckiego rewizjonizmu“). Nie znaczy to jednak że potencjał gospo-

darczy Niemiec Zachodnich jest bez znaczenia.

W całym konflikcie o M.L.F. (pozostającym ciągle w sferze projektów) chodzi o coś znacznie poważniejszego: Moskwa chce zapobiec powstaniu trzeciej rzeczywistej siły atomowej — N.A.T.O. Powstanie M.L.F. oznaczałoby, że już we wstępnych rozmowach Sowiety mają do czynienia nie z jednym, ale z dwoma równorzędnymi partnerami, w każdym razie partnerami poważnymi.

Wtedy pozycja Sowietów, jako słabszego partnera w ramach „równowagi terroru“ zostałaby utrwalać na zawsze. A taka sytuacja na dalszą metę oznaczać by mogła tylko jedno: szybko nadiągający i obejmujący cały glob — Pax Americana. I to atomowy...

Tadeusz Norwid

„SOCJALISTYCZNE“ PRAWO CYWILNE

Analiza i porównania

NIE łatwo jest czytać i zrozumieć prace naukowe pisane za żelazną kurtyną nie tylko ze względu na żargon bolszewicki, lecz również wskutek wprowadzenia do treści pozornie naukowej przedziwnych pojęć i abstrakcji, które często są niezrozumiałe i mogą być interpretowane dowolnie. Razi też powoływanie się na autorytety bolszewickie w każdej dziedzinie wiedzy ludzkiej. Na szczęście chwilowo odpadły „autorytety“ takich nieuków, jak Stalin, Chruszczow i inni, a ze względu na krótki upływ czasu nie powstały nowe Breżniewów czy Kosyginów. Ponadto książki naukowe są przeladowane propagandą komunistyczną, nie mającą nic wspólnego z nauką.

Takie też jest wydane w 1964 roku „Prawo Cywilne“ Jerzego Wiszniewskiego*), przeznaczone dla studentów ekonomii.

Z powyższego nie wynika, że „socjalistyczni“ naukowcy są głupcami. Muszą oni tak pisać ze względu na tępych cenzorów z bezapelacyjnym prawem głosu.

W krajach „socjalistycznych“ — pisze Wiszniewski — robotnik nie jest wyzyskiwany. Odwrotnie jest w krajach kapitalistycznych. Tam nawet w przedsiębiorstwach państwowych kaplaści wyzyskują robotników. Jeżeli kapitalistyczni właściciele fabryk budują domy, w których wynajmują tanio (poniżej kosztów budowy i eksploatacji) mieszkania robotnikom, tym samym ich wyzyskują. Nawet wywłaszczanie ziemi na budowę kolei, lotnisk, stawianie słupów telegraficznych na prywatnych gruntach itp., stanowi wyzysk kapitalistyczny. W krajach kapitalistycznych również spółdzielnie uprawiają wyzysk robotników, albowiem uzyskana „wartość dodatkowa“ (zysk) przypada członkom zrzeszenia spółdzielczego, pomimo faktu, że „masa spółdzielców rekrutuje się z proletariatu“. Odwrotnie jest w krajach „socjalistycznych“. Tam część „wartości dodatkowej“ zabiera państwo, poważnie ograniczając zyski spółdzielców, którzy są z reguły robotnikami. Ma to być rzekomo dowodem, że robotnik nie jest wyzyskiwany.

W wypadku spółdzielni autor daje (wprawdzie bezsensowne) wyjaśnienie na czym polega wyzysk robotnika w krajach kapitalistycznych. W innych wypadkach czytelnik sam, musi, jeżeli

*) Jerzy Wiszniewski. Prawo Cywilne. Warszawa, 1964. Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Str. 405.

to jest możliwe, domyślić się lub zgadnąć.

Jeżeli chodzi o ochronę lokatorów w krajach kapitalistycznych, wyzysk robotnika — twierdzi Wiszniewski — polega na tym, że „kapitał monopolistyczny“ zmusza właścicieli domów czynszowych do wydzierżawiania tanio mieszkań robotnikom, aby mniej płacić im za pracę, zwłaszcza, że domy czynszowe należą przeważnie do niezamożnych ludzi („średniej i drobnej burżuazji“), a nawet do robotników.

Ochrona lokatorów

Lepiej jest w Polsce Ludowej, gdzie prywatni właściciele domów mogą wydzierżawiać swe pokoje, a nawet całe domy, według cen rynkowych, tj. bez żadnego ograniczenia co do wysokości komornego. Takie stanowisko „władzy ludowej“ jest uzasadnione wymogami ekonomicznymi. Okazało się bowiem, że „państwo ludowe“ nie może dostarczyć dostatecznej ilości mieszkań i dlatego trzeba było odwołać się do inicjatywy prywatnej. Prywatne bowiem budownictwo mieszkaniowe jest finansowane z drobnych oszczędności, które by się zmarnowały, gdyby osobom prywatnym nie opłacało się budować lub kupować domów. Wskutek tego „państwo ludowe“ udziela obecnie wszelkiej pomocy przy budownictwie spółdzielczym domków jednorodzinnych, przydzielając nawet na ten cel grunta państwowe na zasadach użytkowania wiecystego. Państwo też sprzedaje osobom prywatnym domki jednorodzinne i mieszkania w większych domach.

W rezultacie tego rodzaju akcji rządowej na tym odcinku gospodarki obecnie w Polsce jedna czwarta „wszystkich zasobów mieszkaniowych kraju“ należy do prywatnych właścicieli i ilość ich stale wzrasta.

Kryzys budowlany w Anglii

Z punktu widzenia ekonomicznego powyższy wywód Wiszniewskiego jest bez zarzutu, chociaż sprzeczny z doktryną marksistowską. Wiemy dobrze jakie kryzysy mieszkaniowe przechodzą państwa „kapitalistyczne“ wskutek przepisów o ochronie lokatorów, powodujących nieopłacalność domów czynszowych. Zamieniają się one przedwcześnie w ruinę, wskutek braku remontu i w wielu wypadkach są niezamieszkałe (nie płaci się w tych wypadkach uciążliwego podatku samorządowego). W W. Brytanii obecnie ustąpiło absolutnie prywatne budownictwo mieszkaniowe. Firmy budowlane, które budowały domy na sprzedaż osobom prywatnym, nie mogą ich obecnie sprzedać i wskutek tego grozi im bankructwo. Słowem

marnuje się kapitał drobnych ciułaczy, a budownictwo samorządowe nie jest nawet zdolne uzupełnić zbyt szybkiego ubytku starych domów. W konsekwencji ilość domów mieszkalnych zmniejsza się, a w każdym razie nie nadąża za wzrostem ludności.

Z drugiej strony, aby dopatrzeć się wyzysku robotnika w chaosie na polu mieszkaniowym w krajach wolnego świata trzeba nie liczyć się z prawdą, albowiem jasnym jest, że chaos ten powstał nie na tle ekonomicznym, lecz politycznym. Walka o władzę na tle systemu partyjnego spowodowała, że politycy obiecują i usiłują dać jak najwięcej cudzego najliczniejszej warstwie ludności, aby pozyskać jej głosy podczas wyborów. Uprzywilejowuje się więc pozornie lokatorów, których jest więcej niż właścicieli domów, chociaż w konsekwencji tego uprzywilejowania może dojść do tego, że lokatorzy nie będą mieli gdzie mieszkać. Świadczy o tym chociażby fakt, że podczas uchwalania przez brytyjski parlament ostatniej ustawy o ochronie lokatorów nie odezwał się ze strony konserwatywnej opozycji ani jeden głos sprzeciwu.

Pozbawienie lub ograniczenie np. niezarobionych dochodów wielkich właścicieli ziemskich, którzy z reguły wydzierżawiają swe grunta drobnym rolnikom, nie miałyby ujemnych następstw dla gospodarki narodowej, lecz wręcz przeciwnie przyczyniłoby się z pożytkiem dla niej do poprawy sytuacji gospodarczej dzierżawców. Obecnie bowiem olbrzymie subsydia rządowe dla rolnictwa idą w dużej mierze w postaci czynszów do kieszeni obszarników, którzy używają ich przeważnie nieprodukcyjnie. Ze względu jednak na małą ilość wyborców tej kategorii parlament tym się nie interesuje.

Godny jest uwagi fakt, że jeżeli znacznie się gnębić jakakolwiek gospodarczo czynną warstwę ludności, tracą się to, co ona produkuje. Wytepienie przez bolszewików „kułaków“ spowodowało brak chleba. Gnębienie w W. Brytanii „landlordów“ powoduje brak mieszkań. Gdyby np. zmuszano szweców do sprzedawania obuwia taniej, niż kosztuje skóra i robocizna, nie byłoby butów.

Nie jest bez znaczenia też fakt, że kontrola czynszów powiększa biurokrację i kosztuje miliony społeczeństwo (państwo nie ma swoich pieniędzy). Ponadto poważna ilość właścicieli domów już dziś korzysta z zasiłku opieki społecznej (Assistance Board), gdyż nie ma dochodów ze swych nieruchomości, wystarczających na utrzymanie się przy życiu. Z drugiej strony lokarzy często żyją luksusowo i jeżdżą własnymi samochodami. Za te miliony można byłoby zbudować poważną ilość do-

mów, dać ludności dach nad głową i obniżyć komorne automatycznie, wskutek większej podaży mieszkań.

„Uprzywilejowanie“ robotniak w Polsce

W Polsce robotnik jest uprzywilejowany, twierdzi autor, gdyż o jego interesy dba „państwo ludowe“. Wyrazem tego jest np. ustawa z 1958 r. o samorządzie robotniczym, której „przepisy podkreślają zasadę jednoosobowego kierownictwa“, albowiem „dyrektor zarządza przedsiębiorstwem i reprezentuje je na zewnątrz“. Z dalszych przepisów wynika, że dyrektor ma władzę dyktatorską, a przedstawiciele robotników mogą tylko wyrażać swą opinię w pewnych mniej istotnych sprawach, bez mocy wiążącej. Z drugiej strony robotnicy mają następujące „zadania: a) zapewnienie sprawnego funkcjonowania oraz rozwoju przedsiębiorstwa w interesie ogólnie społecznym i w interesie własnym załogi oraz b) rozwijanie wśród załogi działalności, zmierzającej do podniesienia gospodarności, umocnienia dyscypliny pracy, wzmocnienia aktywności twórczej, podniesienia bezpieczeństwa i kultury pracy, zwiększenie odpowiedzialności pracowników za wyniki gospodarcze przedsiębiorstwa“.

Jeżeli do tych „przywilejów“ doda się zakaz strajków w obronie praw i interesów robotników oraz możliwość wyzysku robotnika przez właścicieli domów z braku prawa o ochronie lokatorów w wypadku nie otrzymania przez niego mieszkania od państwa — obraz rajy na ziemi robotnika polskiego staje się wyrazisty i kompletny.

Z powyższego wynika wniosek, że jeżeli jakkolwiek kapitalizm wyzyskuje robotnika, to kapitalizm państwowy jest niezrównany pod tym względem i bije wszelkie rekordy.

„Socializm“? „Kapitalizm“?

Profesor Wiszniewski od początku do końca podręcznika przeciwstawia prawo socjalistyczne kapitalistycznemu. Teoretycznie taka koncepcja byłaby możliwa, gdyby w krajach „demokracji ludowej“ istniał socjalizm, a na Zachodzie kapitalizm w czystej formie. Że tak nie jest świadczy chociażby polityka mieszkaniowa i wyraźna tendencja oparcia gospodarki w Polsce na zadach kapitalistycznych oraz daleko posunięta socjalizacja życia gospodarczego i społecznego w krajach „kapitalistycznych“.

Trudno uznać za obronę „socjalizmu“ utyskiwania autora, że produkcja państwowa w Polsce kuleje z powodu nie-

uwzględniania „motywu zysku“, który jest koncepcją czysto kapitalistyczną. Wskutek nieuwzględniania „motywu zysku“ dyrektorzy przedsiębiorstw państwowych do tego stopnia nie interesują się stanem finansowym powierzonych im zakładów pracy, że nawet nie ściągają „kar umownych“ od innych przedsiębiorstw za dostarczanie złego, nie na czas itp. materiału i surowca. W dodatku bez „motywu zysku“, twierdzi Wiszniewski, nie może być prowadzony prawidłowo „rozrachunek gospodarczy“. Nie zastanowił się jednak on nad tym, że jego czysto kapitalistyczna koncepcja nie może mieć zastosowania w krajach „socjalistycznych“, gdzie państwo wyznacza ceny zarówno na surowce, jak i na gotowe produkty. Przy tym bowiem systemie można mieć sztucznie olbrzymie zyski lub deficyty, zależnie od tego, jakie biurokraci wyznacza ceny.

Nie można też uznać za „socjalistyczne“ prawo, które wprowadziło kapitalistyczną koncepcję firmy, znaków towarowych itp.

Z długich wywodów Wiszniewskiego na temat prawa socjalistycznego i kapitalistycznego wynika, że jeden tylko artykuł (41) przepisów ogólnych prawa cywilnego, który stanowi, że „czynności prawne niezgodne z zasadami współżycia społecznego w państwie ludowym są nieważne“ ma wszelkie znamiona „prawa socjalistycznego“, albowiem według jego komentarza, „zasady współżycia społecznego są to normy oparte na nakazach moralności; socjalistycznej, regulującej różnorodne stosunki społeczne. Normy te nie są normami prawnymi... Zasady współżycia społecznego mają charakter klasowy“.

To prawo „socjalistyczne“ jest wyrazem typowego bezprawia, albowiem interpretacja i zastosowanie tego „prawa“ w praktyce daje olbrzymie pole do nadużyć i stosowania tyranii przez biurokrację i klikę rządzącą względem bezbronnego obywatela.

Z drugiej strony wydaje się, że odwrót od „socjalizmu“ w krajach „demokracji ludowej“ robi dość znaczne postępy.

Bolszewizm jest jak epidemia, która zwykle zaczyna wygasać w centrum powstania, przy czym objawy chorobowe długo dają się odczuwać na peryferiach. Dotychczas tylko Stany Zjednoczone i Niemcy Zachodnie potrafiły dość skutecznie przeciwstawić się szerzeniu się tej epidemii. Nic więc dziwnego, że obecnie kraje te są najbogatsze na świecie.

Aleksander Stambrowski

Pod koniec marca, dokładnie w dniu 26 tego miesiąca, zebrać ma się na Kremlu XXIII Kongres Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego. Będzie to pierwsze od czasu obalenia Chruszczowa zebranie tego najwyższego i formalnie decydującego organu partyjnego, który jednak w praktyce bywa z reguły masówką, aprobującą jednomyślnie decyzje powzięte z góry przez kierownictwo. Kto to kierownictwo dziś reprezentuje? Para Breżniew-Kosygin, która w teorii może być na kongresie usunięta czy zmieniona, ale jest to mało prawdopodobne, ponieważ walka o władzę została rozegrana po pałacowej rewolucji na Kremlu z października 1964 w ciągu następnych czternastu miesięcy i kongres będzie już zapewne tylko epilogiem.

Walka następców Chruszczowa skierowana była przeciw reformom i całej linii poprzednika, którą też we wspomnianym okresie zasadniczo odwrócono. Odwołano mianowicie dekrety Chruszczowa z roku 1957, które zniósł centralne ministerstwa gospodarcze i wprowadziły w ich miejsce prowincjonalne „sownarchozy“, co było wówczas powodem opozycji Mołotowa, Malenkowa, Kaganowicza i innych, napiętnowanych przez Chruszczowa za to złowieszczym mianem grupy „antypartyjnej“. Nie rozprawiwszy się z nią jednak „naleźycie“ i hałaśliwie jej tylko wymyślając, gadatliwy Nikita został, po siedmiu tłustych dla siebie latach, z kolej obalony przez młodszą generację zwolenników poprzedniego, centralistycznego ustroju. Został on przywrócony postanowieniami CK partyjnego i Wierchownego Sowietu z jesieni 1965.

„Nieodwracalne“, które się odwróciło.

Przywrócony ub. roku ustrój był dziełem okresu stalinowskiego, czyli kontr-reforma pary Breżniew-Kosygin, inspirowana podobno przez samego Mołotowa, była poważnym aktem teźże restalinizacji, która zachodni wyznawcy teorii procesów „nieodwracalnych“ uważali za wykluczoną. Aktem zresztą nie jedynym, ponieważ stopniowo i ostrożnie nowe kierownictwo Kremla wkroczyło na drogę przywracania również w Sowietach dobrego imienia nakrwawszemu z bolszewickich tyranów.

Zacząło się od filmu w 20 rocznicę zakończenia II wojny światowej, przy którego wyświetlaniu na Kremlu długo oklaskiwano postać Stalina. Dalej przyszły dodatnie oceny jego wojskowej roli podczas ostatniej wojny w artykułach marszałków. Wreszcie w styczniu „Pravda“ opublikowała artykuł trzech historyków sowieckich, krytykujący zwrot „okres kultu jednostki“,

XXIII KONGRES MOSKIEWSKI POD ZNAKIEM RESTALINIZACJI

jaki wprowadzono za Chruszczowa dla określenia rządów Stalina. Na koniec niektórzy zachodni korespondenci donieśli z Moskwy, jakoby przygotowany był już pomnik na grobowiec Stalina pod murem Kremla.

Cała ta, restalinizacyjna linia następców Chruszczowa stanowi odwrócenie i przekreślenie wyników kongresów partyjnych, odbytych za rządów Nikity: XX-tego kongresu z lutego 1956, na którym wygłosił on znaną i rozgłomowaną na Zachodzie, choć była poufna, mowę antystalinowską oraz XXIII-tego z października 1961, podczas którego wyrzucono mumię Stalina z mauzoleum leninowskiego pod mur Kremla, do rzędu grobów osobistości drugorzędnych. XXI kongres z lutego 1959 nie zaznaczył się niczym szczególnym. Teraz stoimy przed XXIII-m kongresem marcowym, który ma uświęcić erę stalinizmu wznowionego, choć nie we wszystkich — jak dotąd — swoich elementach.

Warto przypomnieć, że — wprawdzie z życia Stalin był na zachodzie zachwalany — następną destalinizację traktowano, jako proces równoznaczny z demokratyzacją, nieodwracalny i będący głównym argumentem za koegzystencją z Sowietami. Obecnie znów, sowietologowie zachodni starają się restalinizacji nie zauważyć, lub przynajmniej nie wysnuwają z niej należytych wniosków.

Stosunki Moskwy z Pekinem.

Następcy Chruszczowa zaczęli po objęciu władzy naprawiać stosunki z Pekinem, doprowadzone za poprzednika do stanu bliskiego zerwania. Czu-En-lai zjawił się w listopadzie 1964 po kilkuletniej przerwie na uroczystościach bolszewickiej rewolucji w Moskwie i nawzajem Kosygin w styczniu 1965 odwiedził dwukrotnie Pekin z okazji podróży do Hanoi. Rężymowi pfn. Wietnamu nowe kierownictwo postanowiło udzielić znacznej i manifestacyjnej pomocy, zaniedbywanej przez

Chruszczowa. Zwrot ten miał charakter antyamerykański i Moskwa spodziewała się bez wątpienia, że to wystarczy do odbudowy dobrych stosunków z Pekinem.

To jednakże nie nastąpiło i polemiki prasowe ze strony komunistów chińskich rychło zostały wznowione przy dużej wstrzemięźliwości Moskwy, która zarazem przyjęła zupełnie odmienną niż za Chruszczowa taktykę. Zaczęła rywalizować z Pekinem w atakach na Stany Zjednoczone i popieraniu antyamerykańskiej wojny komunistów wietnamskich, a dalej podkreślać ze szczególnym naciskiem konieczność utrzymania jedności komunizmu. To wszystko poprawiło jej pozycję wśród większości kompartii oraz w całym obozie światowej rewolucji.

Wreszcie pod koniec roku 1965 prasa sowiecka zaczęła spokojnie replikować pekińskiej, a w styczniu 1966 przesiąkły na Zachód niedyskrecje o liście kremłowskiej centrali do członków partii w sprawie stosunków z partią chińską. List przedstawia, według informacji korespondentów zachodnich z Moskwy, sowiecką wersję przyczyn sporu z reżymem chińskim i zarzuca mu również rozszerzenie konfliktu z płaszczyzny partyjno-ideologicznej na państwową. Rzekomo incydenty graniczne oraz trudności, robione transportom pomocy ZSSR dla pñ. Wietnamu, mają być głównym tego rozszerzenia przykładem. Pekiniński „Dziennik Ludowy“ powtórzył w odpowiedzi stereotypowe ostatnio zarzuty pod adresem Moskwy, pomawiające o rewizjonizm czy spiskowanie przeciw Chińskiej Republice Ludowej z Ameryką i nieustające zresztą od dawna zapowiedzi „ostatecznego zerwania“ Moskwy z Pekinem znowu się pojawiły na czołowych łamach zachodniej prasy.

Tymczasem, rocznica przymierza czerwonych reżymów Moskwy i Pekinu, przypadająca 14 lutego, obchodzona była w atmosferze chłodu, lecz poprawnie, a prasa obu stolic zachwalała swoim czytelnikom, zawarty w 1950 r. sojusz i podkreśliła jego dodatnie strony. Pojawiły się też zaprzeczenia, jakoby w związku z XXIII kongresem partyjnym na Kremlu miał się odbyć światowy zjazd komunistycznych partii, któryby wyklął partię chińską.

Uchwały przedkongresowe CK.

19 lutego ogłoszono w Moskwie projekt nowej 5-letki, 1966-70, przyjęty przez Centralny Komitet, który wniosie

go pod obrady XXIII-ego Kongresu, mającego zebrać się na Kremlu 26 marca. Projekt utrzymuje prymat ciężkiego przemysłu, ale robi też koncesje dla dóbr konsumpcyjnych. Produkcja ciężko-przemysłowa ma wzrosnąć bowiem aż o 49-52 procent, podczas gdy lekkiego i konsumpcyjnego o 40 procent. Projekt obiecuje „istotny wzrost“ dobrobytu ogólnego i o 30 procent osobistego dochodu realnego. Produk-

cja samochodów ma być rzekomo pomnożona czterokrotnie, równoległe ilości telewizorów, lodówek i żywności.

Kremj zapowiada w ciągu lat 1966-1970 duży wzrost konkurencyjności gospodarki sowieckiej w stosunku do „kapitalistycznej“, ale nie obiecuje jej prześcignięcia. Kompromitacja tego rodzaju przechwałek Chruszczowa nie została, widać, zapomniana przez ostrożniejszych następców. (z. s.)

RUMUŃSKA DROGA KU NIEZALEŻNOŚCI GOSPODARCZEJ

Książka Davida Floyda po polsku

ROZBICIE jedności komunistycznego monolitu, zapoczątkowane sporem ideologicznym sowiecko-chińskim, budzi na Zachodzie naturalne i żywe zainteresowanie. Owocem tego zainteresowania jest książka **Dawida Floyda**, redakcyjnego eksperta „Daily Telegraph'u“ od spraw komunistycznych, zatytułowana „**Rumunia — intryga czy wyzwanie?**“, udostępniona przez Polonia Book Fund Ltd., czytelnikowi polskiemu w specjalnie przystosowanej do jego potrzeb wersji.

Rumunia, przez wiele lat spychana w bloku sowieckim do roli producenta surowców, przeszła w okresie 1956-58 cichą rewolucję, o której mało się słyszało aż do momentu, w którym przywódca rumuńscy zaczęli umiejętnie wygrywać Chiny przeciw Rosji, starając się w wielkim sporze ideologicznym zajmować stanowisko neutralne. Niemniej, w okresie swojej „cichej rewolucji“ Rumunia stoczyła zwycięską walkę z sowieckimi planami, dążącymi do utrwalenia podziału państw komunistycznych w Europie na dostawców surowców i dostawców fabrykatów, osłabając najszybszy rozwój uprzemysłowienia ze wszystkich państw bloku sowieckiego. Interesujące opisy tych walk podjazdowych i zakulisowych rozgrywek, zwłaszcza na terenie Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, utworzonej w r. 1949, jako główne narzędzie Rosji dla powiązania gospodarki krajów sowieckiego bloku, w sposób jak najbardziej dogodny dla Sowietów i uniemożliwiający tym krajom zdobycie jakiegokolwiek niezależności ekonomicznej, stanowią główny temat książki Floyda. Naturalnie, wszelkie wysiłki rumuńskie, zmierzające do wszechstronnego uprzemysłowienia swego kraju, spełzyłyby na niczym, gdyby nie szczególnie korzystna koniunktura polityczna, stworzona przede wszystkim przez zachwianie panowania sowieckiego w środkowej i wschodniej

Europie na skutek powstania węgierskiego i polskiej rewolucji październikowej, a następnie przez ideologiczny rozłam obozu komunistycznego w wyniku sporu sowiecko-chińskiego. Uderzające jest jednak, że przywódcy rumuńscy potrafiliby sobie w tym niezależności, którego nie osiągnęła „niezależny“ Gomułka dla Polski. Kwietniowa „Deklaracja niezawisłości“, uchwalona przez plenum Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Rumuńskiej w 1964 r., wyraźnie stwierdziła, że rozwój gospodarczy państw socjalistycznych winien opierać się na pełnym wykorzystaniu potencjalnych możliwości każdego kraju, że wprowadzenie ponad państwowego organu planowania gospodarczego byłoby sprzeczne z zasadami komunizmu i że socjalistyczny podział pracy nie oznacza, aby państwa socjalistyczne wyłączały się z ram światowych stosunków gospodarczych. Po takiej linii posuwa się obecnie rozwój gospodarczy Rumunii, a wszelkie wysiłki sowieckie, zmierzające do podporządkowania gospodarki Rumunii swoim planom, odpierane są zrezygnie przez rumuńskie władze państwowe. Oczywiście, jak to stwierdza Floyd, niezależność ekonomiczna Rumunii nie oznacza zmiany komunistycznych założeń rządu i partii. Rumunia jest w dalszym ciągu państwem ortodoksyjnie komunistycznym, gdzie wszelkie odchylenia od linii partyjnej spotykają się z natychmiastowymi represjami, czym też tłumaczy się rzadkość przejawów fermentu wśród intelektualistów rumuńskich, trzymany w żelaznych ryzach przez władze. Stosunkowa niezależność Rumunii od dyktatu sowieckiego dotyczy tylko i wyłącznie sfery ekonomicznej.

Czytaj książkę polską

Książka Floyda jest napisana żywo żywo i przystępnie i zawiera wiele szczegółów, które chociaż niewątpliwie znane naszym specjalistom od spraw sowieckich, mogą i powinny zainteresować szersze koła czytelników.

DŁUGA I TRUDNA DROGA

„Zjednoczona Europa — teoria i praktyka“

GDYBY Europa została zjednoczona i mogła się dzielić swoim wspólnym dziedzictwem, nie byłoby granic dla szczęścia, pomyślności i chwały, które stałyby się udziałem trzech do czterech setek milionów jej mieszkańców“. Tak mówił Winston Churchill w swojej słynnej mowie w Zurychu w 1946 r. Od tego czasu upłynęło lat dwadzieścia; nadzieje na szybką realizację zjednoczenia europejskiego zostały definitywnie pogrzebane; najwięksi jego entuzjaści pogodzili się z koniecznością powolnego postępu, niejednokrotnie przerywanego okresami zupełnego zastoj; na horyzoncie myśli politycznej pojawiła się przeciwstawna idea „Europy ojczyzn“, rzuciona przez przywódcę kraju, który w okresie powojennym wydał najwybitniejszych teoretyków i praktyków zjednoczenia europejskiego. Tę długą i trudną drogę, prowadzącą ku realizacji wspólnoty europejskiej, przedstawił w swojej książce pt.: „Zjednoczona Europa — Teoria i praktyka“, wydanej przez Polonia Book Fund Ltd., pod koniec 1965 r., Piotr Wandycz i Ludwik Frencl.

Autorzy rozpoczynają od próby zdefiniowania pojęcia Europy, zarówno w sensie geograficznym, jak i kulturowym. Po rzuceniu oka na prawne zagadnienia federalizmu przechodzą do historii idei europejskiego zjednoczenia, od imperium rzymskiego aż do powstania Rady Europejskiej w 1949 r. przy czym nie pomijają interesujących polskich czytelnika polskich projektów, dotyczących jedności europejskiej, jak „Memoriał o ugruntowaniu ogólnego pokoju“ króla Stanisława Leszczyńskiego z 1748, czy też koncepcji Ks. Adama Czartoryskiego. Obszerny opis historii i instytucji Rady Europejskiej, związanych z nią nadziei i ich upadku prowadzi do rozpatrzenia Wspólnoty Węgla i Stali i Wspólnego Rynku, skąd autorzy przechodzą do Europej-

skiej Strefy Wolnego Handlu, utworzonej wokół Wielkiej Brytanii w 1959 r., jako odpowiedź na Wspólny Rynek. Ekonomiczny obraz Małej Europy (Francja, Niemcy, Włochy i Beneluks) uzupełniony jest krótkim zarysem Euratomu, czyli wspólnego rynku atomowego.

Dalsza część pracy Wandycza i Frencla zajmuje się niezrealizowaną na skutek oporu parlamentu francuskiego Wspólnotą Obronną i utworzeniem Unii Zachodnio-Europejskiej w 1954 r., która w pewnym sensie skierowała sprawę europejskiego zjednoczenia na boczny tor, będąc jeszcze jedną z wielu powojennych organizacji między państwowych, zamiast stać się nareszcie organem ponadpaństwowym. Autorzy nie pomijają organizacji europejskich o charakterze regionalnym, jak Beneluks, czy Rada Nordycka, lub Pakt Bałkański, jak również organizacji, grupujących państwa komunistyczne środkowej i wschodniej Europy. Ostatni rozdział poświęcony jest rozważaniu dalszych możliwości zjednoczenia Europejskiego wobec oporu de Gaulle'a przeciw daleko posuniętej integracji politycznej, który, jak wiadomo, doprowadził do zatrzymania procesu scalenia „Małej Europy“ w jedną całość. Wandycz i Frencl zamykają swoje studium optymistyczną nutą, wyrażając przekonanie, że już nic nie potrafi zatrzymać raz rozpoczętej budowy europejskiego zjednoczenia, przez które rozumieją wspólnotę całej Europy, obejmującej „ziemię, dokąd legiony rzymskie zaniósły znak krzyża, dokąd dotarł alfabet łaciński i gdzie wznoszą się budowle gotyku i baroku“.

Trudno oczekiwać, aby praca Wandycza i Frencla, nie mająca charakteru popularyzatorskiego, zainteresowała przeciętnego czytelnika. Wydaje mi się jednak, że dla ludzi, starających się usystematyzować swoją wiedzę o jednym z najważniejszych zagadnień politycznych współczesnego świata, książka ta powinna stać się rodzajem encyklopedii zagadnień europejskiego zjednoczenia, do której będą niejednokrotnie powracać dla sprawdzenia faktów i trudnych do zapamiętania szczegółów. Czytelnik, pragnący pójść jeszcze dalej w zapoznaniu się z problemami europejskiej wspólnoty, znajdzie w książce Wandycza i Frencla niezmiernie bogatą bibliografię, starannie podzieloną na działy. Sumując: bardzo sumienne opracowanie tematu, który powinien interesować nas wszystkich.

Stefan Wóycicki

POPIERAJ POLSKIE FIRMY

KAPITAN Edmund Banasikowski (ps „Jeź“), młody oficer służby stałej, przeszedł ciężką zaprawę w ramach „Wachlarza“, który był specjalną organizacją dywersyjną na wschodzie, podległą Armii Krajowej. Niemcom udało się rozbić jego oddział, powrócił więc stamtąd do Wilna, w marcu 1943 roku, zameldował się u ppłk. „Wilka“ i ruszył do Warszawy, by tam zdać raport swemu przełożonemu z dywersji. Chciał wrócić na Wileńszczyznę, prosił o to i osiągnął to, czego pragnął. Odkomenderowano go do dyspozycji dowódcy okręgu wileńskiego. Już pod koniec maja był z powrotem. Skierowano go w teren, do powstającej właśnie partyzantki.

Teraz, wieczorem, dnia 6 lipca, maszerował na Wilno w zgrupowaniu „Jaremy“, jako oficer operacyjny. Już wcześniej przygotował i uzgodnił z dowódcą wszystkie rozkazy i nie pozostało mu nic innego, jak wyciągać nogi i przeć naprzód, do coraz bardziej gęstniejącej ciemności.

Po kilku godzinach marszu kolumna, mocno ubezpieczona, zatrzymała się. Żołnierze musieli odpocząć, trzeba się było także pożywić. Nie rozpalano ognia, nie gotowano ciepłej strawy. Chodziło o zachowanie możliwie pełnej ostrożności. Noc była ciepła, partyzanci posiadali i pokładli się, gdzie który stał, i poczuli wyciągać rozdany przedtem prowiant. Po chwili, choć rozkaz mówił, że nie wolno, pokazały się tu i tam wałęsne ogniki: papierosów, chowane w zwiniętej dłoni.

Padł rozkaz, podany półgłosem z ust do ust, żołnierze podnieśli się i kolumna ruszyła. Już zaczynało świtać, gdy zgrupowanie dotarło do miejsca, które zostało wyznaczone jako podstawa wyjściowa do natarcia. Kolumna zatrzymała się. Na horyzoncie, na tle budzącego się nieba, zamajaczyły kontury Wilna.

Kpt. Banasikowski podszedł do „Jaremy“.

— Panię majorze, mamy atakować Rosę, musimy więc pójść przez Lipówkę i Hrybiszki.

— Tak jest. Czy dowódcy baonów i 13 brygady otrzymali już swe zadania?

— Otrzymali. Zrobiliśmy to jeszcze przed rozpoczęciem marszu.

— Dobrze. Niech pan zaraz pchnie gońców, by przybyli na odprawę. Już świta, lada chwila zaczynamy.

Po raz ostatni głowy oficerów pochyliły się nad mapą, po której „Jarema“ wodził małym ogieńkiem kieszonkowej latarki.

— Panowie, już wiecie, że uderzenie nasze skierowane będzie na Rosę. Mam wiadomości, że Niemcy pobudowali tam umocnienia. Trudno, musimy ich stamtąd wykurzyć. Gdy to osiągn-

POD WILNEM

Poniżej drukujemy fragment z nowej książki Józefa Garlińskiego pt. „Między Londynem i Warszawą“, która ukaże się w niedługim czasie nakładem „Gryfu“. Fragment wyjęty został z rozdziału „Pod Wilnem“, obejmujący okres gorących dni połowy lipca 1944 roku, gdy oddziały AK atakowały Wilno i próbowały wypędzić z miasta Niemców.

Redakcja

niemy, nawiązemy współpracę ze zgrupowaniem majora „Pohoreckiego“. Další atak pójdzie na śródmieście. „Pohorecki“ będzie nacierać na prawo od nas, na kolonię kolejową i Belmont. Będzie ciężko, bardzo ciężko. Nasza główna szansa to zaskoczenie.

Ledwo wypowiedział te słowa, na przedpolu odezwały się strzały. Oficerowie podnieśli głowy. Znowu odezwała się długa seria karabinu maszynowego. Nikt się nie odezwał. Wszyscy zrozumieli, że nadzieja na niespodziewane uderzenie odpadła.

Kompanie i plutony zajęły wyznaczone sobie pozycje, broni maszynowej wskazano kierunki obstrzału, zbliżały się ostatnie minuty. Nagle odezwał się warkot motoru. Na drodze pokazał się otwarty samochód. „Jarema“ poznał go i ruszył w tamtym kierunku. Banasikowski za nim. Podpułkownik „Wilk“ wysiadł powoli i stanął wyprostowany z ręką przy furazercie. „Jarema“ zdał raport, ruszyli wzdłuż linii przygotowanych do natarcia oddziałów. „Wilk“ był spokojny, ale szedł ciężko, a z jego szczupłej twarzy wizerało zmęczenie. Zatrzymał się, spojrzał na zegarek, a później podniósł wzrok i przez chwilę wpatrywał się w widoczne już wyraźnie, kontury miasta.

— Koledzy — rzekł powoli — w imię Boże, zaczynajcie.

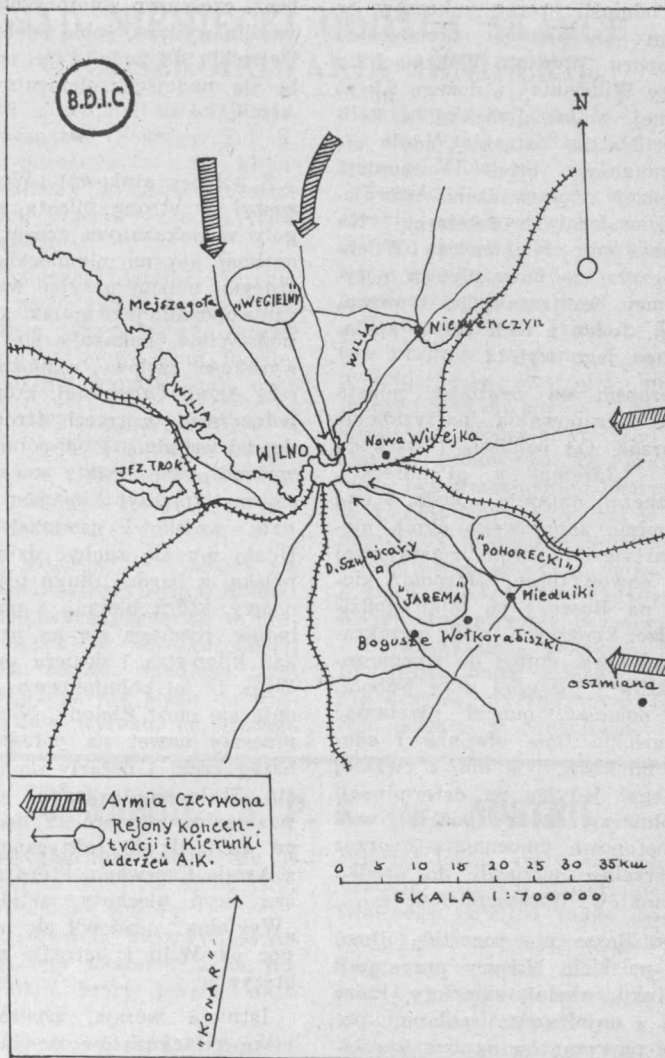
W WILNIE nikt prawie nie kładł się spać tej nocy. Konspiracja otrzymała alarmowe rozkazy i choć poszarpano jej siatkę, zajęła wyznaczone sobie punkty, czekając na sygnał do rozpoczęcia walki. Zwykli mieszkańcy miasta także wiedzieli o co chodzi, a wszystkie okoliczności wskazywały na to, że bój rozpocznie się lada godzina. Od wschodu dochodził nieustanny huk dział, samoloty sowieckie pokazywały się co dzień i bombardowały

wały tory kolejowe i niemieckie umocnienia, a okupanci, poza ostatnimi wysiedleniami, krzatali się gorączkowo i widać było, że także spodziewają się bliskich rozstrzygnięć.

Godzina „0“ dla miasta nie została dokładnie wyznaczona. Atak od wewnątrz musiał być zsynchronizowany z uderzeniem dużych jednostek z zewnątrz, czekano więc na początek bitwy, który miał być sygnałem do rozpoczęcia ulicznych walk. Całe Wilno było podzielone na konspiracyjne rejony i dzielnice, które z kolei rozlamywały się na kompanie i plutony. Całość, w momencie otwartego boju, miała stworzyć 85 pp. Armii Krajowej. Niestety, ostatnie niemieckie wysiedlenia zrujnowały misternie przygotowane plany, a dodatkowe trudności wynikły z rozkazu, który przewidywał, że wszystkie konspiracyjne punkty zbrojne na prawym (północnym) brzegu Wilii mają być natychmiast przeniesione na lewy. W rezultacie do walki wszedł tylko 2 baon 85 pp., porozbijany na niewielkie od-

działy, liczące po 20-30 żołnierzy. Walkami w mieście kierował dotychczasowy szef sztabu okręgu ppłk. Luboślaw Krzeszowski (ps. „Ludwik“), który z chwilą objęcia przez „Wilka“ komendy nad połączonymi oddziałami Wilna i Nowogródka, został komendantem okręgu wileńskiego.

O brzasku odezwały się karabiny maszynowe, w niedługim czasie dołączyły do nich niemieckie działa, stało się jasne, że atak na miasto został już rozpoczęty. Natychmiast pochowani po domach podziemni żołnierze poczęli wychodzić na ulicę i gromadzić się w oddziały. Byli przeważnie po cywilnemu, o ich przynależności do Armii Krajowej świadczyły tylko białoczerwone opaski. Niemcy najsilniej trzymali się w śródmieściu, w rejonie ul. Mickiewicza, placu Orzeszkowej, placu Katedralnego i Cieletnika, tam więc o sukces było najtrudniej. Młodzi żołnierze, choć uzbrojenie ich nie było najwyższej jakości i choć operowali małymi oddziałami, zaatakowali jednak z taką



furią, że odnieśli szereg sukcesów, w najbliższym sąsiedztwie niemieckich punktów oporu. Wyparto Wehrmacht z części ulicy Wileńskiej, z dużego odcinka Zawalnej, z Jagiellońskiej, z Żeligowskiego. Na tej ostatniej udało się zdobyć magazyn broni i amunicji. Czym prędzej rozproszono uzbrojenie wśród walczących żołnierzy. Na skrzyżowaniu ulic Mickiewicza i Wileńskiej rozegrała się poważniejsza potyczka. Niemcy, kontratakując, wprowadzili czołgi. Jeden z nich został spalony, a załoga jego wybita.

A tymczasem na zewnątrz miasta trzy duże zgrupowania partyzanckie parły naprzód. Od południa i wschodu atakowali „Jarema“ i „Pohorecki“. Obydwoj zaczęły natarcie o godz. 3 nad ranem i mimo zaporowego ognia niemieckiej artylerii i broni maszynowej zdobywali powoli teren. „Jarema“ kierował się na Rossę i po kilku godzinach bardzo krwawych walk przekroczył tor kolejowy, dotarł do wyznaczonych punktów i osiągnął ulicę Subocz. By tego dokonać, musiał przełamać dwie niemieckie linie obronne i zdobyć kilka bunkrów. Nie mając ciężkiej broni, polegał jedynie na determinacji swoich żołnierzy, którzy podczołgawali się pod betonowe umocnienia i przez otwory strzelnic wrzucali do środka wiązki granatów. Wzięto 60 jeńców.

Niestety, Rossa nie pozostała długo w rękach polskich. Niemcy przystąpili do kontrataku, wysłał samoloty, które bezkarnie, z najniższego pułapu, poczęły razić partyzantów ogniem karabinów maszynowych, pokryli teren mostem artyleryjskich pocisków i zaatakowali formację pancernych samochodów. Zgrupowanie nawiązało już kontakt z oddziałami „Pohoreckiego“, było oddalone od śródmieścia zaledwie o 1000 metrów, ale na zdobytych pozycjach nie mogło się utrzymać. „Jarema“, po naradzie z Banasikowskim i oficerem swego sztabu kpt. „Kowalem“, wydał rozkaz do odwrotu. Zastosowano partyzancką taktykę, poczęto małymi grupkami odrywać się od nieprzyjaciela i odchodzić na południe w rejon koncentracji, którym był dwór Szwajcary.

Z większym szczęściem atakował „Pohorecki“. Zaczął bardzo niepomyślnie, bo jeden z oddziałów brygady „Szczerbca“ jeszcze w czasie domarszu natknął się na małą kolumnę niemiecką i wplątał się w strzelaninę, którą posłyszano szeroko i która przekreśliła wszelkie rachuby na zaskoczenie, ale później rozwinął swe natarcie bardzo skutecznie. Kierował się na Kolonię Kolejową i zdobył ją, obsadzając dworzec, mimo, że natrafił tam na niemiecki pociąg pancerny. Niemcy i tam przeprowadzili przeciwnatarcie, ale brygada „Szczer-

bca“, częściowo zmotoryzowana, nie pozwoliła wyrzucić sobie zdobytego terenu. Dotrwała do godz. 4 po poł. i doczekała się nadejścia elementów Czerwonej Armii.

Z północy atakował „Węgielny“. Wyruszył w stronę miasta spod Mejszagoły w nakazanym czasie, ale w nocy natknął się na niemieckie oddziały, z którymi musiał przyjąć walkę. To znacznie opóźniło jego marsz. Gdy podszed pod Wilno, pokazały się już na jego wysokości czołowe, rozpoznawcze jednostki Armii Czerwonej, która atakowała jednocześnie z trzech stron: od wschodu, od południa i od północy. „Węgielny“ porozumiał się z sowieckim dowódcą, wytłumaczył kim jest i jakie wieździe wojsko i nawiązał współpracę. Udało mu się zdobyć dzielnicę Kalwaryjską, z bardzo długą ulicą tej samej nazwy, która biegnie z północy na południe, rozciąga się na przestrzeni ponad kilometra i dociera prostopadle do Wilii. U jej południowego wylotu znajduje się most Zielony. Niektóre patrole przeszły nawet na południowy (lewy) brzeg rzeki i dotarły do centrum miasta. Stało się to jednak później, przypuszczalnie dopiero 12 lipca. Pierwszego dnia, dzięki taktycznej współpracy z Armią Czerwoną, która posiadała ciężką broń piechoty, artylerię i czołgi, „Węgielny“ usadowił się mocno na północ od Wilii i potrafił zdobyty teren utrzymać.

Istnieje wersja, powtarzana przez kilku relacjonistów, że już pierwszego dnia walk, które jednak nie przyniosły powodzenia, bo nie doprowadziły do zdobycia miasta i zakończyły się częściowym odwrotem, któryś z patroli potrafił zawiesić na Górze Zamkowej narodową chorągiew. Byłoby to równoznaczne z dotarciem do centrum miasta. Jeden z relacjonistów twierdzi, że dokonała tego brygada „Szczerbca“ ze zgrupowania „Pohoreckiego“, inny całkowicie zaprzecza i utrzymuje, że „Szczerbiec“ dotarł do kolonii kolejowej i tam się zatrzymał, a do samego miasta nigdy nie wszedł.

W świetle sprzecznych relacji, w braku świadectwa kogoś wiarygodnego, kto byłby uczestnikiem tego wydarzenia, przy stwierdzonych faktach, że natarcie na miasto, dokonane pierwszego dnia, załamało się, przyjąć należy rozwiązanie inne. Jeżeli chorągiew narodowa zawisła na Zamkowej Górze już pierwszego dnia walk, dokonanie tego mógł któryś z oddziałów 2 baonu 85 pp, walczącego przeciw stosunkowo niedaleko, bo na ul. Wiedeńskiej. Nie wymagało to opanowania rejonu Zamkowej Góry, wystarczył śmiały i szybki wypad małego patrolu.

Nadeszła noc i położyła chwilowy kres gwałtownym walkom. Wszystkie trzy polskie zgrupowania, które zaatakowały miasto, były już w styczności z wojskami sowieckimi. „Jarema“, który samodzielnie doszedł najdalej, musiał się wycofać pod naporem niemieckim i dopiero poza miastem, gdy było już zupełnie ciemno, spotkał pierwsze sowieckie jednostki. Gdy zgrupowanie powróciło do dworu Szwajcary, zastało tam sztab „Wilka“ i jego samego, ledwo trzymającego się na nogach ze zmęczenia. „Jarema“ natychmiast udał się do dowództwa i po krótkiej naradzie kazał zaważać kapitana Banasikowskiego. Wydał mu rozkaz, by na czele patrolu oficerskiego odszukał najbliższego sowieckiego dowódcę, przedstawił mu położenie polskich oddziałów i spróbował uzgodnić przyszłe działania.

Po krótkim marszu patrol natrafił na rosyjskie ubezpieczenia i został doprowadzony do pułkownika, który z mapą i latarką stał pod drzewem w niewiel-

BILETY KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRĘTOWE

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.

Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street

Tel. MID 1526

SĄD NIEMIECKI ODDAŁA SKARGĘ O ODSZKODOWANIA JENIECKIE

Komisja dla spraw należności jenieckich przy Zarządzie Głównym S. P. K. spowodowała wdrożenie — jak kilkakrotnie donosiliśmy — dwu procesów precedensowych przeciw rządowi NRF — a w szczególności:

1. proces o należność jeńców szeregowych za wykonywaną przez nich ciężką pracę przymusową, której Niemcy wbrew konwencji haskiej i genewskiej nie wynagradzali, oraz
2. proces o należne jeńcom-oficerom wyrównanie poborów, wypłacanych bezprawnie w wysokości znacznie niższej niż przewidzianej w prawie międzynarodowym.

W dniu 17 grudnia 1965 odbyła się w Sądzie Administracyjnym w Kolonii od dawna oczekiwana rozprawa w procesie szeregowych, w wyniku której skarga polska została oddalona. Sąd do dnia dzisiejszego nie podał do wiadomości motywów wyroku, od którego

niewątpliwie złożone zostanie odwołanie do Wyższego Sądu Administracyjnego w Münster.

Termin do rozprawy w procesie oficerskim ma być wyznaczony wkrótce. O jego wyniku, jak również o motywach wyroku w procesie żołnierskim — poinformujemy osobnym komunikatem.

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów pragnie przypomnieć, że wysiłki o uwzględnienie słusznych roszczeń b. jeńców polskich trwają z górą, od dziecięciu lat. Początkowo rząd niemiecki stał na stanowisku, że sprawa ta nie może być przedmiotem kargi sądowej. W r. 1961 Najwyższy Sąd w Karlsruhe orzekł, iż postępowanie sądowe o odszkodowania jenieckie może się odbyć i zlecił Sądowi Administracyjnemu w Kolonii rozpatrzenie pozwów.

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów będzie nadal zabiegać o naprawienie krzywd, wyrządzonych byłym jeńcom polskim w Niemczech.

kim lasku. Banasikowski przedstawił się, powiedział, że jest oficerem stabu polskich oddziałów partyzanckich, które przed kilkunastu godzinami zaatakowały Wilno z zamiarem wyparcia Niemców i że przysyła go dowódca tych oddziałów z propozycją nawiązania współpracy. Pułkownik wskazał mu mapę, oświetlił ją latarką i poprosił, by kolorowym ołówkiem naniósł na nią pozycje, zajmowane przez polskie oddziały, oraz pozycje i umocnienia niemieckie, jeżeli są mu znane. Po wykonaniu tej czynności Banasikowski opisał w krótkich słowach walkę zgrupowania „Jaremy“ na Rossie, powiedział o konieczności wycofania się i ponowił propozycję współpracy. Otrzymał odpowiedź, z której wynikało, że Rosjanin nie jest przeciwny wspólnemu działaniu, ale gdy przy pożegnaniu zapytał go o nazwisko i nazwę dowodzonej jednostki wojskowej, padło krótkie zdanie:

— Eto nie wasze dzieło.

Gorzej ułożyły się pierwsze godziny wzajemnych stosunków na Kolonii Kolejowej, do której dotarły dwie brygady: „Szczerbca“ i „Tura“. „Szczerbca“ uniknął nieprzyjemności, ale „Tur“ znalazł się w wielkich opałach. Lokalny sowiecki dowódca wydobyl oden wszystkie potrzebne mu wiadomości o położeniu Niemców, a później dosyć niespodziewanie zażądał złożenia broni. „Tur“, zaskoczony i steroryzowany, o mało nie poddał się temu żądaniu, ale zdołał jeszcze nawiązać kontakt z „Pohoreckim“ i na jego rozkaz ukrył broń gdzie się dało, a żołnierzy swych rozpuścił. W niedługim czasie, najprawdopodobniej dzięki interwencji „Wilka“, Rosjanie wycofali się z tej decyzji i nawet przeproszali, ale pierwszy posiew nieufności zakiełkował już, i pozostał.

Bez incydentów minęła pierwsza doba walk o Wilno w zgrupowaniu „Węgielnego“. Spotkał on Bolszewików najwcześniej, nawiązał kontakt, maszerował wspólnie na miasto i przypuszczalnie dzięki temu miał spokój.

Ten wstępny okres został podsumowany depeszą wysłaną przez „Wilka“ do dowódcy Armii Krajowej:

„W nocy 7 lipca większość sił AK. samodzielnie uderzyła na Wilno. O godzinie 16,00 nadeszły wojska sowieckie. Walki trwają. Straty duże. Nawiązałem kontakt z dowódcą frontu. Stosunki chwilowo dobre.“

Józef Garliński

OTWARCIE S. P. K. w AUSTRII

Dnia 30 stycznia br. odbyło się w Wiedniu uroczyste otwarcie klubu Stowarzyszenia Polskiej Kultury.

Uroczystość otwarcia zaszczylił swoją obecnością Jego Ekscelencja ks. bp. Władysław Rubin, który dokonał aktu poświęcenia lokalu.

Federację Światową SPK reprezentował red. Tadeusz Norwid-Nowacki. Wśród zaproszonych gości znajdował się m. in. również radaca kulturalny miasta Wiednia, p. dr Ross oraz słynny portrecista polski, Bolesław Czede-kowski.

Po przemówieniu inauguracyjnym prezesa Stowarzyszenia Polskiej Kultury, Jana Kamińskiego, zabrał głos ks. bp. Wł. Rubin, który w serdecznych słowach życzył pomyślności i dalszego rozwoju Stowarzyszenia oraz zwrócił uwagę na doniosłość zbliżających się obchodów milenijnych, które w Wiedniu rozpoczną się dnia 1 maja br., od uroczystej Mszy św. celebrowanej przez Prymasa Polski, kardynała Wyszyńskiego, w katedrze św. Stefana.

W imieniu władz naczelnych SPK życzenia przekazał red. Norwid-Nowacki, który podkreślił niepodległościowy charakter wiedeńskiej placówki, skupiającej duży odsetek austriackiej Polonii.

Po części oficjalnej, zarząd Stowarzyszenia Polskiej Kultury podejmował zaproszonych gości lampką wina.

Stowarzyszenie Polskiej Kultury w Austrii istnieje od dwóch lat i ma już na swoim koncie pokaźny dorobek.

Własny lokal, który urządzono dzięki znacznej pomocy materialnej Zarządu Głównego SPK, a także dzięki wysiłkowi i ofiarności poszczególnych członków, ma wszelkie dane ku temu, by stać się ośrodkiem zebrań polskiej emigracji niepodległościowej i krzewienia najlepszych polskich tradycji.

Nagranie dźwiękowe z uroczystości otwarcia było emitowane przez Rozgłośnię Polską Radia „Wolna Europa“

(A. Ch.)

WPLACILI DO NASZEGO PRZED- STAWICIELSTWA WE FRANCJI NA LEKARSTWA DO KRAJU

4085 L. S. Co. (kpt. F. Iwański) Fr. 40,00; 4088 L. S. Co. (kpt. K. Rogoziński) Fr. 31,00; 4013 L. S. Co. (kpt. J. Jaworski) Fr. 30,65; 4096 L. S. Co. (por. M. Nomark) Fr. 50,00; 4507 L. S. Co. (mjr T. Kroja-Kopeć) Fr. 100,00.

Serdecznie dziękujemy!

NOWE WYDANIE

głośnej książki

STEFANA KORBOŃSKIEGO

„W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ“

w oprawie płóciennej

Cena: £3.3.0, \$9.00, 40.00 F.

„GRYP“ — 171, Battersea Church Road,
London, S. W. 11.

Goya, który wyprzedził o wiek cały ekspresjonistów niemieckich, jak Grosz i malarzy okrucieństwa pierwszej wojny; jako groza Goya jest dalej nieprześcigniony. Ale u kresu życia nie leży pogoda raj; częściej widmo piekła. Jak powiedziała mi jedna Hiszpanka „nikt u nas nie ma wątpliwości dokąd pójdzie po śmierci“. Dramat Don Juana w sztuce Zorilli jest żywy i realny; nie jest literaturą. Piekło jest dla Hiszpana — jak się już rzekło — czymś oczywistym.

HONOR I GODNOŚĆ

Banałem będzie twierdzenie, że honor zajmuje wysoką pozycję w tym kraju (w tym względzie przypomina on Polskę i to tłumaczy instynktowne, wzajemne sympatie obu ras do siebie). Hiszpania jest bowiem do szpiku kości krajem arystokratycznym i szlacheckim; Don Quijote nie jest postacią powieści, ale widmem historii. Jest to rzadki wypadek, że pisarz potrafił zakląć — mimowiednie może, przy użyciu autoironii — typ zbiorowy, czy cechę gromadną. Bieda i duma; pościg za skrajnymi marzeniami; potężna wyobraźnia, która rzuca rękawice rzeczywistości; upór i pamiętliwość, oto cechy, które przetrwały wieki.

Przedział między bogactwem nielicznych, a ubóstwem mas, istniał chyba zawsze; być może, że złagodzony on był w złotym wieku w Hiszpanii, kiedy stała ona u szczytu imperialnej potęgi. Ale chłop hiszpański robi wrażenie istoty zahartowanej na biedę od wieków: zdumiewające jak niewiele potrzeba mu do życia — trochę chleba, suchej kiełbasy, trochę wina, owoców, wody; resztę pożywienia daje mu słońce. Ten chłop i robotnik pracują więcej, aniżeli się mniema na Zachodzie; oczywiście, przeważnie nieodpowiednimi narzędziami.

„HISPANIDAD“ A POSTĘP GOSPODARCZY

Powojenne dzieje Hiszpanii świadczą, jak ten ambitny kraj potrafił bez Planu Marshall'a poprawiać mozolnie, ale stale swój poziom życia. Dzisiaj pomoc amerykańska płynie do Hiszpanii, a wraz z tym powstają problemy płacy: Amerykanie płacą o wiele lepiej, niż pracodawcy krajowi i „psują“ rynek rodzinny. Jest to nieuniknione. Hiszpania rozbudowuje drogi, które w dobie rządów Primo de Rivery należały do najlepszych w Europie; ulepsza trasy autobusowe, mnoży tzw. *autovia*, pociągi dieslowskie, lekkiego typu. Rozbudowują się porty, jak Alicante; lot-



niska, w tym madryckie, jedno z największych na kontynencie. Ameryka tworzy swoje bazy po cichu, albowiem duma narodowa Hiszpanów nie przeknęłaby tak łatwo otwartej roboty gościj z za Oceanu. Ale okazuje się, że stare urazy pamięta się dalej; Anglii nie wybaczone jeszcze Gibraltaru, chociaż błędem byłoby mniemać, że Gibraltal jest jakąś „krwawiącą raną“ Hiszpanii, czymś w rodzaju Alzacji-Lotaryngii, dla Francji sprzed r. 1914. Raczej używa się go, od czasu do czasu, jako pionka w politycznych machinacjach.

Przypuszczać wolno, że pozycja militarna USA na ziemi hiszpańskiej jest o wiele lepsza, aniżeli brytyjska z całym Gibraltarem. Hiszpania toleruje umacnianie baz amerykańskich także i dlatego, że w USA jest spory element hiszpańskich emigrantów; a poza tym Amerykanie odnoszą się życzliwie do idei *Hispanidad*, która krzewi się w Ameryce Płd. Kto widział tłumy turystów z Ameryki Płd. w Hiszpanii (nie może ona darować Anglii i tego, że nawet Amerykę Płd. zowie mianem *Latin America*), ten był skłonny dojść do wniosku, że idea *Hispanidad* nie jest czczym słowem. Idea ta, jak wszystkie bodaj podkreślające wspólnotę kulturalną, może być płodna. Hiszpanii brakuje do rozwinięcia tej idei funduszy; ale to, co zrobiono w drodze wymiany kulturalnej nie jest rzeczą do pogardzenia. Książki autorów hiszpańskich, wydawane w Madrycie czy Barcelonie idą do Ameryki Płd. i Środkowej; w ośrodkach w Meksyku czy Argentynie pojawiają się książki pisarzy hiszpań-

skich. Ta wymiana książek jest pożyteczna i rozszerza rynek autorów piszących po hiszpańsku.

Różne „święta kulturalne“ — jak 400-lecie urodzin Cervantesa, obchodzone w r. 1947 — stanowiły dowód, że czyny kultury odczuwane są głęboko przez wszystkie warstwy społeczne Hiszpanii. W krajach takich, jak Hiszpania i Włochy poczucie dokonań kultury sięga zaiste w głąb mas: jest to może poczucie podświadome, ale czujne; rasy romańskie różnią się w tej mierze dosyć poważnie od północnych. Podobnie jest z wielkością historii: dawność jej — a każdy, kto zwiedzał Hiszpanię musiał być przejęty dawnością tej ziemi — i świetność, ma prawie każdy we krwi. Hiszpania skurczyła się, zbiedniała i sprowincjonalniała, ale w jej zbiorowych kościach tkwi wiedza o dawnej wielkości. I to poczucie odróżnia narody Europy: Francję, Włochy, Hiszpanię, Szwecję czy Polskę od takiej Czechosłowacji, Jugosławii czy Bułgarii. Okazuje się bowiem, że w życiu jednostki, jak i w życiu narodu, nie jest obojętne, kim i czym się kiedyś było. Dopóki trwa ta pamięć w jednostce czy zbiorowisku — chociażby przysypana piaskiem lat — dopóty działają one według pewnych praw i obliczalnych odruchów. Dopiero, gdy przelazmie się ta pamięć dawnej wielkości, albo gdy okrutna rzeczywistość zepchnie tę pamięć zbyt głęboko w dół, jednostki i państwa zaczynają być *declassé* i działają już według innych praw wewnętrznych.

ZNAKI ZAPYTANIA

Generał Franco okazał się dotychczas twardym i zręcznym graczem, co przypisuje się często jego pochodzeniu: ludzie z Galicji, *Gallegos*, słyną z uporu, sprytu i zdrowego rozsądku. Franco jest jednym z nielicznych polityków — jeżeli w ogóle nie jednym — który nie dał się zbić z tropu Hitlerowi; można powiedzieć, że go wyprowadził w pole. Udało mu się zachować neutralność; przetrzymać powojenną furię żywiołów lewicy, która chciała wysadzić go z siodła i nawoływała do bojkotu czy nawet blokady Hiszpanii. Wyczekał cierpliwie na chwilę, kiedy geograficzny walor jego kraju osiągnął najwyższą cenę w Ameryce na tle zagrożenia Europy przez Rosję.

Nie zmienia to jednak faktu, że zgon albo odejście hiszpańskiego dyktatora może stworzyć w Hiszpanii niebezpieczne *vacuum*: Franco nadmiernie zwięzła z przygotowaniem następcy. Syn Don Juana, pretendenta do tronu, upatrzony jest ponoć na monarchę; ale życie polityczne Hiszpanii znajduje się w stanie paraliżu i tylko komuniści po-

TWARZE HISZPANII



trafili przejść do tajnego działania, jakkolwiek cierpią oni ogromnie na brak kadr — zostali w r. 1936 zdekapitowani. Ameryka zapatrzona w użyteczność militarnych baz hiszpańskich prześlepia moment polityczny; jest to niebezpieczna ślepotą, albowiem w Hiszpanii będzie się mnożył ferment. Dyktatura obecna nie jest żadnym faszyzmem, albowiem Falanga jest ideologicznym trupem, a nigdy nie była tworem oryginalnym. W Hiszpanii mamy do czynienia z rządami soldateski z dodatkiem kiepskiej biurokracji; przedłużanie paraliżu politycznego nie jest wskazane. Nawet, jeżeli Franco uznał, że pierwszeństwo w jego biednym kraju powinien mieć motyw ekonomiczny (pomoc amerykańska i turystyka obca, która zwyżkowała nad wszelkie spodziewanie, stale poprawiają stopę ży-

ciową kraju), to jednak przedłużanie niepewności politycznej nie wydaje się celowym w kraju o powoli odnawiającej się dynamice.

Znany krytyk angielski V. Pritchett w książce pt. *The Spanish Temper* stwierdza, że Hiszpania wywołała przewrót w jego życiu. Nie dlatego, że przeczytał za młodu *Del Sentimiento Trágico de la Vida* Unamuno: nie dlatego, że krajobraz Kastylii tak mocno wrył się w jego pamięć. I bez tego, pisze Pritchett, „dostrzegłbym, że Hiszpania jest starym, a koniecznym wrogiem Zachodu... I would still have seen that Spain is the old and necessary enemy of the West. There we learn our history upside down and see life exposed to the skin. Neither in France nor in Italy can one be so frankly stated there. We see the primitive hungers we live by and yet, by a curious feat of stoicism, fatalism, and lethargy, the passions of human nature are sceptically contained.“

Pritchett ma rację, gdy pisze, że „in variety, strangeness, grandeur the Spanish landscape is unequalled in Europe.“ Ma słuszość, kiedy kreśląc polityczne oblicze kraju ostrzega: „woe to the foreigner of any party who gets involved in the Spanish quarrel and believes Spain is an extension of Europe.“

DUMA ZBIOROWA

Episodios Nacionales powieściopisarza Galdós zawierają taką oto inwokację do ojczystego kraju: „O Hiszpanio, jakże ta sama i niezmienna jesteś, gdziekolwiek się spojrzysz w twoje dzieje, w którąkolwiek się zajrzy ich kartę! I nie ma nawet przebrania, by cię ukryć, żadnej maski aby osłonić twoją

twarz, żadnego blanszu i malowidła, by cię przekształcić i odmienić, albowiem gdziekolwiek się zjawiasz, poznać cię można na sto mil: połowa twej twarzy to fiesta, a druga to niedza; jedna ręka niesie wieniec laurowy, druga drapie zropiałe wrzody.“

Kraj skrajności, który od wieków przepędzał ludzi: Mauretanów, Żydów, protestantów, reformatorów, a za naszych czasów dostarczał tysiące emigrantów po wojnie domowej. „They are people of excess“, jak słusznie podkreśla Pritchett, najlepszy obok Brenana angielski znawca Hiszpanii. Zaznacza on słusznie, że ideał szlachectwa jest dalej żywy w tym kraju: *hidalgo* to *hijo di algo*, syn kogoś ważnego. Hiszpania jest dalej *un pais de la hidalguía*, jak to podkreślił pewien historyk. Pritchett wyprowadza tę dumę zbiorową z faktu, że w 16. i 17. w. Hiszpanie byli rasą panów i że „założyli pierwsze wielkie Imperium, które nastąpiło po „Imperium Romanum“. Dlatego ci wszyscy, co wydają zbyt pochopne sądy o tym kraju powinni pamiętać o pięknej poetyckiej przestrodze:

„marchons doucement car nous marchons sur leurs rêves.“

WARTOŚĆ ZAMKNIĘTA

Hiszpan może i potrafi przeklinać swoją ojczyznę, krytykować ją z żarliwością proroków Starego Testamentu, ale w gruncie rzeczy żywi on zaciekawienie tylko lub prawie wyłącznie dla Hiszpanii: *he has no feeling for the foreign thing and even regards its existence as inimical and an affront. His lack of curiosity amounts to a religion.* To znowu Pritchett.

Krytyka Hiszpanii, jej izolacji, prowincjonalizmu odzywała się głośno w



pismach Unamuno, Maetzu, we wczesnych pracach Azorín, u Ortega y Gasset (jeden najgłębszych umysłów naszego wieku, który w wieku Buntu Mas przewidział lepiej i wcześniej koleje totalizmów i spopolnienia naszej epoki, aniżeli Spengler, Toynbee i wielu innych bardziej od Ortegi sławnych próków: wina izolacji Hiszpanii). Krytyka ta była dosadna, nieraz okrutna. Pokolenie, zwane „generacją roku 1898“ — rok ten był okresem imperialnych snów Hiszpanii, która USA wyrugowały z Kuby i Puerto Rico — piętnowało swój kraj w pasja nieznaną bodaj w innych zbiorowiskach: może jeden Charles Péguy potrafił tak chłostać Francję, może niepohamowany Leon Bloy. Nie zmieniło to jednak nastawienia Hiszpanów do swojej ojczyzny: kochają ją fanatyczną miłością, przy czym jest to przede wszystkim miłość regionalna — jako Gallegos, Katalończycy, Kastylczycy, a potem dopiero, jako członkowie szerszej całości.

O stoicyzmie tej rasy już wspominaliśmy; historyk Menéndez Pidal w dziele „Hiszpanie w toku swojej historii“ uważa, że ten stoicyzm wyraża się w „ogólnym tonie ich życia, w prostocie, godności, nawet w najbardziej warstwach... jak i w mocnych więzach rodzinnych. Naród hiszpański zachowuje swoje głębokie, przyrodzone właściwości nienaruszone jako rodzaj rezerwy, podczas gdy inne rasy, które bardziej są dotknięte luksusem cywilizacji, ustawicznie czują się zagrożone procesem zużycia, który wyczerpuje ich siły.“

Menéndez Pidal powiada dalej, że Hiszpan przejmując się bardziej, niż inne zbiorowiska Europy losem swojego imienia po śmierci i swoim życiem wiecznym: „te dwa żywoty pośmiertne, wywodzi historyk hiszpański, zajmują wysokie stanowisko w myślach Hiszpana. Myślenie o śmierci, które jest wyrazem pragnienia nieśmiertelności, stanowi najgłębszą troskę narodu hiszpańskiego.“

„WRÓG EUROPY“

Pritchett mówi o Hiszpanii jako o „wrogu Europy“. Ma on oczywiście na myśli przemysłową cywilizację Europy; materializm zachodniego kontynentu, Franz Borkenau miał rację, gdy w swojej książce *The Spanish Cockpit* pisał, iż „w Hiszpanii masy buntowały się i zasadniczo dalej buntują przeciwko wszelkiemu postępowi i europeizacji, a równocześnie stają na czele jednego wielkiego kryzysu historycznego, kryzysu narodu jako całości.**) Masy hiszpańskie nienawidziły i nienawidzą tej nowoczesnej cywilizacji, którą się im narzuca. „Borkenau traf-

nie zanalizował przeciwieństwo jakie istnieje między wyższą, a niższą warstwą ogółu: na górze „korupcja, polityczna nieudolność, jak również całkowity brak wszelkiej twórczej energii... poniżej — fanatyzm, zdolność do poświęcenia, spontaniczność działania, ale działania w ciasnym, lokalnym, pełnym przesądów znaczeniu bez zdolności konstruktywnych na szerszą skalę.“

Naród charakteryzują nie tylko wypadki, realne fakty, wydarzenia historii, ale i jego legendy. Hiszpania ma trzy takie legendy-symboli. A więc rycerski rapsod Cida; a ten ideał żołnierza i żołnierskiego trudu odzwierciedlił się zarówno u św. Ignacego Loyoli, jak u św. Teresy z dumnej Avili otoczonej murem, *rastra*, jak zbroja; ma legendę Don Quijote'a i Don Juana. Ten ostatni miał dwóch interpretatorów: Tirso de Molina w swojej sztuce *El Burlador de Sevilla* przedstawił Don Juana, jako awanturnika i gwałciciela i Zorilla w *Don Juan Tenorio* dał melodramatyczną wizję człowieka rządzonego złymi mocami. Pisarz de Maetzu uważa, że ideał Don Juana na północ od Pirenejów to poszukiwacz idealnej miłości — w Hiszpanii, to zwierzęca energia, wola władzy, potęgi. Dr Marañón, psycholog hiszpański, który — rzecz znamienna — prześwietlił szybko duszę ponurego władcy: Tyberiusza, napisał studium o Don Juanie i uznał go za twór dworu Filipa IV, za spóźniony przejaw renesansu. Przedtem Jacinto Benavente, laurat Nobla, autor rozlicznych dramatów, w tragedii o Don Juanie uwypuklił tezę, że Don Juan *czuł się najlepiej w gronie mężczyzn i że w gruncie rzeczy gardził kobietami, które musiał zdobywać.*

TANIEC I POZEGNANIE

Nie sposób zakończyć tego szkicu o Hiszpanii, aby nie wspomnieć o tańcu tego kraju: o świetnych jego przedstawicielach, jak Argentinie, tej wielkiej damie i kobiecie-ogniu, ogniu, co oczyszcza; pozostały po niej nagrania jej kastaniet przejmująco zmysłowych. Drzewo tych kastaniet wydaje się tak gibkie, jak ciała ludzkie. Trzeba wspomnieć o Carmen Amaya, o której Toscanini powiedział kiedyś, że „jest muzyką, która stała się ciałem i ciałem, które stało się muzyką.“ I Antonio, mistrz *zapateado* i Teresa i Luisillo z dawnej trupy Carmen Amaya i

***)Borkenau ma tu na myśli fakt, że zarówno opór przeciwko Napoleonowi, jak i wojna domowa, nie stanowiły czegoś narzuconego przez taki czy inny odłam lub klikę — np. inteligencję — ale stanowiły reakcję zbiorową.

José Greco i tylu innych. Taniec jest dalej w Hiszpanii rzeczą świętą i to na pewno nadaje także temu krajowi cechę kraju „prymitywnego“ w najlepszym oczywiście tego słowa znaczeniu: jest on dalej związany z ziemią, z krwią. Taniec jest ciągle jeszcze w Hiszpanii obrzędem; tancerka jest nietykalna — może zapalać zmysły, ale ich nie zaspokaja; taniec jest dalej rytmem całego ciała i dlatego stanowi tak silne przeżycia i dla widza i dla tancerza. Dopiero w Hiszpanii Europejskiej nawykły do anemicznych popisów zwanych tańcem zaczyna rozumieć czym jest taniec: jest projekcją całego ciała, które wysiła się i walczy w woli całkowitego wyrażania się. W wspomnieniach o Lorca znajduje się ciekawa relacja rozmowy z gitaną, która znała poetę w dobie jego młodości: opisuje ona taniec z Lorca — umiał on tańczyć, rozumiał taniec, a zatem tkwiła w nim wielkość.

Trzeba tu także złożyć hołd muzyce hiszpańskiej, która tak pięknie rozkwitła w XX w. w kompozycjach Albeniza, Granadosa, de Falla. Ale nie tylko ta muzyka dzikiej synkopy i namiętnego rozmarzenia, rytmu ekstazy i zmęczenia, pozostaje w pamięci jako jedyna w Europie: także piosenka hiszpańska, o tyle mniej znana od słodkiej melodii włoskiej, prześlada naszą pamięć latami. Jest w niej miłosny zachwyt i tragizm, smutek i pasja, wszystko stopione w szlachetnym, szerokim geście. Jest w nim orientalna przesada słów, jest smutek każdej wielkiej namiętności.

I odchodząc od tematu hiszpańskiego nie możemy pożegnać go bez żalu: albowiem fascynacja Hiszpanią jest trwała. Skrajny, tragiczny, namiętny i biedny kraj; kraj godny i dumny; kraj dalej nieujarzmiony cywilizacją materialną, który nosi w kościach swoją wielkość i fanatyzm; kraj, którego mistyczny poeta św. Jan od Krzyża nieświadomie łączył ekstazę ciała z pragnieniem Boga i wieczności i pisał najczystsze erotyki religijne świata. On to, św. Jan od Krzyża, złożył swojej ziemi hołd w wierszu, który oddycha niepokromioną urodą Hiszpanii:

... las montañas,
los valles solitarios nemorosos,
las ínsulas extrañas,
los ríos sonoros,
el silbo de los aires amorosos.

„La noche sosegada
en par de los levantes de la aurora,
la música callada,
la soledad sonora,
la cena, que recrea y enamora.“

Zbigniew Grabowski

POCHWAŁA WYROZUMIAŁOŚCI

NIESPOKOJNE ŻYCIE EZECHIELA (STANISŁAWA) HOGI

Kiedy wyszukiwałem i przygotowywałem do druku dokumenty z londyńskiego Public Record Office dotyczące naturalizacji Polaków na Wyspach Brytyjskich natrafiałem często na informacje, które tylko uzupełniały zbierany od wielu lat materiał do żywotów emigrantów polskich w Wielkiej Brytanii. Niekiedy jednak pakiet papierów ukrywał postać nieznaną lub ledwie zaznaczoną suchą wzmianką w kartotece. Jeśli w dodatku, obok danych biograficznych znaleźć się w nim udało ślady ludzkiej myśli, wzruszeń, odczuwałem zadowolenie, więcej: radość, że natknąłem się nieoczekiwanie na wdzięczność przedmiotów, które za okazaną im uwagę płacą odkrywaniem swych tajemnic, rozwiązywaniem zagadek.

Tak właśnie rzecz się miała ze Stanisławem Hogą i jego podaniem o przyznanie mu obywatelstwa brytyjskiego. Zawiera ono, poza arkuszem ze szczegółami biograficznymi i deklaracjami świadków, także memoriał, który posiada, obok wartości literackiej, nieprzebrzmiałe do dziś znaczenie ideowe.

Jest to bowiem żarliwe wyznanie wiary w wartość i piękno wolności, swobody osobistej, wymowna i — trudno w to wątpić — szczerą pochwałą angielskiego obyczaju i trybu życia, a przy tym samego narodu, który taki ustrój i obyczaj ukształtował:

„...Nie mam teraz innego domu i kraju — pisze autor — poza Anglią, a jest tak z racji mego głębokiego szacunku dla angielskiego społeczeństwa, dla tego że życzę mu powodzenia, oraz ze względu na to że pragnę żyć w nim. Mogę się wydawać obcy Anglikom, ale oni nie są mi obcy. Kocham ich kraj, jak oni sami go kochają. Odpowiada on najbardziej memu sposobowi myślenia, zajęciom, zamiarom, nadziejom. Tu żyję w spokoju, ciesząc się bezpieczeństwem, którym wyposaża czyste sumienie... Tu jestem zadowolony ze swej doli i nie zazdroszczę nikomu, tu nie

upokarza mnie skromna pozycja w jakiej umieściła mnie Boska Opatrzność, ani uraża czy szkodzi nieczesna buta innych...Tu społeczeństwo słusznie czuje się dumne z władzy i mocy, którą obdarza współbraci; Sprawiedliwość sama rządzi nimi, dostojęństwo i godność zasiada tu na tronie — najbardziej podziwiana i czczona, bo najwyższej ceniona i najbardziej kochana...“

Oczywiście poza owym memoriałem — pochwałą wyrozumiałości i tolerancji angielskiej, pakiet zawiera wiele danych o życiu petenta. Danych, cennych zarówno przez to że charakter oficjalnego dokumentu zwiększa ich wiarygodność jak i dlatego że w dużym stopniu uzupełniają to co wiadome jest historykom żydowskim o życiu Ezechiela — Stanisława Hogi, znakomitego hebraisty,¹⁾ a także „apostaty i pokutnika“.²⁾

Oczywiście wiele ciekawego materiału o życiu i poglądach Hogi dostarczają jego własne książki, których większość jest na szczęście dostępna w British Museum Library. Ale dopiero dzięki uczynności prof. dr. Edwarda Poznańskiego, Sekretarza The Hebrew University w Jerozolimie, oraz p. G. Kressel'a autora Leksykonu nowej literatury hebrajskiej (Tom I, Merhaviah,

¹⁾ Korespondent londyński żydowsko-amerykańskiego miesięcznika „The Occident...“ wydawanego przez Izeaka Lessera, pisze w numerze październikowym z 1847 r.: „...It appears that this Mr. Hoga, who is admitted to be the greatest Hebrew scholar in England...“ A zaznaczyć trzeba, że czasopismo to miało w owym czasie do Hogi stosunek jeśli nie wrogi, to przynajmniej nieprzychylny.

²⁾ Stanislaus Hoga — apostate and penitent“ — tak brzmi tytuł referatu wygłoszonego przez Beth-Zion Lask Abrahamsa na posiedzeniu „The Jewish Historical Society of England“, a potem wydane drukiem w wydawnictwie tego towarzystwa „Transactions... 1939-1945“.

Israel, 1965) udało mi się dotrzeć nie tylko do literatury tyczącej zawilej sprawy powrotu Hogi — już w Londynie — do judaizmu, ale także informującej o jego niezwykłym dzieciństwie i młodości w Polsce. Korzystam z okazji by obom moim informatorom wyrazić szczerą wdzięczność.

Ezechiel (Yecheskel Aryeh — późniejszy Stanisław) Hoga urodził się w Kazimierzu nad Wisłą w r. 1791. Gdy w 1852 r. składał podanie o przyznanie mu obywatelstwa brytyjskiego, nie pamiętał już daty urodzenia i podał swój wiek jako: „około sześćdziesiątki“. Akt zgonu w Somerset House, którego treść opublikował Beth Zion Lask Abrahams w cytowanej wyżej rozprawie ustala śmierć na dzień 21.I.1860. Zaznaczono w nim że zmarły był w siedemdziesiątym roku swego życia. Hoga był synem uczonego rabina z Kazimierza, Abrahama. Od urodzenia wyrastał w atmosferze chasydyzmu, któremu hołdował ojciec, gorliwy zwolennik rabina Jakuba Izaaka z Lublina. Mały Cheskel okazał się genialnym dzieckiem: czytał ponoć po hebrajsku mając lat trzy, uczył się Talmudu gdy był czteroletni a gdy doszedł do lat sześciu zabrakło w Kazimierzu nauczycieli od których mógłby się jeszcze czegoś nauczyć.

Gdy miał lat dziesięć zaręczono go z córką najbogatszego w mieście kupca (młodsza od niego o rok), a w wieku lat trzynastu został jej mężem. W czterdzieści lat później, gdy atakować będzie ów, powszechny podówczas w żydowskim społeczeństwie zwyczaj dziecięcych małżeństw (upatrując w nim przyczynę niejednego nieszczęśliwego życia) w goryczy wypowiedzi zabrzmi nuta autobiografii: wspomnienie własnych doświadczeń.

Tymczasem sława dziecka-fenomena dotarła do ks. Adama Czartoryskiego, rezydującego wtedy w niedalekich od Kazimierza Puławach. Światły magnat zajął się chłopcem zapewniając mu możliwość studiowania w pałacowej bibliote-

ce, gdzie późniejszy konwertyta (czy apostata — w zależności od tego z której strony na sprawę spojrzeć) nauczył się — obok obcych języków — ostrego krytycyzmu w stosunku do tradycyjnej wiedzy i obyczaju chasydzkiego środowiska.

W czasie niespokojnych lat od Wojen Napoleońskich i Księstwa Warszawskiego młody poliglota okazał się opatrnościowy dla żydowskiej społeczności rodzinnego miasteczka, działając sprawnie jako tłumacz równocześnie wykorzystujący wpływy i stosunki swego możnego protektora, księcia Adama, dla obrony swych współpracowników przed poborem do wojska. Według informacji E.N. Franka³⁾ stosunki Hogi z Czartoryskimi były tak zażyłe że ten ostatni zabrał go z sobą w 1815 roku na Kongres do Wiednia.

Po powrocie z zagranicy postępowe poglądy młodego rabinowicza, fakt że zaczął ubierać się po europejsku, oraz jego niepomysłowa skłonność do drwin sprawiły że wroga atmosfera w rodzinnym mieście i środowisku a nawet w rodzinie, stała się dlań nie do wytrzymania.

Ezechiel znika z domu, porzucając żonę i troje dzieci (w tym najstarszego jedenastoletniego syna) i ucieka do Warszawy wraz z piękną sierotą po miejscowym krawcu — Yittą. Tu, zapewne dzięki protekcji ks. Adama, dostaje się do urzędu cenzury jako asystent cenzora, Adama Chmielewskiego, profesora greki i hebrajskiego na wydziale teologicznym Uniwersytetu Warszawskiego. Z czasem został referentem komitetu cenzury wraz z dwoma znanymi hebraistami: Abrahamem Jakubem Sternem i Jakubem Tugenholdem.

Hoga mieszkał wraz z Yittą i dwiema córkami, które z nią miał, poza obrębem dzielnicy żydowskiej i nie żył życiem swych współpracowników ale pomagał im zawsze (i to bardzo skutecznie), gdy zachodziła tego potrzeba, gdy groziło niebezpieczeństwo. Opublikował w tym czasie swoje pierwsze książki⁴⁾ (które zresztą K. Estreicher w „Bibliografii Polskiej“ wymienia jako dzie-

ła Ezechiala Hoga, różnego od Stanisława, nie znając widać kolei życia autora): „Modlitwy Izraelitów od najdawniejszych czasów...“, Warszawa, 1822 i „Nauka religii dla młodzieży Izraelitów, najważniejsze ustawy ceremonialne“, Warszawa, 1822 (Następne wydanie ukazało się w Wilnie, w 1829 r.)

Na polu pomocy współpracownikom spotkał się Hoga i zbliżył z Berkiem, synem Samuela Zbitkowera, warszawskim potentatem finansowym, głową znanej rodziny Bergsonów, która obok bankierów, finansistów, lekarzy, wydała m.in. znanego kompozytora i pianistę Michała (zmarłego w Londynie), a przede wszystkim jego syna Henryka, wybitnego filozofa. Stosunki z rodziną bankiera rozwijały się pomyślnie aż do chwili gdy żona Berka, Tamara (czy raczej Temerli, z domu Rosenkranz) nadmierną i niezręczną gorliwością okazaną w próbach godzenia Ezechiala z ojcem-rabinem i pozostawioną w Kazimierzu Dolnym rodziną doprowadziła do jego przejścia na katolicyzm, lub przynajmniej przyczyniła się do tego.

Oto bowiem bankierowa dowiedziawszy się przez swych szpiegów szczegółów dotyczących Yitty i córek, zaczęła grozić, że poinformuje władze o tym, iż Hoga fałszywie zarejestrował swe nieślubne dzieci. Ten, za radą zwierzchnika w cenzurze, ochrzcił się wraz z nieślubną żoną i dziećmi. Na chrzcie przyjął imię Stanisław, Yitta została Anną a córki Julią i Antoniną.

Sądzę że w tej zmianie religii nie należy przeceniać mimowolnej roli Tamary. Wypadki przyspieszyły chyba tylko proces zmian w poglądach utalentowanego rabinowicza. Jego późniejsze pisma, a szczególnie „The Controversy of Zion, a Meditation on Judaism and Christianity“ (drugie, powiększone wydanie, Londyn, 1845), wskazują że sprawom obu religii, ich wzajemnego stosunku, możliwości ich pogodzenia a przynajmniej złagodzenia sporów i różnic poświęcał wiele myśli. Uważał że Żydzi po-

⁴⁾ Najwcześniejszą znaną pozycją bibliograficzną Hogi była odezwa (po hebrajsku) z 1818 r., w sprawie zakładania szkół dla Żydów w Polsce.

winni uznać boskość Chrystusa, chrześcijanie zaś przyjąć wiele z żydowskiej nauki.

Hoga posiadając własną, bardzo indywidualną koncepcję religii, atakując od dzieciństwa tradycyjne poglądy Chasydyzmu, z równą, lub większą nieufnością odnosił się do niektórych teologów chrześcijańskich: „...jestem pewny — pisał we wstępie do wspomnianej wyżej książki — że najuboższy chłopak z żydowskiej szkoły w nędznej polskiej wiosce ma lepsze pojęcie o Nadrzędnej Istocie niż wszyscy doktorzy teologii z Oxfordu“.

Wrócić jednak trzeba do wypadków z życia naszego bohatera. Po przejściu na katolicyzm utracił on posadę cenzora. Ale cała afera nie rozbudziła w nim wrogości do niedawnych współwyznawców. Gdy 13 lipca 1825 r. stworzona została komisja w celu poprawienia sytuacji Żydów w Polsce Stanisław Hoga został jej sekretarzem i działał na tym stanowisku czynnie w obronie Żydów, szczególnie gdy w 1827 roku, m.in. pod wpływem broszury ks. Alojzego Ludwika Chiariniego, prof. Uniwersytetu Warszawskiego, wznowione zostały oskarżenia o mord rytualny.

W 1830 niedawny konwertyta opublikował u warszawskiego wydawcy P. Baryckiego książkę p.t. „Ta Chazy, czyli Rozmowa o Żydach“ która dotyczyła Talmudu (początek tytułu stanowi cytat z niego) i odpierała stawiane Żydom zarzuty. W tymże roku i u tegoż wydawcy ukazała się inna praca Hogi p.t. „O ruchu ciał niebieskich i ziemi. Przełożenie wszystkim badaczom natury sposobu, przez któryby mogli doświadczyć i naocznie się przekonać, czy ziemia się obraca lub stoi niewzruszona; oraz myśli względem ogólnego ruchu ciał niebieskich i ziemi.“

Praca ta — znana mi tylko z tytułu — nie jest wymieniona w bibliografii Hogi zestawionej przez Lask Beth-Zion Abrahamsa, ani w ostatnio opublikowanym Leksykonie G. Kressla. Wydaje się ona świadczyć o zainteresowaniach autora, już w tym wczesnym okresie, nauką — zainteresowaniach do których pod koniec życia powróci z zapałem, a zapewne i z powodzeniem.

Po śmierci ks. Chiariniego, który pracował nad przekładem Talmudu

³⁾ E. N. Frank „Meshumodim in Pojlen“, Warszawa 1923.

dział to — w oparciu o bibliotekę zmarłego, zakupioną przez rząd za 3740 zł. — polecono podjąć Hodze, który zawarł w tej sprawie korzystny kontrakt: mianowicie miał dostawać po 13.000 złp. za każdy tom.

I oto, nieoczekiwanie, tłumacz znika z Warszawy. Konsternacja i zdumienie kół rządowych o których wspominają biografowie Hogi nie musiały być całkiem szczerze, skoro do podania o przyznanie mu obywatelstwa brytyjskiego, składanego w dwadzieścia lat po opuszczeniu Królestwa, dołącza nasz hebraista legalnie mu wydany paszport rosyjski. A że paszport ów był w porządku, świadczy fakt (również poświadczony przez podanie naturalizacyjne) wyjazdu do Polski w 1840 r. Dopiero po powrocie stamtąd w 1841 dawny cenzor pozostaje już w Anglii na stałe.

Tajemnicę nagłego opuszczenia Polski w 1832 czy 1833 roku wyjaśnia chyba dostatecznie fakt że od początku pobytu w Anglii Hoga pozostawał w ścisłych stosunkach z „London Society for Promoting Christianity among the Jews“ — organizacją, której akcja misyjna rozciągała się na Europę Środkową i Wschodnią, ze szczególnym uwzględnieniem Polski. Czołową postacią Towarzystwa był anglikański duchowny, Irlandczyk z pochodzenia, Aleksander McCaul (1799-1863), który przebywał w Polsce szereg lat w paru nawrotach — jako misjonarz wśród ludności żydowskiej i kapelan kolonii angielskiej, a także podróżował do Petersburga, gdzie przyjął go przychylnie Aleksander I, zainteresowany akcją misyjną.

Otóż ostatni, krótki pobyt McCaul'a w Polsce przypada na r. 1832, czyli zbiega się w czasie ze zniknięciem Hogi. Gdy weźmiemy pod uwagę że praca tego ostatniego w London Society polegała w dużym stopniu na... przekładaniu książek McCaul'a na język hebrajski („Angel of the Covenant”, i „The Old Paths”) — obie wydane po raz pierwszy w 1845 — reszty nie będzie trudno się domyśleć: dobrze widzianemu u Dworu i w kołach urzędowych Petersburga i Warszawy Irlandczykowi łatwo było chyba wystarać się o paszport dla swego pupila i współpracownika.

W Londynie oddaje się nasz Stanisław z entuzjazmem pracy tłumacza. Już w 1834 r. ukazują się „Songs of Zion” — tłumaczone z angielskiego i niemieckiego na hebrajski, ponownie wydane, z uzupełnieniami, w 1842; w 1837 (lub 1838) przekład „Mesjasza“ Aleksandra Pope, a w 1844 dwutomowy przekład „Pilgrim's Progress“ Jana Bunyan'a. Dodajmy jeszcze aktywną współpracę przy tłumaczeniu na hebrajski Nowego Testamentu (1838) i modlitewnika anglikańskiego.

Równocześnie zajmował się Hoga sprawą nauki języka angielskiego wśród Żygów: wydał w r. 1840 „A Grammer of the English Language for the Use of Hebrews“. W tym samym roku wyjechał — jak już wspominałem — do Polski, by wrócić w następnym. Można się domyślać że był to wyjazd związany z jego pracą w „London Society“ — niejako: „podróż służbowa“, ale i powodów osobistych nie należy wyłączać: Dokumenty związane z naturalizacją informują o jego stosunkach rodzinnych. Wiadomość ważna ze względu na to, iż brak na ten temat informacji pozwalał przypuszczać, że Hoga, niepokojny duch i pędziwiatr, przy okazji wyjazdu porzucił drugą z kolei rodzinę (Wśród Żydów warszawskich krążyły wieści że uciekł za granicę by wrócić na judaizm).

Otóż Anna-Yitta musiała już pod koniec 1852 r. nie żyć, skoro Stanisław określa się sam jako wdowiec. Ale o córkach pisze: „I... have two daughters, both well educated and provided for, and one of them married to the well known Composer of music in Germany, Ferdinand Hiller“. Ponieważ nie wiadomo czy udało się Hodze zabrać rodzinę do Anglii w 1832 względnie 1833 r., można przypuszczać że podróż z lat 1840/41 miała także na celu jej sprowadzenie.

Tymczasem jednak w światopoglądzie misjonarza-konwertyty, propagatora chrześcijaństwa wśród niedawnych współwyznawców, znowu zaczynają się zmiany. Wspomniałem poprzednio o jego książce „The Controversy of Zion“ z 1845 r. Już ona wywołała protesty w kołach zwolenników „London Society“.

Do zupełnego zerwania z

McCaul'em i jego otoczeniem doszło jednak dopiero w roku 1847. Czterokrotnie w ciągu tego roku publikuje Hoga swe listy i artykuły w Jewish Chronicle (zaczynając od nr 12 z 19 marca) a w grudniu ukazuje się pierwszy (i ostatni) numer jego własnego miesięcznika „The Faithful Missionary“, a Monthly Periodical Illustrating the Value of Judaism“, stanowiący gorącą obronę religii jego ojców. Sprawa oficjalnego powrotu na judaizm nie jest jasna. Jeszcze w lutym 1848 r. korespondent londyński wspomnianego już żydowskiego miesięcznika wydawanego w Filadelfii, — dobrze chyba poinformowany w tych sprawach — pisze o nawróceniu i pokucie wybitnego hebraisty jako o wydarzeniu, którego... należy sobie życzyć. Profesor D. W. Marks w swych starszych wspomnieniach twierdzi że powrót do judaizmu nastąpił w przeddzień święta Paschy 1848 r. Z drugiej strony właśnie w owym roku wszelka aktywność Hogi na polu sporów religijnych ustaje, a przynajmniej trudno dopatrzeć się jej śladów.

Starsi historycy żydowscy zajmujący się Hoga, przypisywali to okresowi pokuty zakończonej śmiercią w 1849 lub 1850 r. (np. Nahm Sokolow w „The History of Zionism“ czy autor odnośnego paragrafu w „Encyclopedia Judaica“). Lask Beth-Zion Abrahams w cytowanej już rozprawie uważa że „...He (Hoga) disappears then as completely as he had done previously in Poland“. Ten sam autor wyjaśnia że legenda o śmierci apostaty-penitenta zrodziła się ze wspomnień prof. Marksa, który opisywał nędzę odwiezianego przez siebie pokutnika i jego zgon.

Sprawa „zniknięcia“ wygląda jednak mało prawdopodobnie w świetle informacji z podania o przyznanie obywatelstwa brytyjskiego: Hoga mieszkał wtedy w domu nr. 14 na Nassau Street, obok Middlesex Hospital, Mieszkał tam od przeszło 9 lat, czyli od końca 1842 roku. A więc niemal od czasu swego ostatecznego powrotu z Polski. Zeznanie to potwierdzają świadkowie (stwierdzający przy tym nie-naganność charakteru petenta): Emanuel Stokes, 14, Nassau Street, właściciel domu w którym Hoga

mieszkał, Jan Hedges (?) Buckier (?), lekarz, 381 Berners Street, Oxford Street; Wilhelm Hobcroft, 419 Oxford Street oraz Wilhelm Piotr Piggott, 523 New Oxford Street, z którym, po upływie kilku lat Hoga opatentuje dwa wynalazki.

Jak się więc okazuje „nędzna nora pokutnika“ z opisu prof. Marksa, była tym samym mieszkaniem w którym żył przez wiele lat dobrze płatny (£600 rocznie*) oficjalny tłumacz „London Society“, a następnie wynalazca. Autor podania o naturalizację stwierdza w nim że jest znany w kołach literackich i naukowych. Fakt że córki wyposażył i wykształcił“ również pozwala powątpiewać w informację o jego nędzy. Co do zięcia, Ferdynanda Hillera, to wiadomość że był „znanym kompozytorem niemieckim“, nie była przesadą. Ten pianista, kompozytor i dyrygent pochodzący z Frankfurtu nad Menem, z rodziny żydowskiej, był wysoko ceniony w połowie zeszłego wieku, zarówno w Niemczech jak i we Francji, oraz we Włoszech i Anglii, którą odwiedzał kilkakrotnie, a po raz pierwszy w 1852 r. F. J. Fétis⁵⁾ wspomina że muzyk ożenił się w r. 1841, we Florencji. Można się domyśleć że z jedną z córek Stanisława i Anny.

Gdy już o córkach mowa to dodać wypada że S. L. Citron wspominał — bez podawania źródła swej informacji — iż jedna z nich wyszła za mąż za angielskiego generała. Mogło się to stać tylko po 18 stycznia 1853, bo ojciec nie omieszczał by przecież, o tym wspomnieć w swym podaniu, skoro nie zapomniał o zięciu — muzyku.

W pięć dni po złożeniu podania o przyznanie obywatelstwa, Hoga otrzymał je — 23 stycznia 1853. W cytowanym poprzednio memoriale wyjaśniał wymownie ideowe powody, które skłoniły go do tego kroku. W samym podaniu wymienia tylko jeden, praktyczny: że chciałby wybrać się w podróż na kontynent (być może by odwiedzić córkę i zięcia), do czego potrzebny mu był

paszport. Można jednak przypuścić że starał się o obywatelstwo brytyjskie także w związku ze swymi wynalazkami. Pierwszy z nich opatentował w trzy miesiące wcześniej, 22 X 1852 a drugi 8 XI 1852. Obydwa tyczą złota: jego poszukiwania i oczyszczania.

Gdy po pięciu latach, w czerwcu 1857 roku spotykamy znowu jego nazwisko w Patent Office, patenty tyczą głównie elektryczności i telekomunikacji. Dwa ostatnie (6 IX 1858 i 17 XI 1858) złożył wspólnie z Septimusem Beardmore i Wilhelmem Piotrem Piggott. Znajomość z tym ostatnim trwała już od dawna, jak wynika z zaświadczenia w papierach naturalizacyjnych.

W przeszło rok później spotykamy się z ostatnim dokumentem tyczącym niespokojnego życia tego pisarza, naukowca, tłumacza: z aktem jego zgonu. Zmarł 21 stycznia 1860 roku, na hipofermię (low fever) w mieszkaniu na Charlotte Street pod numerem 98. Świadkiem zgonu była Maria Currie. Akt ten daje jeszcze jedną, dziwną informację: określa zmarłego jako „polskiego wygnańca“ (Polish Refugee). Jakby o naturalizacji zapomniano, jakby słowa z podania o obywatelstwo „I may be a stranger to them...“ miały być proroctwo.

Żywoć Hogi był niespokojny, pełen pozornych sprzeczności. Wiele dziedzin zajmowało go i pociągało. W różnych wiarach szukał miejsca odpowiedniego swemu światopoglądowi. Odchodził zawiedziony gdyż do żadnej z nich nie potrafił się dopasować. Poglądy jego zbyt były indywidualne, a może za mało skrytalizowane. Zabrakło mu przy tym ambicji czy siły, by zostać herezjarchą.

Ale był przecież w poglądach tego wybitnie wykształconego człowieka jeden nurt stały, jedna idea o którą walczył uparcie. Oto wierzył on w prawo do układania sobie życia i wyznawania poglądów wedle własnej woli. Buntował się od dzieciństwa przeciw ingerencji społeczeństwa, środowiska, religii w życie jednostki. Dlatego szczerze podziwiał ustrój i obyczaj angielski, który dla spraw jednostki tak wiele okazuje szacunku, który charakteryzuje się niejako nałogiem tolerancji. A żarliwe wyznanie tego poglądu znaleźć możemy nie tylko w po-

daniu o przyznanie mu obywatelstwa: Już osiem lat wcześniej we wstępie do drugiego wydania „The Controversy of Zion“ pisał: „... Kocham Anglię, ...życzę jej największego szczęścia i wyróżnienia, bardziej nawet niż sami Anglicy tego jej życzą. I błogosławię Opatrzność Bożą za wolność mówienia publicznie prawdy zawartej w tej broszurze. Jest to jedyna korzyść jaką odniosłem z pobytu w tym kraju...“

To dla tej „korzyści“ pozostał w Anglii do śmierci. A że nie on jeden tak czuł i myślał, że przewodnią idea jego życia: poszukiwanie swobody — nie w doktrynarskich deklaracjach, ale rzetelnie, naprawdę, bo na własny użytek — do dziś jest, pozostanie chyba aktualna, dlatego — głównie dlatego — Ezechił Stanisław Hoga godzien jest pamięci.

Mieczysław Paszkiewicz

POLACY W EDYNBURGU

Doroczne walne zebranie Stowarzyszeń Polskich w Edynburgu jest zawsze doniosłym wydarzeniem w życiu Polonii edynburskiej. Zebranie to odbyło się 20 stycznia w Domu Inwalidy, pod przewodnictwem dr Cz. Rajskiego przy bardzo licznym udziale delegacji wchodzących w skład Rady.

Walne zebranie wysłuchało sprawozdań Komitetu Wykonawczego Rady i Komisji Rewizyjnej, udzieliło ustępującemu Komitetowi Wykonawczemu absolutorium z podziękowaniem i wybrało nowe władze Rady na rok następny w następującym składzie: Komitet Wykonawczy: przewodniczący — dr Br. Śliżyński, członkowie — dr H. Śliżyńska, H. Bilakiewicz, inż. R. Ryński, płk. J. Krautwald, J. Nikosiewicz i J. Rej; Komisja Rewizyjna: dr S. Mglej, H. Millerowa i J. Bełtowski.

Rok sprawozdawczy obfity był w różne uroczystości jubileuszowe, ciężar organizowania których spadł na Radę. Z obowiązków tych Rada wywiązała się bez zarzutu.

Przy ustalaniu programu działalności Rady na rok następny poruszona została sprawa penetracji reżymu w życie społeczne Edynburga. Sprawa ta wywołała żywe poruszenie wśród wszystkich delegatów, którzy zgodnie wypowiedzieli się za podjęciem skutecznych środków zaradczych. Po wyczerpującej dyskusji zdecydowano wziąć za podstawę dalszych poczynań w tym kierunku znaną powszechnie uchwałę Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, uznając ją za wyczerpującą.

S. Bł.

*) Trudno ustalić relację prawidłową do dzisiejszej wartości pieniądza, lecz zarobek £ 6000 do 7000 byłby realnym odpowiednikiem.

⁵⁾ F. I. Fétis „Biographie Universelle Des Musiciens“. Tom IV. 1862.

AMBICJE I ZAWODY ANNY JAGIELLONKI

ANNA Jagiellonka, przedostatnia z córek Zygmunta Starego i królowej Bony nie była piękną. Nieforemnie wysokie czoło, wąskie usta i małe, pozbawione blasku oczy, nie przypominały niczym bujnej urody jej renesansowej matki. Może jednak właśnie tej brzydocie zawdzięczała wybitne miejsce, jakie zajęła w szesnastowiecznej Polsce. Bo gdyby śladem czterech bardziej pociągających sióstr, poślubiła któregoś z zagranicznych książąt, byłaby opuściła własne gniazdo i przy boku męża wegetowała w obcym i dalekim kraju. A ponieważ była w Polsce, kiedy Zygmunt August w 1572 r. umarł bezpotomnie, więc choć miała już wówczas lat 49, rada senatorów postanowiła znaleźć dla niej odpowiedniego męża, który dzieląc z nią tron, dzieliłby również sławę jagiellońską.

Trzy szybko po sobie następujące bezkrólewia wynosiły Annę za każdym razem wysoko na fali ogólnej popularności, aby po wyborze nowego elekta zakryć ją znowu głębią zapomnienia.

Urodzona w 1523 r. na zamku wawelskim, Anna Jagiellonka przeżyła 33 lata w cieniu swej wielkiej i tak niesłusznie oczernionej matki. Pozornie łagodna i pogodzona z własną nicością, taita w swoim staropanieńskim sercu żar ambicji i niezniszczonych pragnień. Jałową pustkę ubiegających dni wypełniała praktykami religijnymi oraz haftowaniem kościelnych ornatów i obrusów, które w skarbcu wawelskim przechowały się do czasów współczesnych. Jej owinięta szalem i skrzywiona newralgicznymi bólami twarz, rzadko tylko rozjaśniała się uśmiechem, który według ówczesnych pamiętnikarzy miał być niezwykle ujmujący.

Kiedy królowa Bona wyjeżdżała w 1556 r. z Polski, zostawiała za sobą dwie niezamężne córki: Annę i Katarzynę, które płacząc rzewnie, błagały ją ażeby ich nie opuszczała. Wiedziały one dobrze, że na opie-

kę Zygmunta Augusta nie mogły liczyć. Był on zarówno złym bratem, jak niewdzięcznym synem.

Mimo, że obie księżniczki miały już dobrze za sobą pierwsze lata młodości, nie spieszył on się wcale ze znalezieniem dla nich męża. Niechętni królowi historycy — między nimi B. Jasienica — utrzymują, że powodem tego opóźnienia był fakt, iż Zygmunt nie chciał wypuszczać z rąk olbrzymiego posagu, jaki Bona zostawiła dla swoich dwóch pozostałych w panieństwie córek.

I tak skutkiem tej egoistycznej polityki brata, najmłodsza z Jagiellonek, Katarzyna, miała już 36 lat kiedy w 1562 r. poślubiła księcia Finlandii, który po detronizacji swego przyrodniego brata w 1568 r. jako Jan III został królem Szwecji. Syn ten skandynawsko — polskiej pary, Zygmunt, będzie pierwszym z trzech Wazów na tronie Rzplitej a zarazem ostatnim rozczarowaniem Anny w jej rozgrywkach o władzę.

Zresztą równocześnie z Katarzyną, nawet ona mogła pochwalić się kandydatem do swej ręki i to bardzo wytrwałym chociaż mało wartościowym. Rzecz prosta, że te uporczywe konkury brata Króla Danii miały jedynie na celu alians polityczny z Polską. Może jednak Anna nie byłaby odmawiała tak stanowczo, gdyby Magnus miał jakieś widoki na tron duński. Ale jednooki i rozpity książę, który nie mając żadnych święceń, nabył za pieniądze brata biskupstwo rewelskie i nawet nie starał się żyć po chrześcijańsku, nie odpowiadał wymaganiom dumnej i bardzo religijnej Jagiellonki.

W miarę upływających lat, nikle i bardzo jeszcze mgławicowe ambicje Anny zaczęły nabierać coraz konkretniejszych kształtów. Pomimo trzykrotnego małżeństwa, Zygmunt August wciąż jeszcze nie miał potomka a jego gwałtownie pogarszające się zdrowie nie zapowiadało długiego życia. W przewidywaniu

własnej ważności, usiłowała Anna wszelkimi sposobami zdobyć popularność wśród „braci szlachty“. Czyniła to bardzo powoli i roztropnie, bądźto ofiarowując znaczne sumy na cele dobroczynne, bądźto urządzając dla nich wspaniałe przyjęcia na zamku warszawskim, gdzie po wyjeździe Katarzyny spędzała większą część roku.

A kiedy w 1672 r. Zygmunt August zakończył życie, wysuwająca się coraz wyraźniej na pierwszy plan Anna Jagiellonka, kazała własnym kosztem pośpiesznie wykańczać most na Wiśle, aby uczestnicy pierwszej w Polsce wolnej elekcji mogli bez trudu dostać się na plac pod Wola.

Pod hasłem „Tron Jagiellonów przypadnie temu, kto poślubi ostatnią z tego rodu“, zaczęto wyszukiwać odpowiednich kandydatów. Postanowienie to świadczyło o wielkim przywiązaniu do dynastii, nie wykazywało jednak realnej oceny sytuacji. Pół wieku licząca oblubienica, nie mogła być kontynuatką swojego rodu.

Jakoś to będzie z tym małżeństwem — pocieszali się książęta stający do wyścigu o rękę najbogatszej i — najstarszej z królowien na wydaniu. „Zresztą blask polskiej korony wyglądał jej zmarszki i rozjaśni urodę.“

Anna, spragniona ślubnej obrączki oraz tytułu królowej, lawirowała tak umiejętnie pomiędzy austriackim i francuskim kandydatem, że żaden z nich nie wiedział, któremu daje pierwszeństwo. Zdaje się jednak, że zwycięstwo Henryka Walezego, młodszego brata Karola IX, który 9 maja 1573 r. został wybrany królem polskim, odpowiadało lepiej jej ambitnym planom. 21-letni mąż był bardziej podatnym materiałem do rządzenia, niż bardziej doświadczony Habsburg.

I to był pierwszy zawód ambitnej starej panny w jej rozgrywkach o władzę. Henryk był gładki i układny, witał i żegnał Annę bardzo wdzięcznym pocałunkiem ręki, wprowadzał ją uprzejmie na wydawane przez nią bale — tańczył jednak i zabawiał się z innymi. A od małżeństwa wciąż zgrabnie się wykrecał. A kiedy w maju 1575 r. otrzymał wiadomość o śmierci swego królewskiego brata, uciekł nocą z 18

na 19 czerwca do Francji, aby tam objąć tron i nigdy już do Polski nie wrócił.

I tak stara Jagiellonka osiadła na koszu a Rzplita znalazła się w wirze nowego bezkrólewia, tym razem bardzo burzliwego.

Z tego kotła intryg i zbrojnych porachunków, wysunęła się zupełnie niespodzianie kandydatura księcia siedmiogrodzkiego. Stefan Batory liczył wówczas lat 42 i choć mało znany na arenie życia politycznego, miał jednak opinię człowieka prawego i dzielnego wojownika. Poparty możliwymi już wówczas wpływami „trybuna ludu szlacheckiego“, Jana Zamoyskiego, został tylko częścią głosów wybrany w styczniu 1576 r. Reszta upierała się wciąż jeszcze przy austriackim Maksymilianie. Któż mógł wówczas przypuszczać, że jedenaście lat panowania Batorego będą najchlubniejszą kartą w dziejach Polski.

Kiedy 29 kwietnia 1576 r. nowy elekt stanął przed oczekującą na Wawelu Anną, nie mógł ukryć przykrego rozczarowania na widok jej niepozornego wyglądu. Jakże inaczej przedstawiała ją entuzjastyczne opisy pertraktujących z nim posłów. Liczne też były głosy odradzające mu to polityczne małżeństwo. Jednak szorstki i rubaszny z natury Węgier, był człowiekiem honoru. Zdając sobie doskonale sprawę, że tylko sławie rodowej Jagiellonki zawdzięcza niespodziankę polskiego tronu nie cofnął danego przyrzeczenia.

I tak już w dwa dni później Stefan Batory i Anna Jagiellonka zostali połączeni węzłem małżeńskim, po czym nastąpiła uroczysta koronacja. Najbrzydsza z siostr została ukoronowana w katedrze wawelskiej i zasiadła obok własnego męża, trzymając w rękach godła swej władzy: jabłko i berło złociste. Co za tryumf i wkrótce potem co za bolesne rozczarowanie... Zaledwie w kilka dni po ślubie przeniósł się król do swoich apartamentów, oświadczając Annie kategorycznie, że w żadne czułości małżeńskie bawić się nie ma zamiaru. Rozwiały się też jej nadzieje dzielenia się rządami. Nowy król był zbyt samodzielny, ażeby dzielić się władzą z ko-

biętą, choćby nią była prawnuczka Władysława Jagielly.

Jednak Anna, raz oświetlona blaskiem korony, nie miała wcale zamiaru wracać znów w cień zapomnienia. Po nieudanych próbach ujęcia sobie męża, zaczęła prowadzić własną politykę.

Niespodziana śmierć Batorego w grudniu 1586 r. wywołała niezliczoną ilość komentarzy i podejrzeń. Umarł w Grodnie, gdzie w wolnych od zdobywania zwycięskich laurów chwilach spędził czas na polowaniu.

Ruchliwy umysł starej Jagiellonki zaczął pracować przyspieszonym tempem. Jak zdobyć dla siebie choćby częściową władzę? Dawno już myślała o zapewnieniu następstwa tronu dla królewicza szwedzkiego Zygmunta. Był on przecież synem jej siostry Katarzyny, więc dynastyczna ciągłość nie została przerwana, a równocześnie jego brak doświadczenia otwierał możliwości dla wciąż jeszcze niespokojnych ambicji królowej — wdowy.

Rezultatem jej starań i pomocy Zamoyskiego, który zapewne też liczył na umocnienie swej władzy, królewicz szwedzki został królem polskim 19 sierpnia 1587 r.

Wpływ Anny — i jej złota — utworowały wprawdzie drogę Zygmuntovi III do tronu, nie dały jednak starej królowej upragnionej władzy. Nowy władca był uparty i samowolny. Otoczywszy się Szwedami, nie miał wcale zamiaru zasięgać niczyjej rady. Usunięta już ostatecznie w cień przez niewdzięcznego siostrzeńca, ostatnia Jagiellonka wyszła raz jeszcze na światło życia publicznego w 1595 r. jako matka chrzestna przyszłego Władysława IV.

Uspokojona już i cicha, umarła w rok później na zamku warszawskim, wierna do końca swej jagiellońskiej dynastii. Bo chociaż była wdową po królu-bohaterze, który miał już swój grobowiec w wawelskiej katedrze, kazała się pochować pod złotą kopułą kaplicy zygmuntońskiej, którą sama ufundowała. Historycy przypisują jej wielki rozum i zmysł polityczny. Może gdyby dostała w swe ręce władzę, rządy jej byłyby chlubną kartą w dziejach Polski.

Hilda Jankowska

KRÓLOWE piękności, wybierane w fanfarach reklamy, z wielkim szumem i jeszcze większymi niedyskrecjami, o przesądzonym z góry przez koterie tytułe — błyszczą na pierwszych stronach prasy tzw. „popularnej“, czyli brukowej, jak łątki jednodziówki — przelotnie i na krótko. Po kilku dniach chwały zapadają w niebyt; z reguły też nie robią żadnej poważniejszej kariery, czy będą to występy w filmie czy modelowanie w „haute couture“, czy choćby tak zwane „dobre“ zamążpójście. Te piękne dziewczęta, to efemerydy i jednocześnie symbole naszych czasów: naszego pospiesznego, niespokojnego rytmu życia, dla którego każda sensacja może być sensacją tylko przez jeden dzień.

W latach między dwoma wojnami chyba tylko jedna kobieta mogła powiedzieć o sobie, że była królową piękności, która panowała z wysokości swego tronu nie przez dzień czy tydzień, ale przez wiele długich i bardzo pożytecznych lat. Tą kobietą, jedyną chyba, która nie wzbudzała mimo swego tytułu zazdrości lub niechęci, a przeciwnie — budziła wdzięczność milionów — była nieładna i niezwykła Żydówka polska — Helena Rubinstein. Tak, to ona jedna była królową piękności — piękności dla wszystkich kobiet; była cesarzową i dyktatorem, spowiednikiem i sędzią swych sióstr na całym świecie, a w swych drapieżnych rękach, zdobnych w olbrzymie pierścienie, trzymała może nie tyle berko, co klucz — tajemny klucz odtwarzania i zatrzymywania piękności kobiecej wbrew zegarowi czasu.

Ostatnio w Londynie wyszły pamiętniki Heleny Rubinstein pod tytułem „My life for beauty“ (*). Książka ta jest ilustrowana wieloma zdjęciami autorki i zdjęcia te, na równi z lekturą ułatwiają nam zrozumienie losów i sukcesów tej niezwykłej kobiety.

Sądząc po przedmowie datowanej w marcu 1965, pamiętniki swe ukończyła autorka tuż przed śmiercią. Jednym z pierwszych słów jej książki są słowa, że weszła oto w dziesiątą dekadę swego życia. O ile pamiętam z notatek prasowych, Helena Rubinstein umarła nagle; chciałoby się powiedzieć, że wyszła na spotkanie śmierci tak jak żyła i tak jak prowadziła swe imperium kosmetyczne.

Z kartek jej pamiętników spogląda w fin-de-sieclowym słomianym kapelusiku typu „Windhurst“. Zdjęcie to stało zrobione w Krakowie, skąd Helena, po zawodzie miłosnym wyjechała do Australii, aby już nigdy nie powró-

*) „My Life for Beauty“ by Helena Rubinstein, Bodley Head, London, 30/-.

PAMIĘTNIKI KRÓLOWEJ PIĘKNOŚCI

B.D.I.C

cić na stałe do swej ojczyzny, którą do końca życia będzie jednak wspominać z tęsknotą i rzewnością.

W miarę czytania pamiętników i oglądania dalszych zdjęć widzimy jak z brzydkiego kaczątka o pięknych oczach wyrasta kobieta o rysach ciekawych, o jakiejś specyficznej, drapieżnej, by się tak wyrazić „brzydkiej piękności“. Z jeszcze dalszych fotografii dowiadujemy się, że nigdy nie była piękna podstawowymi kanonami piękności, ale że zawsze była młoda. Helena Rubinstein będzie miała wyraz młodości w oczach nawet wtedy, gdy jako przeszło osiemdziesięcioletnia starszka jest fotografowana, czy może filmowana, podczas jakiejś konferencji prasowej, w trakcie wyrażania *credo* swego życia.

Pierwsza część pamiętników to przebieg życia i kariery Heleny. Jej tło rodzinne, odjazd z Polski, jej zmaganie się z obcym światem dalekiej Australii. Historia słoika z kremem, który jej matka włożyła do walizki na podróż przez oceany jest zbyt znana, aby ją raz jeszcze powtarzać. W każdym razie ten skromny słoik z robioną w domu maścią, ten słoik, którego zawartość dała Helenie i jej siedmiu siostrom przeźroczystość i białość cery na resztę ich życia — był początkiem zawrotnej kariery skromnej panią z Krakowa.

Na stukilkudziesięciu stronach pamiętnika opowiada nam Helena Rubinstein o sobie i o swym powodzeniu. Tak, to jest pamiętnik sukcesu, ale autorka pisze o tym poprostu i po ludzku. Wierzmy we wszystko co nam opowiada o sobie i o innych. Wiemy, że tak musiało być naprawdę, gdyż z kartek bije zupełny brak zarozumiałości, chęci chwalenia się czy imponowania nie tylko powodzeniem, ale i dziejami własnego, niezwyklego życia. Autorka pisze o swoich dwóch małżeństwach, o swych synach, siostrach, wnukach, o sławnych ludziach, z którymi się spotykała, a wszystko to brzmi naturalnie i skromnie, może nawet napisane bez polotu, ale napewno bez samochwalstwa. Helena Rubinstein jest chwilami tak skromna, że

aż wzrusza. Jest to skromność niezamierzona: ta nieafektowana kobieta pisze w pewnym momencie o tym, że nigdy nie miała adoratora czy amanta, bo te sprawy poprostu nie przychodziły jej do głowy. Była szczęśliwą matką, do pewnego momentu życia szczęśliwą żoną i — najbardziej ze wszystkiego — wspaniałym człowiekiem interesów. Opisuje spokojnie i z pewną pokorą odejście swego pierwszego męża Juliana Titusa, który opuścił ją dla młodszej kobiety, a potem z równą pokorą i wielką wdzięcznością — pisze o spotkaniu swego drugiego męża księcia Gourielli, z którym przeżyła dwadzieścia wiernych i szczęśliwych lat — aż do jego śmierci. I tutaj muszę zrobić małą dygresję.

Z pamiętników Heleny Rubinstein wynika (przynajmniej dla mnie, a czytałam tę książkę z uwagą), że książkę Gourielli namówił ją do małżeństwa, gdy miała lat **conajmniej** sześćdziesiąt. Oglądamy zdjęcie z ich ślubu. Przy młodym mężczyźnie (chyba był od niej o wiele lat młodszy) siedzi zwrócona ku czytelnikowi profilem pulchnawa, radośnie uśmiechnięta młoda kobieta.

Helena Rubinstein poświęca oczywiście wiele słów swemu kosmetycznemu imperium, które stanowiło dla niej na pewno realniejsze życie, niż ukochani synowie, dom i obaj mężowie. To, że była w tej dziedzinie geniuszem — bo przecież nie miała ani medycznego, ani chemicznego wykształcenia — nie ulega wątpliwości. Potrafiła zbudować to imperium instynktem chyba i wizją piękna, której poskąpiono innym. Dopiero po wyjeździe z Australii uczyła się przypadkowo i na wrywki o mechanizmie odnawiania się ludzkiego organizmu, o metabolizmie i innych podstawowych zagadnieniach swego powołania.

Tam, gdzie Helena Rubinstein pisze o swoim królestwie piękna — wierzmy jej najbardziej. Wierzmy, że wszystkie jej preparaty nie są i nigdy nie były sprytnym wyczyszczeniem na polu najpodatniejszym na wyczyszczenie — na polu pragnienia odwiecznej Ewy, aby pozostać nieprzemijalnie piękną. Wierzmy, że to co zrobiła dla kobiet —

sama pisze o tym naturalnie i przekonująco — to były i ciągle są doprawdy wielkie dokonania.

I tutaj mam jeden tylko zarzut w stosunku do tego co napisała ta kobieta, do której wraz z legionem innych kobiet na całym świecie czuję wdzięczność za to, że pokazała nam drogę, że przybliżyła niejako ku nam eliksir jeżeli nie wiecznej młodości — to z pewnością trwałego, estetycznego wyglądu. Zarzut mój polega na tym, że Helena Rubinstein, która w sensie materialnym osiągnęła wszystko, co można w życiu osiągnąć (wspaniałe domy czy wille w każdej metropolii świata, biżuteria i kolekcjonerstwo — na które wydawała miliony) — że ona właśnie, panią z Krakowa, zapomniała pisać pod koniec życia swój pamiętnik, że wszystko to, co nam każe czynić dla naszej urody kosztuje w jej luksusowych zakładach bardzo, bardzo wiele pieniędzy. Niesprawiedliwość społeczna odbija się także na urodzie. Tak, można na pewno zmienić swą osobowość i cerę i kolor włosów, napewno można zdobyć szczęście urody w jednym z salonów Heleny Rubinstein, ale na to mieć trzeba nielada zasoby. I tylko w tym autorka nie mówi całej prawdy: niestety, piękność nie jest łatwo dostępna dla każdej z nas.

I nawet to co pisze w drugiej części swojej książki, która jest jakby abecadłem piękności, nie zrekompensuje nam uczucia, że zostałyśmy — przynajmniej niektóre z nas — przez los pokrzywdzone, bo oto wszystkie mogłybyśmy być piękne, jak aniołowie prerafaeliccy, albo jak sama Gaby Deslys (Helena uważała ją za jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie spotkała) — gdybyśmy miały dość na to gotówki. Ale i tak przeczytać warto to, co nam podaje w drugiej, czysto kosmetycznej części swej książki: jak kłaść tusz na rzęsy, a cienie na powieki, jak się pudrować gamą, a nie jednym odcieniem pudru, jak jeść, jak się gimnastykować, aby wyglądać inaczej od tego jak nas stworzyła natura.

Polecam tę książkę wszystkim czytelniczkom „Orla“, gdyż mimo dość już opatrzonej terapii (dwańście przysiadów z rana w łazience, sok z cytryny naczeczko etc.), którą ona jednak pierwsza wymyśliła. — Helena Rubinstein kładzie nacisk na formę psychiczną, ten, podług niej, najważniejszy składnik odrodzenia się w nowej urodzie. Przeczytajmy wszystkie tę ciekawą, skromną i uroczą książkę, a napewno każda z nas znajdzie w niej coś dla siebie i wyciągnie własne wnioski dla zaradzenia własnym problemom.

ZAWAŁ SERCA

W dzisiejszej gawędzie pomówmy o chorobie, która jest niejako chorobą naszej epoki i cywilizacji, a mianowicie o zawału serca. Zaczniemy od krótkiego opisu anatomii serca.

Mięsień sercowy, tak jak każdy inny organ, ma swój własny dopływ krwi. Arterie dostarczają sercu krwi z tlenem, który jest niezbędny dla funkcjonowania mięśnia sercowego, a żyły odprowadzają tę krew z dwutlenkiem węgla, który powstał jako produkt końcowy przy pracy tkanek mięśniowych.

Czym jest zawał serca? Jest to zablokowanie jednej z arterii wiodących do serca. Wskutek tego zablokowania część mięśnia sercowego zostaje odcięta od normalnego dopływu krwi. Najczęstszą przyczyną zablokowania arterii sercowej jest niewielki skrzep, który formuje się w arterii, dotkniętej sklerozą. O wiele rzadszą dzisiaj przyczyną zawału może być syfilis, który powoduje zwężenie średnicy arterii. Znany zapewne czytelnikom pogląd, że skleroza arterii powodowana jest przez nadmiar tłuszczu, zawartego w pożywieniu, który — z kolei — powoduje nadmiar cholesterolu we krwi — został oparty na wieloletnich obserwacjach dietetycznych. Z drugiej jednak strony, w codziennej praktyce spotyka się wielu ludzi, o wysokim procencie cholesterolu we krwi, a którzy mimo tego nie cierpią na sklerozę. Fakt ten został stwierdzony w Anglii podczas wojny, kiedy racjonowanie żywności nie pozwalało na używanie dużej ilości tłuszczów, a mimo tego ilość przypadków zawału serca wcale się nie zmniejszyła. Wynika z tego, że medycynie nie jest jeszcze wiadomo z całą pewnością, co w rzeczywistości powoduje sklerozę, która jest najczęstszą przyczyną zawału.

Ofiarą zawału serca pada częściej mężczyzna niż kobieta, przeważnie w wieku powyżej lat 50-ciu. Pacjent taki często skarży się lekarzowi, że kilkakrotnie przed tym odczuwał już krótkotrwałe bóle w klatce piersiowej.

W charakterystycznym przypadku zawału pacjent odczuwa nagle ból w klatce piersiowej, który nachodzi go przeważnie, gdy zachowuje się spokojnie. Ból może promieniować do obu rąk, do szyi, szczęki, lub brzucha. Towarzyszy mu nieraz ostry brak tchu; mogą wystąpić mdłości, także wymioty. Ból jest uciążliwy i może trwać kilka godzin, a często nawet i parę dni. Jak więc widzimy, ból przy zawału serca różni się zasadniczo od ataku Anginy Pectoris, o której mówiliśmy nie dawno na łamach „Orła Białego“. Atak bólowy anginy trwa zaledwie kilka minut i występuje przeważnie w związku z wysiłkiem fizycznym. Pacjent, który uległ zawałowi serca odczuwa niepokój, blednie, pocą się i sinieje. Puls jest bardzo słabo wyczuwalny; około stu uderzeń na minutę. Ciśnienie spada. Stwierdzono także szereg przypadków, w których chory nie odczuwał w ogóle bólu, wydawał się jedynie nienormalnie osłabiony i miał trudności w chwytności oddechu.

W kilka dni po zawału gorączka może podnieść się. Diagnoza zostaje ustalana przez zrobienie elektrokardiogramu.

Wielu ludzi mimo jednego lub kilku zawałów serca żyje potem przez szereg lat. Przy ciężkim zawału śmierć może nastąpić natychmiast, a także zdarzają się wypadki śmierci spowodowane komplikacjami pozawałowymi takimi jak zapalenie osierdzia, czyli worka wokółsercowego, skrzep w mózgu, lub w płucach. Rzadką komplikacją

jest pęknięcie samego mięśnia sercowego, powodując śmierć natychmiastową.

Pacjentowi, który uległ zawałowi serca nie wolno dawać żadnych środków, które działają skutecznie przy angina pectoris, a więc pod żadnym pozorem nie należy dawać mu tabletek trinitryny. Chory musi być ułożony zupełnie płasko, otrzymuje zastrzyk z morfiny na usmierzanie bólu. Zastrzyk powtarzać można w odstępach czterogodzinnych. Środki phenobarbitonowe są również pomocne i mogą być stosowane dwa do trzech razy dziennie. Tlen pobierany przez maskę tlenową także usmierza ból, niepokój i brak tchu. Gdy szok jest bardzo silny, stosuje się dożylną transfuzję noradrenaliny.

Przez pierwszych kilka dni choremu daje się bardzo małe ilości pokarmu, potem dieta nie może przekroczyć tysiąca kalorii dziennie. Zastosowanie środków przeciwskrzepowych przez trzy do czterech tygodni po zawału może podobno zmniejszyć śmiertelność tej choroby aż do 50%. Doświadczenia wykazały, że u mężczyzn poniżej lat 50, którzy ulegli ostremu zawałowi serca, a brali środki przeciwskrzepowe przez sześć miesięcy po zawału, szanse następnego zawału zostały definitywnie zmniejszone. Dawka środków przeciwskrzepowych musi jednak być zmniejszona bardzo powoli. Chory musi pozostać w łóżku przez co najmniej sześć tygodni od chwili zawału, bardzo mało się ruszać i dużo spać i przebywać w bezwzględny spokoju. Po wypisaniu ze szpitala, chory musi dostosować się do zupełnie innego niż dotychczas trybu życia u siebie w domu. Jest to czynnik o ogromnej wadze, jeśli chodzi o zapobieżenie następnemu zawałowi. Wiele odpoczynku, unikanie jakichkolwiek niepokojów psychicznych oraz wysiłków fizycznych jest podstawowym elementem w przeciwdziałaniu nowemu zawałowi. Także, jeśli warunki mieszkaniowe na to pozwalają — należy unikać wchodzenia po schodach. Jednym słowem, powrót do normalnego życia musi być bardzo powolny i bardzo spokojny.

Wielu ludzi po zawału serca zapada na niezmiernie przykrą, choć do pewnego stopnia zrozumiałą, neurozę sercową: obawiają się, że każdy choć by najlżejszy ból powyżej pasa może być zwiastunem nowego zawału. Osobom dotkniętym tą neurozą należy dawać środki uspokajające, czasem nawet w dość wysokich dawkach, gdyż — jak powiedzieliśmy wyżej — psychiczne odprężenie pacjenta i brak obawy przed następnym zawałem w ogromnej mierze przyczyniają się do ogólnego polepszenia stanu jego zdrowia i ułatwiają szybszy powrót do normalnego życia.

Dr. Michał

LWÓW
1782
WIEDEŃ

J. A. BACZEWSKI

WÓDKI I LIKIERY
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI
ST. BERNHARD

KRUPNIK
STARKA
WIŚNIAK
WIŚNIOŹKA

J. A. BRUCE & CO.
9, LENTHALL PLACE, LONDON, S.W. 7.
Tel. FRE 5808
(Kolo stacji kolejki podz. Gloucester Road)



PRAKSEOLOGIA TADEUSZA KOTARBIŃSKIEGO

UKAZAŁO się angielskie wydanie jednej z najbardziej oryginalnych i podstawowych zdobyczy naukowych polskiej filozofii nowoczesnej. Mowa tu o „Traktacie o dobrej robocie“ Tadeusza Kotarbińskiego, o którym w swoim czasie prof. dr Zbigniew A. Jordan napisał, że „jest pierwszym oryginalnym dziełem filozoficznym, jakie ujrzało światło dzienne od 1949 r.“ („Kultura“ Nr 104, Paryż 1956, str. 51). Dzieło to teraz pojawiło się pt. „Praxiology — An introduction to the science of efficient Action“ (Prakseologia — Wstęp do naki o skutecznym działaniu) w przekładzie Olgierda Wojtasiewicza (Pergamon Press, Oxford, P.W.N., Warszawa 1965, str. 219).

Tadeusz Kotarbiński, który obchodzi w r. 1966 80-lecie urodzin, jest — jak powszechnie wiadomo — czołowym przedstawicielem polskiej szkoły filozoficznej, znanej również pod nazwą lwowsko-warszawskiej. Tak się złożyło, że jako uczeń Kazimierza Twardowskiego (1866-1938) Kotarbiński, sam rodem Warszawy, we Lwowie odbywał studia i tam rozpoczął pracę naukową, zwłaszcza w dziedzinie, której poświęcona jest omawiana książka. W swej obecnej postaci jest ona dziełem całego żywota jej autora i dlatego i o niej można powiedzieć: habent sua fata libelli!

O tym, czym jest prakseologia czytelnicy wiedzą choćby tylko z tekstu odczytu na jej temat, ogłoszonego w sierpniu 1963 r. („Orzeł Biały“, Nr 31 i 32). Pozwała to zatrzymać się tu dłużej, nie tylko nad pr. edmiotem jej rozważań, ale zwłaszcza nad znaczeniem i losami książki prof. Kotarbińskiego. Tu, na emigracji, była ona już przedmiotem uznania, o którym świadczą wspomniane wyżej wypowiedzi. Niemniej, była ona też przedmiotem zabawnego nieporozumienia, które warto przy tej sposobności sprostować.

Jeden z publicystów — z wykształcenia psycholog — w periodyku, który zresztą od tego czasu kilkakrotnie zmienił redakcję i charakter (stąd lepiej tego nikomu imiennie nie wypominać) napisał ni mniej ni więcej tylko, że traktat ten „robi wrażenie jednej z tych prac, jakie wielu naszych uczo-

nych musiało sobie pomysłowo wynajdywać, aby się wykazać dostateczną „produkcją“, gdy ich właściwe tereny działalności naukowej okazały się mniej lub więcej „zamrożone“...“

Od wydania przez Kotarbińskiego „Szkiców praktycznych“ w r. 1913 do ukazania się pierwszego wydania polskiego „Traktatu“ w r. 1955 aż po dzień dzisiejszy (ponad 50 lat) gromadził on i nadal gromadzi do niego materiały. Najpierw ogłaszał je niejako odcinkami w kraju i zagranicą. Zdołał on pracę wykończyć i do pewnego stopnia zamknąć w latach najbardziej niesprzyjających dla wszelkiej niezależnej myśli w Polsce i przeforsował jej wydanie dopiero u progu „polskiego października“. Na towarzyszące temu perypetie wskazuje zamieszczone na końcu I wydania nota „Od autora“, w której nie bez zdziwienia i zaniepokojenia czytamy m.in.: „Tekst... traktatu był przedyskutowany na szeregu posiedzeń naukowych Katedry Logiki Uniwersytetu Łódzkiego oraz zaproszonych osób biegłych w problematyce prakseologicznej. Wybrane rozdziały były poddane zgłębieniu krytycznemu na posiedzeniu naukowym Instytutu Filozoficznego Uniwersytetu Warszawskiego. Całość opatrzyli uwagami krytycznymi recenzenci uproszeni przez Komitet Filozoficzny Polskiej Akademii Nauk, któremu traktat złożony został do oceny. Po zreferowaniu jego zawartości na posiedzeniu Wydziału I Łódzkiego Towarzystwa Naukowego i uwzględnieniu treści wspomnianych recenzji (do których autor zastosował się w pewnej mierze) rzecz została zakwalifikowana i zgłoszona do druku przez władze tegoż Towarzystwa, następnie zaś przyjęta do opublikowania przez Wydawnictwo Zakładów im. Ossolińskich...“ Warto przypomnieć przy tej sposobności, że prof. T. Kotarbiński był założycielem, profesorem i Rektorem Uniwersytetu Łódzkiego w latach 1945-1949, potem profesorem Uniwersytetu Warszawskiego i członkiem założonej w r. 1951 Polskiej Akademii Nauk.

Opis powyższej kalwarii dzieła naukowego zamyka podziękowanie autora jego „instytucjom i osobom, które przyczyniły się do ukształtowania traktatu

w jego obecnej postaci oraz umożliwiły jego ukazanie się w druku.“ (Podkreślenia J.O.). Jest to godny zapamiętania przyczynek do dziejów kultury w Polsce, który odtworzy historia na podstawie protokołów zebrań, treści recenzji i recenzentów i kwalifikatorów do druku, jeśli protokoły te zachowają się w ich oryginalnej postaci.

Tymczasem, przeszedłszy przez to bibljne „ucho igielne“, traktat ukazał się upstrzony kilku cytatami stalinowskimi. Znamionem dla warunków powstania tego dzieła jest też fakt, iż bibliografia uwzględniająca powiązania tej pracy z publikacjami przedwojennymi i zagranicznymi ogłoszona została dopiero na końcu II wydania z r. 1958.

W wydaniu angielskim uderza od razu zmiana tytułu. Z „Traktatu o dobrej robocie“ czyli „A treatise on good work“, jak brzmiał w angielskim streszczeniu do obu polskich wydań, tytuł zmienił się na „Praxiology“. Jest to niewątpliwie postęp, gdyż pozbywając się literackich podtonów staje się bardziej fachowo-techniczny. W tytule tym dała by się zaczepić tylko jedna litera, ale to bynajmniej nie z punktu widzenia ortograficznego czy stylistycznego. O ile wolno sądzić o tym, nierodowitemu Anglikowi, przekład jest nie tylko poprawny, ale i wielokrotnie idiomatyczny. Nie da się zaczepić też z tego powodu, o którym pisał wspomniany przez nas recenzent, że: „Jako nazwa dyscypliny naukowej, praxeologia nie pojawia się nigdzie na Zachodzie, kto wie jednak, czy nie jest ona właściwa i odpowiednia w krajach opo-panowanych przez stalinizm“. Zastanówmy się na ile „recenzent“ trafił kulą w plot?

O tym, gdzie i kiedy na zachodzie termin praxeologia w różnych swych odmianach używany jest jako nazwa dyscypliny naukowej, można się dowiedzieć ze „Słownika Prakseologicznego“ przygotowywanego przez dr Tadeusza Pszczołkowskiego i ogłaszanego w „Materiałach Prakseologicznych“ wydawanych P.A.N. I właśnie ze względu na wskazane tam powiązanie przez psychologa, Chińczyka Zing Yang Kuo formy „praxiology“ z tak czy inaczej pojętym behavioryzmem, wydawałoby się wskazanym używać raczej postaci „praxeology“ dla tego właśnie, szerzej pojętego typu badań, które uprawia Tadeusz Kotarbiński i cała jego szkoła. Tym bardziej, że właśnie John B. Watson (1878-1958) oparł się namowom Charles A. Mercier (1852-1919) i Knight Dunlap (1875-1949), aby behavioryzm nazwać praxiology, lub praxeology.

Oczywiście ten spór o jedną literę został wysunięty jako pretekst, czy punkt wyjścia do zorientowania się w

pozycji, jaką zajmuje polska prakseologia wobec odmiennych rodzajów badań nad działaniem uprawianych w innych krajach, równie dobrze na wschodzie, jak i na zachodzie. Z książki Stefana Rudniańskiego „Z dziejów filozofii“ (wyd. II, Warszawa 1961, str. 238 + 2 nl.) wiadomo, że Mikołaj Bucharin, bolszewik zlikwidowany w r. 1937 używał zapewne za Ukraincem Eugeniuszem Sluckim (1880-1948) terminu prakseologia w swych pracach ogłoszonych w 1931 r. i następnych, w redagowanym przez siebie czasopiśmie pt. „Socjalistyczna Rekonstrukcja i Nauka“ (Sorena). Po r. 1937 badania prowadzone pod tym hasłem i samo słowo popadły w niełaskę i zapomnienie. Dopiero ostatnio następuje w Rosji Sowieckiej zmiana ustosunkowania się do takich badań. Towarzyszy ona wydaniu po rosyjsku „Wybranych dzieł“ (Izobrannyje Proizwiedienija) Tadeusza Kotarbińskiego (Moskwa 1963, str. 910 + 2 nl.), uwzględniających także artykuły o prakseologii. Tutaj nie po raz pierwszy filozofia polska przyczynia się do rozbicia uprzedzeń panujących w nauce jej wschodniego sąsiada.

Prakseologia, w rozumieniu Kotarbińskiego, jako nauka o warunkach sprawnego działania, jest chyba głównym i najbardziej rozwiniętym, niezmatematyzowanym podejściem do badań nad działaniem. Oprócz francusko-belgijskiego odłamu badaczy, reprezentowanego przez Alfreda Espinasa (1844-1922), używającego terminu prakseologia od 1890 r. i przez Georges Hostelet (1875-1960), nieużywającego go, jest cała mozaika badaczy i kierunków anglo — i nie-anglosaskich, prowadzących swe swe poszukiwania pod hasłem psychologii teoretycznej, analitycznej filozofii czynu, socjologii teoretycznej i innych już zmaturalizowanych, jak badań operacyjnych (operational, research), itp., a nawet po prostu cybernetyki, znów we Francji, jak przez Louis Couffignala.

Ciekawe, jak ten cały świat filozoficzny i ściśle naukowy ustosunkuje się do udostępnionej mu w tekście angielskim nowej dyscypliny teoretycznej. Stoi ona bowiem na skraju tradycyjnych badań filozoficznych, zazwyczaj stojących u podstaw badań psychologicznych, etycznych, socjologicznych, jak również i z zakresu organizacji pracy i kierownictwa. Dotychczas bowiem dostępne były Zachodowi tylko drobne przyczynki Kotarbińskiego przedstawiane na forum międzynarodowym z okazji zjazdów filozoficznych lub konferencji naukowych, oraz w stosunkowo nielicznych artykułach w czasopismach fachowych, zwracając uwagę tylko ściśle zainteresowanych.

Zrab polskiej prakseologii ujęty w traktacie Kotarbińskiego przedstawiony został anglosaskiemu czytelnikowi w sposób pod względem wydawniczym, bardzo apetyczny, ładny, staranny pod względem edytorskim, graficznym i inroligatorskim. Swego rodzaju novum, nawet na rynku angielskim stanowi dwubarwna obwoluta z tytułami i tekstami wyjaśniającymi, nadrukowanymi na białym materiale plastycznym. Jest to wydawnictwo dwóch firm jednocześnie: angielskiej Pergamon Press z siedzibą w Oxfordzie i Londynie oraz Państwowego Wydawnictwa Naukowego z Warszawy i było drukowane w Drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Poprzednie wydania polskie w tym zestawieniu wyglądają na szarych kopciuszków.

Pod względem rozmiarów w tekście angielskim książka jest o 1/2 krótsza (z ok. 750 tys. do 500 tys. liter). Nawet biorąc pod uwagę kondensację, jaka następuje zwykle w przekładach prozy naukowej z polskiego na angielski to 33 % skrócenie daje się wytłumaczyć pewnymi skrótami natury raczej redakcyjnej, niż merytorycznej. Z jednym chyba tylko wyjątkiem, odcieżenia od niepotrzebnego balastu przymusowych cytów o charakterze czysto koniunkturalnym, których domniemane źródło pojawienia się w tekście zostało wyżej wskazane. Stąd w skorowidzu usunięcie takich haseł, jak „Stalin“ (2 pozycje w I wydaniu), a wraz z nim całych ustępów „przykładowych“ już z drugiego wydania.

Zatem wydanie angielskie jest bliższe postaci, do której już przed wojną były pokazne przyczynki w artykułach o istocie prakseologii, w broszurach takich, jak „Czyn“ i „Z zagadnień ogólnej teorii walki“, w pracach o stosunku sprawstwa. Niemniej dopiero w r. 1948 mógł autor wyznać, że ma całość gotową w koncepcji i potrzeba mu tylko jakich dwóch lat swobodnej pracy na jej wykończenie i napisanie. Wykończenie to w okolicznościach, w jakich musiało się odbywać, trwało dobre dalszych 8 lat, a jeszcze dalszych 8 lat minęło nim nie przystąpiono do wydania przekładu na angielski. Zbiegło się ono dość blisko w czasie z wydaniem innej pracy Kotarbińskiego na język obcy, mianowicie jego zbioru wykładów z historii logiki, na język francuski.

Tak więc udostępnienie światu głównej pracy seniora polskich filozofów zostało zrealizowane, choć przeciwko prakseologii, nie po raz pierwszy zresztą w dziejach nauki, zdawałoby się sprzysięgł cały świat. Espinas i poniekąd Slucki grę z losem przegrali dotychczas, Kotarbiński zdołał tę grę z losem wygrać na czas.

Wydanie angielskie musiało zawierać bibliografię. Rzecz jasna nie mogła ona obejmować prac polsko-języcznych. Jedyny wyjątek został zrobiony dla „Wyboru pism“ autora. Natomiast do pozycji zacytowanych z obszerniejszego znacznie zestawu prac polskich i obcojęzycznych w 2-im wydaniu polskim doszła jedna pozycja, wcale nie zwykła u naszego autora. Z „Wyboru tekstów teologicznych“ św. Tomasza z Akwinu w przekładzie na angielski T. Gilby z r. 1955, uwzględniony jest klasyk prakseologiczny, jakim jest Prima Secundae Summae Theologicae. Dla wątpliwych w użycie słowa prakseologia na zachodzie można dodać, że w wielkiej encyklopedii portugalsko-brazylijskiej jest takie hasło, które zawiera określenie prakseologii, jako części teologii moralnej, która bada przyczyny i prawa działań ludzkich.

W sposobie ujęcia meritum „Traktatu...“ we wszystkich dotychczasowych wydaniach króluje podejście czysto systematyczne, w zasadzie a-histeryczne, co wskazuje na ogrom pracy twórczej podjętej przez autora, nawet z ryzykiem „powtórnym odkryć“. Wszak niemal równoległe z Kotarbińskim — Marian Borowski (1879-1938) analizował i próbował definiować poszczególne składniki czynu, czyny proste i złożone, Emanuel Lasker (1868-1941) w swej „Machologii“ zakładał zreby teorii walki, a Charles Dunoyer (1786-1862) wyodrębnił już w działaniach gospodarczych, społecznych i politycznych zasady ekonomizacji, preparacji, instrumentalizacji i organizacji. W jeden zwarty system zespolił te disiecta membra dopiero Kotarbiński.

Odnosi się wrażenie, że „Traktat...“ pozostał wykonaniem planu zarysowanego już przed wojną. Dotychczas nie zostały przezeń wchłonięte dalsze przyczynki autora, dokonane, czy ogłoszone w ciągu ubiegłych dziesięciu lat. Dotyczy to rozważań na temat zdań prakseologicznych, na temat prekursorów prakseologii, na temat błędów w działaniu itp. Może dopełnią one oczekiwane następne, trzecie polskie wydanie „Traktatu...“, które siłą rzeczy będzie jego czwartą wersją.

Jeśli uwzględnić pokazywany materiał przedyskutowany w ostatnich latach w ramach zebrań Pracowni Prakseologicznej P. A. N., to można powiedzieć, że dyscyplina ta poczyniła dalsze postępy od czasów ustalenia obecnej treści „Traktatu...“. I w ten sposób, w tempie zupełnie niezwykłym dla tego rodzaju prac pionierskich, dzieło to stało się... historycznie zafiksowanym klasykiem polskiej filozofii, lub jakby zapewne wolał autor — tej nowej dyscypliny filozoficznej.

Wracają do niego uczniowie i dalsi badacze, jak do kamienia węgielnego, na którym budują dalsze filary tej żywej budowli naukowej. Również w tempie niespodziewanym z metodologii postępowania naukowego wywiedziona dyscyplina zamienia się w odrębną naukę stosowaną, znajdującą dla siebie w Polsce pole rozwoju w teorii pracy (T. Pszczółkowski), w ekonomice (O. Lange), w organizacji (J. Zieleniewski), w etyce, wychowaniu, strategii lub po prostu w sztuce życia codziennego.

Pozornie prakseologia Tadeusza Kotarbińskiego wydaje się wyzbyta jakiegokolwiek zaangażowania metafizycznego, ale wrażenie to może być tylko złudne, gdyż skądinąd wiadomo, jak jej twórca jest związany z reizmem i somatyzmem, o wyraźnych znamionach materialistycznych. Obecnie system jego wystawiony został na erozję ze strony anglosaskiej szkoły analitycznej, która — używając wyrażenia zapożyczonego od o. prof. I. M. Bocheńskiego, O.P. — może poddać ten zrab prakseologii „potężnej wiertaczce“ logiką nowoczesnej. Ta szkoła anglosaska wyrobiła sobie już całe pokolenia „badaczy działania“ związanych co najwyżej z psychologią teoretyczną, bez obciążenia nauki stosowanej, ale nie bez po-

wikłań z problemami ontologicznymi, epistemologicznymi czy aksjologicznymi, a czasem więc zaplątanych w gąszcz filozofii lingwistycznej. (S. Hampshire, G. E. M. Anscombe, R. S. Peters, A. Kenny, A. L. Melden, E. D'Arcy, D. P. Gauthier, G. H. von Wright, do których dochodzą wciąż nowi). Niektórym przyjdzie w sukurs. A nadto może stać się pożywką dla wciąż nielicznych zwolenników proponowanej przez John Macmurraya rewolucji w współczesnej filozofii. Polegałaby ona na oparciu całego gmachu rozważań filozoficznych na podstawach aktywistycznych, czyli na filozofii działania, jako podstawowej i na której dopiero opierałaby się filozofia poznania. Polskim odpowiednikiem takiego stanowiska jest praktyzm głoszony przez prof. Narcyza Łubnickiego.

Dotychczas na Zachodzie na wnikliwszy akcent krytyki w stosunku do polskiej prakseologii zdobył się tylko logik belgijski Leo Apostel. Dla upewnienia się o analityczności systemu Kotarbińskiego wysunął on postulat aksjomatyzacji prakseologii. Wydaje się to Apostelowi możliwe tylko przy porzuceniu nie tylko terminów introspekcyjnych, ale także i przy nie wprowadzaniu cybernetycznych definicji działań, jako niestrukturalnych. Jak z tych

sformułowań wynika, chodzi o sprawy bardzo fachowe, a przy tym dotyczące bez żadnych następstw praktycznych, ani ze strony krytykowanego, ani krytykującego. Chyba można tu wysnuć tylko jeden wniosek, iż będzie musiało minąć jeszcze dobre pokolenie badaczy, zanim prakseologia znajdzie uczniów zdolnych do podjęcia nowego etapu w jej rozwoju, etapu, w którym zostałyby uwzględnione postulaty formalizacyjne, zapoczątkowane poniekąd przez von Wrighta, logika fińskiego pochodzenia i postulaty ew. matematyzacji, np. w zakresie teorii informacji lub cybernetyki, podejmowanej fragmentarycznie przez Henryka Greniewskiego.

Na przykładzie wielkiego dzieła Tadeusza Kotarbińskiego trzeba stwierdzić, iż z przysłowowym minimalizmem szkoły lwowsko-warszawskiej jest coś niedobrze. Ograniczając się do naukowej analizy podstaw filozofii i wyrekając wszechogarniających systemów, nie powstrzymał się od zbudowania wszechogarniającej propedeutyki, napisania zarysu historii logiki i stworzenia nowej dyscypliny filozoficznej. To wcale dużo, jak na program minimalistyczny.

Jan Ostrowski

JÓZEF ŻMIGRODZKI

„Od Wiednia do Maciejowic“

GDY czytam książkę Mariana Kukiela, „Od Wiednia do Maciejowic“, staje mi przed oczyma jej autor, jakim go widywaliśmy w Londynie, w końcowych latach wojny, nasz minister obrony narodowej w tej bardzo ciężkiej chwili dziejowej. Pozostało mi w pamięci z tamtych lat jego jasne spojrzenie, z którego biła wiara w słuszność naszej sprawy, — spojrzenie, utwierdzające i w nas tę wiarę. Po wojnie zamieniwszy mundur generalski na strój cywilny, wrócił Marian Kukiel do prac badawczych w zakresie historii, którym z tak wielkim pożytkiem dla nauki polskiej oddawał się od swych lat młodzieńczych. Powstały tu, w Londynie, nowe jego prace: monografia o Adamie Czartoryskim i audycje nadawane przez Radio Wolnej Europy, o kilku postaciach czasów Wielkiej Emigracji, drukowane potem w londyńskich „Wiadomościach“, — i to wspaniałe dzieło, do którego wracam często z nieślabnącym nigdy zainteresowaniem: „Dzieje Polski porozbiorowej“, — dzie-

ło, łączące obiektywizm naukowy z żarem wyznawcy idei wolnościowej. Dzięki pracom tym zasłużył generał Kukiel w pełni na nazwę „historyka Polski Walecznej“, jak się zwykło o nim wśród nas mówić. Lektura książek Kukiela daje dużo zadowolenia, bowiem ten uczony jest zarazem wysokiej klasy pisarzem. Krystaliczna przejrzystość stylu i sugestywność wyrazu, cechujące sztukę pisarską Kukiela, są zjawiskiem bardzo rzadko w historiografii spotykanym.

Tom „Od Wiednia do Maciejowic“, wydany został przez Polską Fundację Kulturalną w ramach obchodu 80-lecia urodzin generała Kukiela. Książka ta przywraca nam część dorobku tego historyka z okresu między dwoma wojnami. Zrębem głównym jego badań były wówczas zagadnienia wojskowe okresu wczesno-porozbiorowego napoleońskiego, przenosił się jednak niekiedy myślą i w czasy wcześniejsze: wiek XVII i XVIII, którym poświęcił kilka gruntownych rozpraw, ogłaszanych między

rokiem 1928 i 1938, w czasopiśmie naukowych.

Wydawnictwo „Od Wiednia do Maciejowic“ stanowią przedruk tych rozpraw. Pierwsza z prac, „Sobieski — wódz“ — to odczyt wygłoszony na Uniwersytecie Jagiellońskim w 250-ą rocznicę bitwy wiedeńskiej, drukowany potem w jednym z ówczesnych czasopism. Cztery następne rozprawy mówią o polskim wysiłku zbrojnym i organizacji wojskowej w okresie tegoż króla i Sasów. Praca szósta i ostatnia poświęcona została bitwie maciejowickiej.

Cztery rozprawy, wypełniające środkową część książki, poruszają zagadnienia o charakterze specjalnym, interesujące głównie historyków. Natomiast „Sobieski-wódz“ i „Maciejowice“ — to ciekawa, pasjonująca nawet lektura i dla szerszego kręgu czytelników. Talent pisarski autora występuje tu w całym swym bogactwie.

* * *

Żywa i wyrazista jest postać Sobieskiego-wodza, jaka wyszła spod pióra

Mariana Kukieła. Wódz ten, mający pełne zrozumienie dla roli broni nowoczesnych, piechoty i artylerii, był jednak przede wszystkim, jak go określa autor, „kawalerzystą typu narodowego“. „Wziął w siebie“ — pisze o nim Kukiel — „ducha tej broni: jej natarczywość, ruchliwość, zwinność; ... manewrować nią będzie w bitwie z mistrzostwem Chodkiewicza, ścigać Tatarów z szybkością większą, niż Stefan Chmielecki, uderzać z piorunującą nagłością Czarnieckiego“.

Jak najlepsze świadectwo królowi Janowi III, jako wodzowi, wystawia szybkość marszu z Krakowa pod Wiedeń. Przybywszy tu, staje król polski na czele 70-tysięcznych sił chrześcijańskich. „Wyjątkowym zjawiskiem“ — pisze Kukiel — „były takie masy na jednym polu bitwy ówczesnej Europy“. Bardzo interesujące jest to, co pisze autor o rozwinięciu się tej armii do boju: „Armia chrześcijańska staje w porządku tak pięknym, że piękniejszego nigdy żadna armia nie miała. Po wykłanianiu się z cieszyn górskich, z lasów, winnic, opłoków i szańców, ... rozwija się ta masa 20-tu tysięcy koni do druzgocącego uderzenia,“ — był to „przejaw geniuszu wojennego (wodza) najwyższej miary“.

Druga z kolei rozprawa mówi, że Polska weszła w wojnę 1683 roku z Turcją „z godnością i powagą wielkiego mocarstwa, a gorliwością krzyżowców“, — że na tryumf wiedeński „złożyły się mądrość i potężna wola króla, oraz niezwykła energia ofiarna narodu, jaką król umiał wyzwoić“.

* * *

Ciekawe są uwagi o składzie społecznym wojsk dawnej Polski.

Urzeczeni postaciami powieściowymi Skrzetuskiego, Wołodyjowskiego, Podbięty, Kmicica, skłonni jesteśmy dostrzegać w wojskach Rzeczypospolitej tamtych czasów wyłącznie, czy prawie wyłącznie szlachtę, podczas gdy w rzeczywistości piechota i artyleria rekrutowały się głównie z chłopówi drobno-mieszczanstwa. I w jeździe jednak, jak pisze Kukiel, „charakter szlachecki nie występuje tak dominująco, jakby wynikało z tradycji, element zaś ludowy zjawia się w niej nie tylko, jako pachołcy pocztów, lecz także jako towarzysztwo, nawet na stopniach oficerskich, nawet wśród rotmistrzów“. Jest to nowy, mało znany aspekt zagadnienia wojskowości polskiej za czasów przedrozbiorowych.

Pomiędzy Sobiskim a Kościuszką „był mrok w dziejach wojskowości polskiej, dopóki szkice Kukieła nie rzuciły

pewnego światła i na ten także okres. Uwagę swą skupił głównie na postępującym coraz bardziej procesie polonizacji wojsk cudzoziemskiego autoramentu na służbie Rzeczypospolitej, a oddzielną rozprawę poświęcił propagatorowi polskiej komendy i stroju tych wojsk, Kampenhauzenowi. Ten spolonizowany pół-Niemiec pół-Szwed, który napisał dzieło pod tytułem: „Chwała i apologia kopii i pik“ — to wymowne świadectwo promieniowania ducha polskości na obcoplemienny żywioł.

* * *

Pracę o Maciejowicach, zajmującą w książce najwięcej miejsca, rozpoczynają uwagi o sytuacji, jaka powstała po bezskutecznym oblężeniu Warszawy przez wojska króla pruskiego. Wojska te, odstępwszy od murów stolicy, zatrzymały się w marszu odwrotowym nad Pilicą i Bzura. Współdziałający z Prusakami rosyjski korpus Fersena również odstąpił od Warszawy; ruszył w kierunku południowym i rozlokował się wzdłuż Wisły, na lewym jej brzegu. Od wschodu, od strony Bugu, siedł korpus Suworowa.

Mimo strzeżenia prawego brzegu Wisły przez wojska polskie, udało się Fersenowi przepłynąć przez rzekę. Zmierzał do połączenia się z Suworowem. Następuje błyskawiczna decyzja Kościuszki: nie dopuścić do tego połączenia, rozbić Fersena w dniach najbliższych w decydującym boju.

Bez żadnej eskorty i asysty poza adiutantem swym, Niemcewiczem, pędzi Naczelnik konno z zawrotną szybkością z Warszawy pod miasteczko Maciejowice i staje na czele dywizji generała Sierakowskiego. Dywizja Ponińskiego, znajdująca się w odległości trzydziestu kilku kilometrów od Maciejowic, miała być w odpowiedniej chwili wezwana do marszu i dołączyć miała do bitwy w toku jej trwania, zaskakując nieprzyjaciela swym pojawieniem się.

Niestety, Poniński nie zdążył na czas. Kościuszek, walcząc z dwukrotną przewagą przeciwnika, został rozgromiony. Ciężko poraniony i pokłuty, znaleziony przez Rosjan na pobojowisku, dostał się do niewoli. Sprawa powstania przybrała obrót tragiczny.

Pogrom maciejowicki stał się przyczyną krytyki działań Naczelnika, podejmowanej wielokrotnie przez historyków, których tendencją było pomniejszenie tej postaci.

Obiektywizm naukowy kazał i Kukielowi dojrzeć pewne błędy w strategii Kościuszki, sprowadza jednak te błędy do właściwej miary. Nie zapewnił sobie Kościuszek pod Maciejowicami przewagi liczebnej nad nieprzyja-

ciem, choć miał ku temu możliwości. Nie osiągnął wszystkich sił z Warszawy, jakby to na jego miejscu w tej sytuacji zrobił Napoleon. Błąd ten, wynikający z nadmiernej troski o cele uboczne działań wojennych, był błędem powszechnym w ówczesnej strategii w Europie. Dopiero Napoleon stosować zaczął zasadę gromadzenia jak największych sił do decydującego uderzenia, bez względu na sytuację w punktach w danej chwili drugorzędnych. Trudno jednak zdaniem Kukieła winić Kościuszkę o to, że nie wyprzedził Napoleona. Zresztą i Napoleon nie zawsze był konsekwentny w realizacji wypracowanej przez siebie doktryny. Pod Waterloo popełnił błąd ten sam mniej więcej, co Kościuszek pod Maciejowicami.

Drugim błędem Kościuszki było to, że nie zapewnił sobie w dostatecznej mierze współdziałania dywizji Ponińskiego. Możliwe jest, że wysłał w porę rozkaz do Ponińskiego, by rozpoczął marsz w kierunku Maciejowic. Nie zmienia to jednak postaci rzeczy, że utrzymywanie przez czas długi tego dystansu między dywizjami było zbyt ryzykowne.

I jeszcze jedna okoliczność zaciążyła na losach bitwy maciejowickiej. Kościuszek liczył na swą wyższość intelektualną nad dowódcą nieprzyjacielskim i na wyższość moralną polskiego żołnierza wolności nad żołnierzem carcy. Wiara ta pod Maciejowicami załamała się o przewagę materialną wroga. Ta postawa Kościuszki, z punktu widzenia strategicznego stanowiąca jeszcze jeden błąd — daje jednak zarazem miarę wielkości tej postaci. Gdy czytam fragment pracy Kukieła, który mówi o niewygastej wierze Kościuszki w zwycięstwo wolnego ducha nad materialną, bezduszną mocą nieprzyjaciół, — postać Naczelnika rośnie w moich oczach. I przychodzi mi na myśl, że bez tej wiary Kościuszki nie byłoby nie tylko Maciejowic, — nie byłoby również przed nim Raclawic, ani skutecznej obrony Warszawy przed królem pruskim. Swą siłą ducha Kościuszek bił wrogów. Przyszła jednak chwila, gdy czynniki realne: liczba i jakość uzbrojenia Rosjan zaczęły ważyć na biegu zdarzeń. Inaczej być nie mogło.

Przy wszystkich błędach, jakie popełnił, był Kościuszek, zdaniem Kukieła, znakomitym wodzem. Analiza strategiczna bitwy maciejowickiej doprowadziła tego historyka do wniosku, że wybór kierunku działania przeciw Fersenowi i szybkość powziętej decyzji „przynioszą najwyższy zaszczyt talentom wojskowym Naczelnika, świadczą o (jego) orlim wejrzeniu, wielkiej sile ducha i żelaznej energii“.

Myślę, że obalenie tez, głoszonych przez pomniejszycieli Kościuszki i uka-

zanie tej postaci we właściwym świetle należy do największych osiągnięć w całej kilkudziesięcioletniej, bogatej i wielostronnej pracy naukowej Mariana Kukieła. A nie jest to na pewno zapalanie świec na ołtarzu legendy, jak twierdzą krótkowzroczni krytycy. Rozprawa o Maciejowicach — to owoc metody naukowej, jak najbardziej skrupulatnej i ścisłej.

* * *

Rozprawy, zamieszczone w tej książce, zostały uszeregowane w porządku chronologicznym zagadnień, którym zostały poświęcone. Tytuł ogólny, wprowadzony przez wydawców, „Od Wiednia do Maciejowic”, nawiązujący do pierwszej i ostatniej rozprawy, ma określać, jak można się domyślić, ramy czasowe, w jakich zamyka się całość książki.

Tytuł w takim brzmieniu ma jednak i złą stronę. Wywołać może u niejednego z czytelników nieporozumienie. Nasunąć mu się może myśl, że celem książki ma być ukazanie fatalizmu drogi dziejowej, prowadzącej od wielkiej chwały ku nieuchronnej zagładzie, — a nie tą myślą na pewno kierowali się wydawcy.

Pragnę podkreślić, że wyłącznie do tytułu odnosić swą uwagę krytyczną. Już nawet dorywcza lektura tej książki usuwa wszelkie możliwe nieporozumienia. Marian Kukiel, „historyk Polski walczącej”, jak najdalszy jest od kompleksów kłeskowych. Zdaniem jego i pod Wiedniem i pod Maciejowicami — była wielkość, — tu wielkość w tryumfie, tam wielkość w upadku, budząca szacunek nawet w nieprzyjacielu. Kościuszce stanąć wypadło na czele siły zbrojnej narodu w czasach o wiele trudniejszych, poprzedzonych poprzednio przez długi okres bezwładu Rzeczypospolitej. I dlatego — po kilku

bitwach wygranych — doznał klęski. Podobnie jednak, jak walki Sobieskiego są chlubą oręża polskiego, są nią również walki Kościuszki.

Tak przedstawia się zagadnienie: Wiedeń-Maciejowice z punktu widzenia historii wojskowej, poza której zakres omawiany zbiór rozpraw Kukieła nie wykracza. Historia polityczna i społeczna może nam dostarczyć więcej materiału do rozważań. Wielkość tryumfu Sobieskiego na polu chwały nie powinna przesłaniać nam faktu, że organizacja państwowa Rzeczypospolitej była już za jego czasów słaba, a w życiu wewnętrznym narodu były objawy, nie wróżące dobrej przyszłości. Wiedeń — to wspaniały blask zachodzącego słońca potęgi dawnej Polski.

A potem przyszedł długi mrok epoki saskiej i bezsiły Polski, wypełniającej znaczną część panowania Stanisława Augusta. I wtedy właśnie Kościuszko ukazał narodowi blask czekający go na nowej drodze, — pierwszy podjął opartą o masy ludowe walkę o Polskę wewnątrznie przebudowaną. Po roku 1794 przyszyły legiony Dąbrowskiego, zryw belwederski, nowa legenda kosynierska Miłosławia i Wrześni, niezliczone bitwy i potyczki roku 1863 i 1864, rewolucja lat 1905-1906, legiony Piłsudskiego i rok 1918. Wymowny obraz tych walk ukazuje inna książka tego samego autora: wspomniane już poprzednio przeze mnie: „Dzieje Polski porzobiorowe”.

Józef Żmigrodzki

ZYGMUNT STERMIŃSKI

A TERAZ W KANADZIE... 9 PAC PAMIĘTA O SWYCH DZIEJACH

Urok zjawisk niespodziewanych uderza mocniej i trwa dłużej w pamięci, niż piękno ukryte w zakątkach codziennego życia, czy w krajobrazie, do którego lata przyzwyczaiły. Rzeczy powszednie przestają działać na wyobraźnię, gdy stają się dzięki codzienności częścią naszego widzenia. Obraz wiosny w Iraku w oczach tych wszystkich, którzy tę wiosnę widzieli, pozostanie na długie lata. Był to rok 1943, jeszcze rok nadziei. Puste, gliniaste przestrzenie Iraku, upiękzone tu i ówdzie wzgórzami o aerodynamicznych kształtach, tak zmodyfikowanych przez silne wiatry, nakryte zostały wspaniałym zielonym dywanem, przetykanym kwiatami pustymi, dywanem, tak jakby wyciętym z późnośredniowiecznego obrazu, przedstawiającego Zwiastowanie w Nazarecie lub ogród niebiański. Brak realistycznego podejścia w malarstwie tego okresu doskonale harmonizował z obrazem zielonej pustyni, której, aż nadto realny widok, był nowym, zupełnie niespodziewanym i niezwykłym dla nas zjawiskiem.

Te dalekie wspomnienia wracają dzisiaj, gdy leży przede mną Jednodniówka 9 PAL/PAC, wydana w Kanadzie. Kwiatek z kanadyjskiej ziemi, tak niespodziewany, jak niezwykły był ten widok Iraku. Że nie w Polsce rozumiemy, ale dlaczego w Kanadzie?

Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Duża grupa oficerów i żołnierzy 9 PAC wyjechała jeszcze z Włoch do Kanady; tam po latach inkubacji, gdy pierwszą troską musiało być urządzenie się w obcym kraju, odżyła dawna więź pułkowa i nagromadzona energia znalazła

upust w działalności, której podstawą była pamięć o przeżyciach wojennych.

Historia tego pułku artylerii przypomina dzieje innych pułków 2 Korpusu. Sformował się w Iraku z części 6 PAL, jako pułk artylerii lekkiej wyposażony w 25-funtówki i całkowicie zmotoryzowany. Sprawny i zdyscyplinowany poniósł małe straty w kampanii włoskiej, jak chyba prawie wszystkie pułki artylerii. Najcięższe chwile przeżył pod Piedimonte. Po zajęciu przez Korpus Monte Cassino, Niemcy oparli się na linii Gustawa, której silnie umocnionym zębem było Piedimonte. Pamiętam te chwile. Stoimy na stanowiskach ogniowych na włogotnych łąkach; na prawo od nas masyw z opactwem Monte Cassino w tyle; o 4 kilometry wprost przed nami znajduje się wzgórze przykryte czapką miasta. To Piedimonte. Jesteśmy w pełnej obserwacji niemieckiej; więc też strzelają do nas, jak do kaczek. Przez dwa dni. Tylko przez dwa dni, dzięki Bogu.

W końcu 1944 roku przebrojenie w ciężkie działa; pułk zmienia nazwę na pułk artylerii ciężkiej według terminologii brytyjskiej. Byłśmy wtedy przekonani, że według polskiej przedwojennej nomenklatury był to pułk artylerii najcięższej. Takim już pułk pozostał, aż do końca tego meteorytu, którym w dziejach wojskowości polskiej był 2 Korpus.

Jednodniówkę kanadyjską czyta się z przyjemnością. Chropowatość niektórych wypowiedzi nagradza z nadmiarem ich szczerość, entuzjazm i pogodnie spojrzenie na przeszłość. Jest coś odświeżającego we wspomnieniach ludzi,

MIĘDZY LONDYNEM I WARSZAWĄ

to tytuł nowej książki

Józefa Garlińskiegopoświęconej bardzo mało znanym
fragmentom działalności Armii
Krajowej.*Książka, uzupełniona fotografiami
i szkicami, ukaże się już w nie-
długim czasie.*W przedpłacie można ją nabyć po
niskiej cenie, bo tylko za 14 szyn-
lingów lub za 2 dolary.

GRYF PUBLICATIONS LTD.

171, Battersea Church Road,
London, S.W. 11.

k którzy w normalnych warunkach prawdopodobnie nigdy nie chwyciliby za pióro. Pisanie nie idzie im łatwo; lecz może ta właśnie prostota, ten brak wielkich słów daje tym wspomnieniom duży stopień autentyzmu.

E. Marcinkiewicz pisze o początkach pułku w Rosji — „w domu niewoli“ — i w Iraku. Niektóre ustępy są bardzo sugestywne. Oto opis przejazdu z Persji do Iraku: „W pewnym zajeździe wdaliśmy się w rozmowę z gospodynią, Greczynką z pochodzenia. W momencie, kiedy któryś z nas objaśniał, że jedziemy bić się o Polskę przy boku Aliantów, aby wreszcie wrócić do naszych domów i rodzin, kobieta z powagą i namysłem zauważyła: — „Ach, to tak się mówi, ale kto raz wyszedł z Ojczyzny nie wraca już do niej“. Choć się uczułem w sercu jakieś bolesne ukłucie. Dziś wracam myślami do rozumowania tej prostej kobiety i wzdygam się na myśl, że tak złowieszczą proroctwa były jej słowa. To prawda: Tak zwykle dzieje się z emigracjami zarobkowymi. Emigracje polityczne niekiedy po wielu latach wracają do kraju, z którego wyszły.

Również sugestywny jest opis Iraku: „Brak zieleni i w ogóle czegoś, na czym możnaby wzrok zatrzymać, roztaczał jakiś rodzaj potężnej melancholii, która osiągała swą wierzchołkową w porze wieczornej, gdy żołnierz miał czas na myślenie i zastanawianie się. Niebo, o dziwnym ciemno-zielonym kolorze iskrzyło się gwiazdami i gwiazdeczkami w ilości nigdzie przez nas dotychczas nieoglądanej i wytwarzało nastroj jakiejś zdradzieckiej tajemniczości. Monotonne, zawodzące wycie szkali dokoła obozu jeszcze bardziej potęgowało ponurość tego, już i tak silnego wrażenia“.

Komitet redakcyjny miał szczęśliwą myśl podania na 20 stronach listów od żołnierzy pułku. Te korespondencje rozpoczyna serdeczny list od gen. dr R. Odzieżyńskiego, byłego dowódcy artylerii 2 Korpusu. Potem listy pełne przeżyć, rozczarowań i niekiedy żalów. Wierny obraz sytuacji na obczyźnie.

Dalej obszerny opis zjazdu pułkowego, który się odbył w Toronto w sierpniu 1964 roku, przy uczestnictwie przeszło 30 kolegów z rodzinami. Znowu wspomnienia, raczej fragmenty wspomnień pełne humoru, w których dawne wojenne emocje i głęboko odczuwane urazy nabierają złotej barwy pogodnego uśmiechu. Lista strat pułku i lista obecnych adresów żołnierzy pułku, obejmująca 79 nazwisk. Tylko 16 z Wielkiej Brytanii (choć na pewno musi ich być więcej), kilka z Włoch i Argentyny, ogromna większość z Kanady i Stanów Zjednoczonych. 70 nazwisk to przecież 10 procent bojowego stanu

pułku, a naturalnie należy odliczyć zmarłych i tych, którzy wrócili do Polski, bo ich nazwiska i obecne adresy zostały celowo opuszczone. Na zakończenie apel o materiały historyczne i pomoc przy wydaniu książki pamiątkowej pułku w roku 1969 na 25 rocznicę bitwy pod Piedimonte; oraz prośba o nawiązanie łączności przez tych kolegów, którzy pozostają jeszcze na uboczu (podaje adres: Grono Koleżeńskie 9 PAL/PAC, Box 132, STN. D. TORONTO 9, Ont., Canada).

Jak wygląda przekrój ideowy tego wydawnictwa? Nagromadziły się niewątpliwie cienie i rozczarowania, ale zasadnicza postawa jest ciągle ta sama, co była w Korpusie w upalnej pustyni, czy na malowniczym włoskim szlaku. Wiek dojrzały dorzucił swą rozważę i

doświadczenie, ale nie naruszył fundamentów. Wielu, zwłaszcza inwalidzi i starsi, znajdują się w bardzo ciężkim materialnym położeniu. Tu i ówdzie są wypowiedzi nasycone zniechęceniem i rozczarowaniem, kulminujące w lekceważeniu zbiorowej działalności, u tych zresztą przeważnie, którzy mieli tę samą postawę i 20 lat temu. Ogólny obraz wypada jednak w ciepłych raczej kolorach — wiary we własne siły, silnej więzi dawnych przeżyć i ciągle jeszcze bijącej nadziei, choć jakby w zawstydzeniu lub przez umiarkowanie, ograniczonej do rzeczy najbliższych, omal dotykalnych — książki pamiątkowej przyszłego zjazdu i pomocy inwalidom pułku.

Miły kwiatek z kanadyjskiej ziemi.
Zygmunt Stermiński

NAGRODA LITERACKA DLA GEN. MACZKA

Przed kilku miesiącami Towarzystwo Społeczno-Oświatowe im. gen. Sikorskiego w Glasgowie wystąpiło z inicjatywą ufundowania nagrody literackiej dla generała Maczka za jego książkę „Od podwoły do czołga“. Do inicjatywy T-wa dołączyły Koła SPK w Szkocji, przeprowadzono wspólną akcję i zebrano na ten cel £250. Jak na możliwości Polonii szkockiej była to suma dość poważna.

Przy tej okazji przypomnieć trzeba, iż Towarzystwo Społeczno-Oświatowe im. gen. Sikorskiego podobną akcję przeprowadziło już po raz trzeci, fundując dwukrotnie nagrody literackie, bez współdziałania innych organizacji; W roku 1960 nagroda literacka (£50.-) przyznana została Westfalowi, a w roku 1965 (£50.-) — M. Lisiewiczowi.

Wręczenie nagrody generałowi S. Maczkowi odbyło się w bardzo uroczystej formie, dnia 6 lutego br., w Domu SPK w Edynburgu. Publiczność szalenie wypełniła salę imprezową Domu SPK. Obecni byli generałowie Schally i Jatelnicki, ks. infułat dr L. Bombas, przedstawiciele organizacji społecznych oraz bardzo liczna delegacja z Glasgowa, oraz delegacje innych ośrodków polskich. Na podkreślenie zasługuje fakt, iż generał M. Kukiel nadesłał depeszę gratulacyjną. Podobną depeszę nadesłał również dr Br. Śliżyński, prezes Rady Stowarzyszeń Polskich w Edynburgu.

Zasadnicze przemówienie na tej uroczystości wygłosił prezes T-wa Społeczno-Oświatowego, Władysław Banasiewicz. Na wstępie podkreślił on, że nie ma zamiaru wdawać się w ocenę napisanej przez generała Maczka znanej powszechnie książki, gdyż zrobili to już inni, wybitni fachowcy, uznając ją za

ważny wkład do polskiej literatury wojskowej. Położył on natomiast nacisk na inne, uboczne czynniki, które przy fundowaniu nagrody były brane również pod uwagę; Pierwsza Dywizja Pancerna, z którą generał Maczek wyruszył w pole, była sformowana i wyszkolona w Szkocji, w Szkocji osiedlił się generał Maczek, w Szkocji napisał swoją książkę. A więc przyznanie nagrody generałowi Maczkowi zaspokajało w pewnym stopniu lokalny patriotyzm osiadłych w Szkocji Polaków. Gdy na zakończenie przemówienia prezes Banasiewicz zwrócił się do generała Maczka z prośbą o przyjęcie nagrody, na sali zerwała się burza oklasków.

Na podium stanął generał Maczek. Był wyraźnie wzruszony wyróżnieniem, jakie go spotkało jako pisarza. Wielokrotnie już dał się poznać jako doskonały mówca. Nie ograniczył się on do złożenia podziękowania za przyznane mu wyróżnienie, które bardzo wysoko sobie ceni, ale jednocześnie podzielił się ze słuchaczami techniką pracy nad swoją książką. Między innymi podkreślił, że o wiele łatwiej było mu pisać o wydarzeniach z okresu wojny z Ukraincami i bolszewikami, niż o udziale 1. Dywizji Pancernej w Drugiej Wojnie Światowej. Łatwiej mu było podchodzić do pewnych spraw z dalszej perspektywy czasu.

Inicjatorom ufundowania nagrody, a w pierwszym rzędzie T-wu Społeczno-Oświatowemu w Glasgowie, Kołom SPK w Szkocji należą się wyrazy uznania.

St. Bl.

WIELKI WYBÓR KSIĄŻEK
W KSIĘGARNI S. P. K.

ŻYCIE

KULTURALNE

POLSKIEGO

LONDYNU

ARCHEOLOGIA SŁOWIAŃSKA:

Tak się szczęśliwie złożyło, że na odczyt inauguracyjny dla Polskiego Millennium w Towarzystwie Historycznym, przypadek referat poświęcony sprawom najdawniejszym. Wybitny polski prehistoryk prof. T. Sulimirski złożył sprawozdanie ze swego udziału w I Międzynarodowym Kongresie Archeologii Słowiańskiej, urządzonym we wrześniu 1965 r. w Warszawie. Sam ten Kongres zresztą był zainaugurowany z myślą o uczczeniu Polskiego Millennium. Zgodnie z tym też, pomimo że obejmował on tematykę bardzo szeroką, zagadnienia związane z Tysiącleciem Polskiego Chrześcijaństwa wybijały się na czoło zainteresowań.

Mimo to, a może właśnie dlatego, ten ciekawy i bardzo udany Kongres nie znalazł bodaj żadnego rozgłosu w prasie, choć wzięło w nim udział około 100 uczestników, w tym połowa z zagranicy, przeważnie archeologów, specjalistów dla czasów po-Christusowych i wczesno-historycznych, historyków wczesnego średniowiecza, obok których byli też licznie reprezentowani przedstawiciele nauk współpracujących z archeologią, jak lingwiści, antropologowie, numizmatycy, etnografowie itp. do historyków sztuki włącznie. Wśród uczestników również niemal w połowie reprezentowane były kraje zachodnie obok krajów poza-kurtynowych, w ogólnej liczbie dwudziestu kilku krajów.

Głównym organizatorem Kongresu był prof. W. Hensel, który zainaugurował Kongres swoim referatem. Kongres odbył dwa zebrania plenarne, a między nimi pracował w 6 sekcjach. Na zakończenie uchwalono utworzyć Międzynarodową Unię Archeologii Słowiańskiej i wyznaczono następnym II-gi Międzynarodowy Kongres we Wschodnim Berlinie, w r. 1970. Sekcje obradowały w budynkach uniwersyteckich i w Pałacu Sztaszica. Poświęcone one były kolejno: 1. Etnogenezie Słowian, 2. Kulturze Wczesnosłowiańskiej, 3. Formowaniu się państw słowiańskich, 4. a) Kulturze miast i wsi słowiańskich i b) Rozwojowi wsi i początkom

miast słowiańskich, 5. Monecie w krajach słowiańskich w starożytności i średniowieczu i 6. Metodzie i historii badań nad starożytnościami słowiańskimi. Łącznie wygłoszono ok. 200 referatów i komunikatów.

Najbliżej związany z Millennium był referat dr T. Koziell-Poklewskiego z Muzeum Archeologicznego w Łodzi. Wskazywał on na zupełny brak danych historycznych i archeologicznych o chrystianizacji Polski przed Mieszkiem i o organizacji kościelnej Metodyjskiej w okresie Państwa Morawskiego. Zabytki w Wiślicy przemawiają raczej za ich późniejszym datowaniem. Cały materiał z Kongresu ma być udostępniony w drukowanej Księżce referatów. Oprócz wycieczek do Wilanowa i Płocka, urządzono w dawnym Arsenale na ul. Długiej wystawę pt. Kultura Słowian we wczesnym średniowieczu, która dawała obraz wysokiego stanu kultury krajów słowiańskich, przecząc twierdzeniom niemieckim, że dopiero kolonizacja w XIII wieku przyniosła do Polski wyższą kulturę. Wśród innych działań uwzględnione było szerzenie się chrześcijaństwa i organizacji kościelnej. Po kongresie, oprócz wycieczki po zabytkach południowej Polski, odbyły się dwa sympozja naukowe: polsko-słowackie w Zakopanem poświęcone osadnictwu Karpat i polskorozyjskie w Białymstoku, poświęcone kontaktom bałto-słowiańskim we wczesnym średniowieczu. Nadto prof. Sulimirski wspominał o swych wykładach na Uniwersytecie w Poznaniu

W swych wnioskach końcowych prelegent wskazał, że wszelkie badania podejmowane pod hasłem uczczenia Millennium, przemianowanego oficjalnie w Polsce na „10-letni okres Millennium“, wykazują, że Państwo Polskie powstało na jakie dwa wieki, a może i więcej przed Mieszkiem I. Trudno zatem wiązać Millennium Polskie z powstaniem państwa. Choć jest prawdopodobieństwo, że chrześcijaństwo obrządku słowiańskiego, Metodyjskie, przyszło do Polski przed Mieszkiem I, nie obejmowało ono ani narodu, ani wszystkich organizmów państwowych, jakie wówczas zapewne istniały na ziemiach polskich. Dopiero za Mieszka I Polska weszła w obrob ówczesnej cywilizacji chrześcijańskiej, zachodnio-europejskiej, z którą odtąd na trwałe została związana. I to jest nasze Millennium.

Jak żywe to są zagadnienia, wykażała dyskusja nad referatem, podczas której zadawano pytania prelegentowi. Brali w niej udział m. in. prof. J. Pilatowa, gen. M. Kukiel, prof. J. Ja-

snowski, mgr. Z. K. Jagodziński, mgr. O. Romanowska, przyczyniając się do rozwinięcia niektórych zagadnień. Ze swych wędrowek po Polsce prof. T. Sulimirski przywiózł ze sobą kolekcję pięknych medali pamiątkowych, m. in. Polskiego Towarzystwa Archeologicznego, wybitego na 80-lecie prof. J. Kostrzewskiego, prehistoryka, z 1964 r., miasta Wrocławia — na otwarciu w r. 1963 Muzeum Archeologicznego, medal na 600-lecie Uniwersytetu Jagiellońskiego z 1965 r., na 650-lecie miasta Lidzbarku z wizerunkami wielkich uczonych, jak Kremer itp., z 1958 r. na 150-lecie urodzin Słowackiego wydane przez Ossolineum w 1959 r. i na 15-lecie powrotu Wrocławia do Macierzy, w 1000-lecie jego istnienia.

PIERWSZE OBCHODY:

W kilka dni po tym zebraniu Towarzystwa Historycznego rozpoczęła się seria obchodów milenijnych lokalnych, jak londyńskiej Parafii polskiej św. Andrzeja Boboli w Hammersmith Town Hall, z udziałem Chóru Parafialnego i szkół przedmiotów ojczystych im. S. Żeromskiego, H. Sienkiewicza i M. Reja. Po zagajeniu wygłoszonym przez ks. prał. K. Sołowia ze sceny, przystrojonej Orłem Białym i flagami o barwach narodowych rozpoczęła się część artystyczna od występu mieszanego chóru parafialnego pod dyr. p. A. Skrzypka. Potem popisali się uczniowie i uczennice wspomnianych szkół. Do przygotowania obfitego programu przyczyniły się pp. mgr. W. Calowa i J. Żerdzińska z kierownictwa szkoły im. Żeromskiego, prof. Z. Gedl i mgr. Z. Wałasewski z kierownictwa szkoły im. Sienkiewicza i pp. mgr. J. Kosicka kierowniczka szkoły im. Reja wraz z p. B. Skąpską, która wyreżyserowała Szopkę Polską, wespół z pp. S. Wolańską i Ł. Slepokura. Nad częścią muzyczną czuwał p. Z. Moyseowicz. Dekoracje wykonał p. T. Urbanowicz, akompaniował p. B. Czaplicki.

Do przygotowania tak okazałego obchodu przyczyniło się szereg organizacji i firm handlowych, m. in. harcersstwo oraz specjalny Komitet z p. T. Putzem na czele.

Pod protektorem Komitetu Tysiąclecia urządzony był również tradycyjny koncert Kolęd Chóru Akademickiego im. K. Szymanowskiego pod dyr. H. Hosowicza i przy akompaniamencie B. Czaplickiego. Wieczór zagał ppłk. pilot W. Bienkowski, przemawiając ze sceny w St. Pancras Hall. Jako solista wystąpił p. E. Biński, tenor znany z licznych występów na polskich estra-

dach koncertowych, obok solistów innych chórów, jak Chóru Parafialnego Devonia oraz członkowie zespołów 23 Drużyny Harcerskiej, Zespołu Młodzieży K.S.M.P. z Devonia, Clapham Common i zespołu „Mazury“ Polskiej YMCA, (jako kolednicy i gwiazdorzy).

WIEDZA O POLSCE:

Nie tylko w postaci otchodów, ale również na specjalnie przygotowanych kursach szerzona jest wiedza o Polsce, jej tysiącleciu i jej stanie obecnym. Inauguracje tych kursów przybierają samorządnie charakter obchodów znajdujących szerokie echo w społeczeństwie polskim.

W taki uroczysty sposób rozpoczęta została seria Wykładów Millenniumnych na Devonia, wykładem mgr. M. Goławskiego. Przy tej sposobności prof. P. Schulz zorganizował wystawę pod hasłem „Documenta Poloniae Christianae“. Wystąpił również chór pod dyr. H. Hosowicza.

Szczególnie uroczysty charakter miała inauguracja Kursu Wiedzy o Polsce Współczesnej, zorganizowana przez Instytut Badania Zagadnień Społecznych pod kierownictwem p. St. J. Paprockiego, sekretarza generalnego Instytutu. Salę w tzw. Domu Techników, gdzie mieści się siedziba Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego, wypełniła publiczność reprezentująca cały przekrój społeczeństwa polskiego. Zagajając przez Instytutu dr W. Czerwiński dał wyraz wdzięczności dla instytucji polskich, które umożliwiły zorganizowanie kursu, podnosząc jego znaczenie, jako puklerza przeciw wynarodowieniu i skuteczną broń w walce o prawa Polski.

Na ten inauguracyjny wieczór złożyły się dwa wykłady. Pierwszy wygłosił prof. T. Komarnicki, który mówił na temat Polski niepodległej lat 1918 do 1945, przedstawiając dzieje pierwszych lat po r. 1918, umieszczone na szerokim tle historycznym. Dalsze rozwinięcie tego tematu nastąpiło na drugim wykładzie, poświęconym temuż okresowi. Drugi wykład miała prof. Z. Hołub-Pacewiczowa, która dała niezwykle barwny obraz geografii Polski w jej granicach historycznych: od Odry i Nysy po dorzecza Niemna, Prypeci i Dniestru. Uwzględniła przy tym podział administracyjny, rozmieszczenie ludności, krajobraz i warunki dla rolnictwa oraz bogactw naturalnych. Wykłady te wzbudziły żywe zainteresowanie, czemu towarzyszy wzrastająca frekwencja na kursie, który posiada też licznych uczestników pozamiejscowych, korespondencyjnych.

Bezpośrednio z Tysiącleciem wiązał się wieczór urządzony przez P.K.S.U.

Veritas w Instytucie Polskim na temat „Katolicyzm polski u progu Drugiego Millennium“. Przewodniczył mu p. A. Pośpieszański, a jako dyskutanci wzięli udział pp. H. Żeleńska, M. Chmielowiec i J. Tokarski. Na wieczorze obecny był ks. bp. Wł. Rubin. Jak na wszystkich podobnych zebraniach organizowanych przez stowarzyszenie katolickie, tak i na tym, sala nie mogła pomieścić napływu publiczności, co świadczy o znacznym ożywieniu się zainteresowań zagadnieniami religijnymi.

Zainteresowania te znajdują zapewne odbicie w uczestnictwie w polskiej pielgrzymce Tysiąclecia do Rzymu, której program obejmujący dnię od 12 do 16 maja br. został już ogłoszony wraz z odezwą ks. bpa Rubina, Delegata Prymasa Polski dla duszpasterstwa Emigracji, podnoszącą znaczenie Świętego Roku Obchodów Tysiąclecia.

ZGON J. KROPIWNICKIEGO:

W na ogół raczej skromnym naszym ruchu muzycznym mieliśmy wartości, które w pełni jesteśmy ocenić dopiero wówczas, gdyśmy ich zostali pozbawieni. Do niedawna nie mogliśmy sobie wyobrazić, że zabraknie wśród nas Jerzego Kropiwnickiego (1908-1966) pomimo, że od pewnego czasu jego przewlekająca się choroba zaczęła nas przyzywać do katastrofy, która wreszcie nastąpiła. Ubył nam artysta o nieprzeciętnych wartościach, o którym bez reszty można powiedzieć, że oddał swe życie na usługi polskiej sztuki emigracyjnej. Nie sposób tu wymienić w tysiące idących występów jego przez radio, w teatrze lub na estradach koncertowych w Londynie i poza Londynem. W ramach ludzkich możliwości organizatorzy wszelkich imprez o charakterze muzycznym mogli zawsze liczyć na jego wydatną pomoc.

Ale zupełnie fałszywe zostałyby po nim pojęcia, gdyby się uznało, że jego talent pianistyczny, jego wiedza muzyczna, jego dar pedagogiczny i jego możliwości kompozytorskie ograniczają się jedynie do okolicznościowych, rzemieślniczo doskonałych występów w roli zagajającego część artystyczną wieczoru lub tylko akompaniatora, akompaniatora, jakiego długo nie będziemy mieli równego.

O jego możliwościach artystycznych, jako pianisty-wirtuoza była sposobność przekonać się w całej pełni w rzadkich momentach jego odprężenia się od systematycznej pracy codziennej, m. in. ... w Rzymie, na szlaku 2. Korpusu, z którym był blisko związany na kierowniczym stanowisku i z którym przebył całą wędrowkę z Rosji do Anglii. Było to już po ustaniu działań wojennych, gdy w gronie kolegów

z Referatu Kulturalnego, rezydentów Pensjonatu „Denizen“, przy bramie do Villa Borghese, w saloniku improwizował wieczór muzyczny.

Kropiwnicki nawiazywał właśnie do muzyki nowoczesnej i zdobywszy transkrypcję na fortepian zagrał George Gerschwina „Rhapsody in Blue“. Grał tak, jak jej już nigdy nie dało się słyszeć równie znakomicie. Wielokrotnie można go było potem słyszeć na koncertach, grającego klasyków, rzecz jasna z Chopinem na czele, ale szczerze każę przyznać, że największe odczucie miał dla muzyki nowoczesnej: Debussy'ego, Ravela czy Gerschwina. Setki i tysiące innych miłośników muzyki mogą zaświadczyć o jego talencie pianistycznym, którego kultywowanie do celów wyłącznie koncertowych raczej zarzucał, poświęcając się w całości pedagogice, kierownictwu muzycznemu, akompaniamentowi i okolicznościowym kompozycjom. Niewątpliwie z całą świadomością poświęcił osobistą karierę na rzecz pełnego oddania społecznej pracy artystycznej. Toteż mało jest odznaczeń, które by potrafiły oddać sprawiedliwość jego zasłudze.

Wyrazem uznania jego kolegów była opieka, jaką roztoczono nad nim w ostatnich jego chwilach i znaczenie jakie nadano jego pogrzebowi. Wśród licznych przedstawicieli kół artystycznych i społecznych na Mszy żałobnej obecny był gen. W. Anders, a towarzyszące Mszy św. pienia wykonali S. Horwat, S. Pieczora, na skrzypcach grał W. Niemczyk, a na organach — B. Czaplicki. Pochowany został tuż obok grobu W. Wojteckiego. Nad mogiłą przemawiali: prezes ZASP, dr L. Kielanowski i M. Hemar, który potem poświęcił mu wiersz „Largo na śmierć muzyka“. Z ramienia ZASP i RWE pogrzebem zajął się dr Kielanowski i W. Sikorski. Wśród licznych wieńców były i kwiaty od przyjaciół z Kontynentu. Do Zarządu ZASP napłynęły liczne listy kondolencyjne z W. Brytanii i zagranicy.

Z tą wielką stratą życie muzyczne musi iść naprzód. W jego ramach odbył się doroczny koncert świetnego pianisty polskiego, Henryka Mierowskiego, w sali Wigmore Hall. Przez swój długi pobyt w Anglii zyskał on sobie duże uznanie w kołach angielskich miłośników muzyki, o czym świadczy ich liczna frekwencja na jego występach. Dał resztą koncert o szczególnych zupełnie walorach. Program obejmował tylko trzy — ale potężne — pozycje: Chromatyczna fantazja z Fugą Bacha, Sonata Liszta i 24 preludium Chopina. Razem bardzo pokrzepiająca biesiada muzyczna, tym cenniejsza, że pianista-wirtuoz był szczególnie dobrze usposobiony. Niena-

syćona publiczność wyraziła swój zachwyt żądaniem dalszych naddatków. Na bis Mierowski zagrał m. in. Mazurkę Szopena i jego etiudę „Rewolucyjną“.

Z TEATRU:

Po wygraniu „Tanga“ S. Mrożka, przyszła kolej na wieczory o charakterze rewiowym i w niedalekiej przyszłości spodziewać się należy nowego festiwalu teatralnego, tym razem międzynarodowego, z udziałem teatru krajowego. Przewidziane jest wystawienie w ramach Światowego Sezonu Teatralnego w Londynie, w Aldwych Theatre, urządzonego przez Królewski Teatr Szekspirowski, S. Wyspiańskiego, „Zbrodni i Kary“ Dostojewskiego i „Kolumbowie rocznik 20“ R. Bratnego. Będzie to w 6 i 7 tygodniu festiwalu od 25 kwietnia do 7 maja br.

Tymczasem w świecie teatralnym święcono uroczystość rodzinną, mianowicie 50-lecie pożycia małżeńskiego „najmłodszego“ z aktorów — Ludwika Lawińskiego, jednego z najpopularniejszych aktorów sceny rewiowej przed wojną i sceny emigracyjnej podczas i po wojnie oraz jego dzielnej małżonki, Anieli, więzionej na Pawiaku i rannej w powstaniu Warszawskim. Państwo Lawińscy mają dwóch synów Tadeusza i Mariana. Wnuk liczy sobie już 16 lat. Przykład polskiej niepożytości. Przyłączamy i nasze życzenia, choć nieco spóźnione, nie z naszej winy, conajmniej następnego jubileuszu, brylantowego.

BOGDAŃSKA I MALICZ:

Pod nieco frywolnym tytułem „Ona jedna i pół“ Renata Bogdańska z Maliczem urządziła serię wieczorów pt. „Cocktail piosenek, humoru i parodii“. W sukurs przyszła im para wytrawnych akompaniatorów: Maria Drue, o niezłomnym rytmie i fortissimo oraz Bernard Czaplicki, który zdaje się tylko muskać klawisze, posługując się równie dobrze pianinem, jak i filharmonią.

Repertuar wsparty został o teksty i melodie najlepszych piosenkarzy polskich: M. Hemara, J. Tuwima, F. Ref-Rena, W. Budzyńskiego i — last but not least — E. Chudzyńskiego, mającego już za sobą znaczny dorobek. Spórą dozę własnego humoru i parodii dodał od siebie Malicz, niedoceniony jako autor-humorysta. Z tego koktajlu wyszedł wieczór, ni to rewiowy, ni to kabaretowy, a jednak tak zgrany, tak dobrze wyważony i powiązany, że wprost prosi się o ujawnienie reżysera, któremu można by przypisać zasługę za stworzenie tej całości. Była nim niezawodnie sama Renata Bog-

dańska, która wystąpiła nie tylko jako gospodyni wieczoru, ale również jako jego główna inspiratorka.

W tym wieczorze bowiem, bardziej niż w jakimkolwiek innym jej występie przejawiała się jej pełna indywidualność artystyczna, szeroka skala ekspresji: od ludowego humoru, przez romantyczny liryzm do tragicznego rozdarcia, jej absolutna muzykalność i ze szczególnym zrozumieniem własnych możliwości głosowych, których optimum dźwiękowe osiąga poprzez medium mikrofonu i jej wypracowana subtelność interpretacyjna, dzieło dojrzałego talentu. W ten sposób młoda rewiowa pieśniarka o pocągającej powierzchowności, rozwinęła się w poważną artystkę o wyraźnie zarysowanym profilu scenicznym, umiejącą nie tylko wykorzystywać piękne warunki zewnętrzne przystrojone w powabną oprawę tuiet, klejnotów i światła, ale również wydobyć głębię uczucia, podkreślona powściągliwymi ruchami rąk i doskonale wymodelowanymi pozami całej postaci. Samorodne talenty połączone z wypracowaniem rzemiosła scenicznego pozwoliły artystce wyjść z opłotków rodzimej sceny na szerokie fale radia brytyjskiego lub monachijskiego, na estrady Paryża lub Nowego Jorku.

I choć naprawdę uczyniłoby się wielką krzywdę samorodnym talentom Mieczysława Malicza, gdyby jego umiejętności komika, tancerza i wodewiliisty sprowadzało się tylko do roli wypełniania luk między występami partnerki, to jednak trzeba przyznać, że partnerka ta ogniskowała na sobie główną uwagę widzów, których umiała swymi zaletami jakby zahypnotyzować i urzec na dobre dwie godziny czasu, które upływają jak krótka chwila. W tej aurze już mało ważne jest, czy śpiewała „Dzwony“ i „Śniegi“, a potem „Malaguenną“ lub „Romantica“. W większości były to pieśni nowe lub w nowym ujęciu, swe dawne szlagiery pieśniarka dawała już tylko na bis. W tej aurze nieodparty humor Malicza zdawał się jednym więcej uśmiechem z tej samej sceny i urzeczeniem, jakim „Ona jedna“ przesłaniała „Połowę“ swego partnera, który z ofiarnym oddaniem podjął się roli sekundanta.

Wszystkim, którzy przyczynili się do pokazania tego pięknie rozwiniętego bukietu talentów, należą się słowa uznania. A więc również kierownikowi sceny p. Janowi Smosarskiemu, jak również organizatorowi widowni p. Beno Kollerowi. Nie też dziwnego, że dzięki tym zespolonym wysiłkom ta rewiacja ma zadziwiające powodzenie i idzie przy kompletach wypełniających salę i serca widzów łaknących pięknych wrażeń.

J. O.

STEFAN LEGEŻYŃSKI

A JEDWAB CICHO SZEPTAŁ...

Tom poezji Eugeniusza Romiszewskiego

Nie mając właściwie młodych poetów, emigracja potrafiła zatrzymać dotychczasowych, którzy swymi tomi poetyckimi, utrwalają swój dorobek. Można by powiedzieć, że krystalizują się w zamknięte, a piękne formy, tak jak z roztworu tworzy się kryształ.

W ten sposób ustala się hierarchia, krytyka jak i czytelnicy zaczynają się orientować, kto jest poetą prawdziwym, a kto szalbierzem, komu należy się miejsce w literaturze ojczystej, a może i światowej, a kto wywindował się sztucznie, kto jest królem, a kto błaznem.

Eugeniusz Romiszewski, którego tom poezji pt. „Jedwabne spadochrony“ mam przed oczyma, to poeta najwyższej klasy, który doczekał się zwarcia swych wierszy pod jedną okładką, po blisko ćwierćwieczu od ich napisania i opublikowania w czasopiśmie, głównie w „Polsce Walczącej“, redagowanej przez Tymona Terleckiego w latach wojny.

Znamy wiele wierszy, które pobudziła do życia wojna, nie znam żadnego, innego poety polskiego, który by napisał wiersze spadochronowe. To pierwszeństwo „pierwszego dnia“ poezji spadochronowej, należy wyłącznie do Romiszewskiego. Ten zaszczyt prekursorstwa na tym polu nie przyszedł Romiszewskiemu łatwo. Oto jego droga do niej: rok 1940 — 4 Dywizja Piechoty we Francji, etap dalszy: I Samodzielna Brygada Spadochronowa. Rok 1941 — Ringway Kolchidy, 1944 — Arnheim.

Skoczek spadochronowy, korespondent wojenny, uczestnik bitwy pod Arnheim.

Ciekawe są losy tomu „Jedwabne spadochrony“. Wiersze czekały na dobrych kolegów poety: Związek Polskich Spadochroniarzy w Londynie, którzy je wydali, jako dodatek literacki do pisma „Spadochron“ z 20 grudnia 1965 roku. Należy im się za to gorąca podzięką.

W „Słowie przed startem“, którym wprowadza nas Autor w historię powstania niektórych wierszy tomu, znajdujemy charakterystykę jednego z lotników... cudowny człowiek, roztaczał atmosferę wszechogarniającej pogody i przyjaźni. Znam Romiszewskiego z okresu redagowania przez niego „Polski Walczącej“ (po wojnie, i po Terle-

ckim) i te słowa mógłbym w pełni pod-
pisać pod jego portretem.

Mówią niektórzy, że człowiek, a to
co on pisze, to dwie rzeczy różne. Po-
zwalam sobie być przeciwnego zdania.
Szlachetność osobista Eugeniusza Ro-
miszewskiego, jego delikatność, subtel-
ność ujawnia się w jego wierszach, w
jego znakomitych wierszach pod wzglę-
dem formalnym jak i treści.

Świeżość tematu: skoki spadochro-
nowe, wojna z powietrza, zgodna jest
ze świeżością i oryginalnością obrazów
jak np.:

Sygnał. Głos: „Action station“!

...I już coraz to mniejszy,
Roztopiłeś się w dole jak cukier.
(z wiersza „Chłopcy z nieba“)

...ziemię zmienić w piłkę

—Kopnąć w nieba róg.

(z wiersza „Skaczymy“)

...w ciszy przeogromnej

Zastygasz, jak w bursztynie.

(z wiersza „W ułamku chwili“)

...zręcznych palców

Na ich serdeczne ciepło

...A jedwab cicho szepta.

(z wiersza, W składaniu spadochronów)

Swe wiersze podzielił Romiszewski
na dwa cykle: „Migawki spadochro-
nowe“, poświęcone S. Sosabowskiemu i
J. Gębolskiemu oraz wszystkim tym,
którzy nosili i berety spadochroniarskie,
(gdzie m. in. znajdujemy wiersz po-
święcony pamięci poety Stefana Bor-
sukiewicza, autora tomu wierszy pt.:
„Kontrasty“, który zginął w czasie
skoku, nie otworzył mu się spado-
chron) i część 2-gą „Najdłuższą dro-
gą“.

Znakomite wiersze otrzymały urze-
kającą oprawę: rysunki S. Kowal-
czewskiego, które przenoszą nas w na-
strój tych minionych, a wspaniałych
dni.

Eugeniusz Romiszewski znalazł się
w „Literaturze polskiej na obczyźnie
1940-1960“ w dziale „Twórczość poety-
cka“ pióra M. Giergielewicza, jednym
swym wierszem „W składalni spado-
chronów, otrzymał również ocenę:
„wyróżniający się własną egzotyką“.
Giergielewicz boleje, że Romiszewski
nie wydał tomu wierszy.

Wydali mu go przyjaciele, koledzy,
co świadczy o ich aktualności, o ich
sile, którą zachowały, mimo upływu
czasu.

Dr Włodzimierz Stojków napisał „Od
redakcji“, podkreślając znaczenie wier-
szy tomu, jak i próbę redakcji „Spado-
chronu“ utrwalenia dla braci spado-
chronowej, rozrzuconej po świecie,
wspomnień młodości.

Stefan Legeżyński

JEDNOŚĆ ETYKI

(Dokończenie ze strony 1-ej)

Na tym polega uniwersalizm, któ-
ry w Europie wyrósł na podłożu
cywilizacji chrześcijańskiej. Nie
można go utożsamiać z wspólnotą
wyznaniową; trudno go nawet
warunkować spełnianiem czy nie-
spełnianiem aksjomatów religij-
nych. Lecz nie sposób nie wiązać
go z tą etyką, którą religia chře-
cijańska stworzyła.

Ta jedność etyczna zaczyna
dziś wreszcie górować w Europie
nad egoizmem państwowym czy
narodowym. Zatoczywszy pełne
koło, wracamy do średniowieczne-
go pojęcia uniwersalizmu, którego
fundamentem było przekonanie, że
ludzie są sobie bliźni.

Jako impuls, przekonanie to jest
silniejsze niż prawdziwa czy rze-
koma wspólnota interesów gospo-
darczych, wspólne zdobycze wie-
dzy i techniki, a nawet wspólna
obawa przed zagrożeniem. Rzecz
ciekawa i jak sądzimy pociesza-
jąca: coraz powszechniejsze zro-
zumenie prawdy, że Europa ka-
dłubowa zwana zachodnią nie jest
i nie będzie nigdy „Europą“ jeśli

odpisze na wieczne straty kraje
ujarzmione przez antyeuropejski
i antycywilizacyjny system sowiec-
kiego komunizmu, nie rodzi się
wśród trzeźwych polityków i eko-
nomistów. Rodzi się wśród ludzi
przywiązujących wagę do wspól-
noty wyższego rzędu niż utylitar-
na. Jeśli nie popełniamy błędu
sądząc, że ten właśnie sposób myś-
lenia najwięcej ma zwolenników
wśród młodzieży — możemy po-
godniej nieco spojrzeć w przys-
łość w epoce, która rzekomo żyje
albo w cieniu wiecznego zagroże-
nia ostateczną zagładą albo też w
trzęsawisku wiecznego dojutro-
kowania.

Józef Garliński „ZIEMIA“

Już jest w sprzedaży nowa książka
popularnego autora, który dał się
poznać społeczności emigracyjnej
dwoma tomami wspomnień z okresu
ostatniej wojny, Armii Krajowej i
niemieckich więzień i obozów („Dra-
mat i Opatrzność“ i „Matki i żony“).

Cena 12/6

GRYF PUBLICATIONS LTD.
171, Battersea Church Road,
London, S.W. 11

i we wszystkich kioskach i księgarni-
ach polskich

KRZYŻÓWKA Nr 581/66

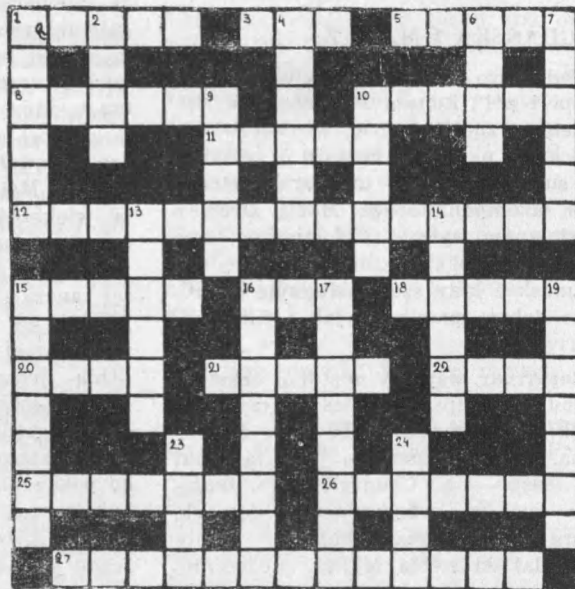
ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) i 5) Moj-
szesz lub Solon; 3) i 16)
westchnij i chwytaj — nim
się nie pożywisz?; 8) sko-
rupa; 10) narzędzie pro-
pagandy (wspak); 11) roz-
mach; 12) pisarz drama-
tyczny polski (5, 10); 15)
i 18) córka Jowisza, która
szczęście małżeńskie zna-
lazła dopiero na tamtym
świecie; 20) takie konie
lub oczy; 21) przywilej
dzieci?; 22) ptak Ateny;
25) imię męskie; 26) nor-
malnie czarna?; 27) gdy
wchodzą należy głęboko
schylić się w ukłonie (6,
7).

Pionowe: 1) w nim się w
piosenkę przegląda dziew-
czyna; 2) zaczarowany na
scenie; 4) w bajce się pod
nią krył; 6) symbol wła-
dzy; 7) szybki i sprytny;
9) król, który skończył w
partii?; 10) rzeźba Michała Anioła u św.
Piotra (wspak); 13) ryba (wspak); 14)
rodzaj podręcznika; 15) zawód Eumajosa;
16) przychylnie; 17) pisał sonety do Lau-
ry; 19) rozbiór; 23) żołnierz; 24) nikogo
nie oszczędza!

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 580/66

Poziome: 1) pedel, 3) era, 5) kółko 8)



kpiarz, 10) placek, 11) głowa, 12) Konrad
Wallenrod, 15 i 18) sądny dzień, 16) zez,
20) buki, 21) Capri, 22) nogi, 25) Lepidus,
26) bucefał, 27) pieczolowicie. •

Pionowe: 1) piknik, 2) i 6) działacz, 4)
rogoża, 7) oskard, 9) zgoda, 10) papla,
13) Renoir, 14) nizina, 15) Sybilla, 16)
zjawisko, 17) zgrzebło, 19) płomień
(wspak), 24) oclli.

O WACUSIU

W „Przekroju“ jest taka urocza rubryczka, zatytułowana „O Wacusiu“, czytamy ją pilnie i zachwycają się najwocychytrymi dowcipami nieznanego Wacusia. A oto niedawno spotkałem tego Wacusia nos w nos. Naturalnie nie tego z „Przekroju“, ale tego z emigracji. Nazywał się też Wacus i zachowywał się tak właśnie, jak Wacus powinien się zachowywać.

Wacusia znałem sprzed wielu lat. W roku 1939 spotkałem go, jako świeżo upieczonego podporucznika ułanów. Było to już po kampanii wrześniowej i Wacus zastanawiał się czy wiać przez Węgry, czy przez Rumunię?

Przed tygodniem spotkałem go powtórnie.

— Tajoj, ta kopę lat — zawołał nie a nie nieodmieniony przez ową kopę.

Byliśmy w towarzystwie mieszanym i dość dużym; Wacus królował niepodzielnie gadając, jak najęty.

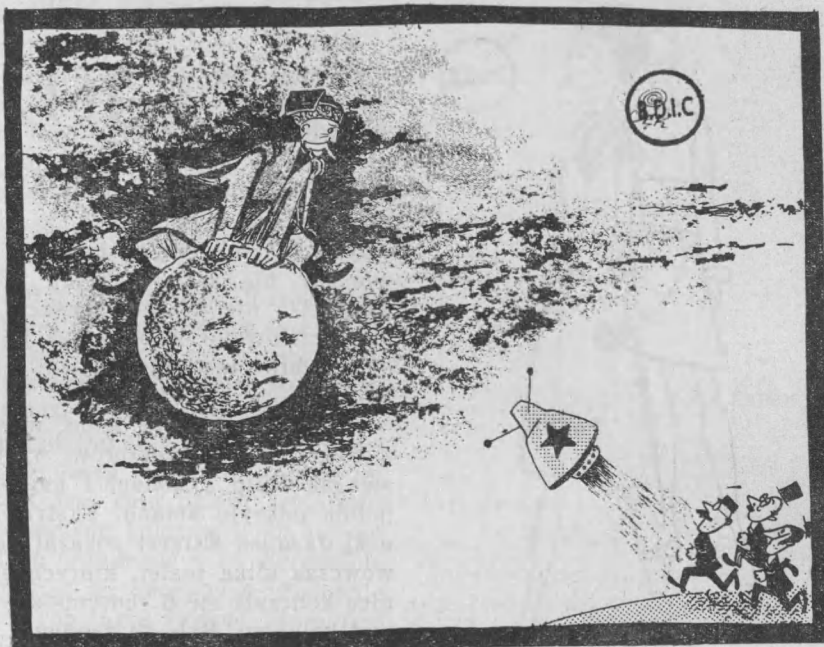
Najpierw narzekał na użytek przyjezdnej z Polski panny. Narzekał na klimat, na ludzi, na autobusy, na milczenie, na gadatliwość, na policjantów, na wrony — na wszystko, co angielskie z Jałtą i Poczdamem na czele.

— Wie pan — przerwała dyskretnie panna z kraju — mnie się zdaje, że wiem już dlaczego Anglicy nie lubią cudzoziemców.

Wacus, który sam nie jest cudzoziemcem, bo raz że posiada paszport brytyjski, po drugie jest ojcem dwóch „British born“ dzieci, przytaknął skwapliwie i narzekał na angielską „forejnorofobie“.

— Był pan w Polsce na urlopie — przerwała gospodyni — niech panowie coś o swych wrażeniach.

— Jakie tam wrażenia — machnął ręką Wacus — ta człowiek się z nimi nie może porozumieć. Ludzie stali się tacy gadatliwi. Przy stole jeden mówi przez drugiego. Ta jakie można mieć wrażenia. Próbowałem się porozumieć. Przychodzę do mieszkania kolegi i kładę zegarek na stole. Ty mówisz dwie godziny, powiadam, a ja słucham. Potem ja mówię godzinę, a ty słuchasz. Ale, gdzie tam. Właśnie zjawia się ciocia Genowefa i woła: Jak się masz Mieciu, poznałam cię w Ciechocinku. Nie Mieciu, ale Wacusiu, przerywam, i nie w Ciechocinku, ale w Zimnej Wodzie. Ale ona nie słucha i tata i tata i tata. Nie można się z nimi porozumieć.



*Cóż się Sowiecom ścigać z Amerykanami?
Twardowski na księżycu był przed Moskalami...*

I Wacus dalej swoje tata niczym ciocia Genowefa. Aż nagle spojrzał na mnie skosem i uderzył się ręką w czoło.

— Ale Polska — zawołał — taka sama, jak była. Słuchaj, znasz świder?

— Znam, bo co?

— Bo jadę do Świdra, a tam lasy! Lasy sosnowe. Rozumiesz? Wystarczy dziesięć metrów od szosy zjechać, a już pachnie żywicą. Słońce, uważasz, rozgrzewa i pachnie. Piasek jasny, igłami zarzucony i zapach.

Wacus westchnął z prawdziwym wzruszeniem.

— Położyłem się na tym piasku. Słońce przygrzało, żywica i igliwie... I zdrzemnąłem się na tym ciepłym powietrzu. Budzę się i wołam: Popręgi (popuszczone? Żona aż skoczyła ze strachu. Popręgi popuszczone?

Ogarnęło mnie wzruszenie podobne do tego samego, które zmorzyło Wacusia w podświdrzańskim lesie.

— Popręgi popuszczone — Ale nikt z obecnych nie zrozumiał. Nikt.

Nikt się nie uśmiechnął.

Za chwilę do stołu podbiegł synek Wacusia i zapytał głośnym szeptem:

— Dady, may I watch TV?

— They have no TV, son — odpowiedział Wacus lwowskim akcentem.

— That's my luck — machnął rączką mały Wacus i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Śmiejli się długo i serdecznie jakby im nagle ulżyło.

Czesław Dobek

W POCHYLONEJ PERSPEKTYWIE

Księżyc jest twardy. Stąd nazwisko pierwszego odkrywcy, Twardowski. Pocisk sowiecki wyrzynał w księżyc i nie wzniecił kurzu. Przyrównanie księżyc do kawałka miękkiego sera zostało zdemaskowane jako wymysł kapitalistyczny.

De Gaulle i Sojusz Atlantycki. Francja obejdzie się bez pomocy amerykańskiej. W razie powtórzenia sytuacji z roku 1917-18 i 1941-45 Francja rozpatrzy ponownie prośbę Amerykanów o udzielenie jej pomocy.

Ghana. Czarne to nie białe, lecz też nie czerwone.

Anglia. Prostujemy błąd z poprzedniego numeru. Place wzrosły o 9% a nie o 7%, produkcja nie 3% lecz 1%. Błąd nie nasz lecz Jerzego Browna. Należy mieć nadzieję, że Wilson wybrany na nowo poda nam zupełnie pewne cyfry po 5 latach...

Stany Zjednoczone zostały podbite przez Wietnam przy ogólnym entuzjazmie zainteresowanych.

Warszawa i rządy Gomulki. „Głusi widzą, ślepi słyszą, chromi widzą“, a Cyraniewicz jest premierem.

Polski Londyn. Układa tabelę zajęć, które by pozwoliły piętnastu ludziom należeć owocnie do dwudziestu zarządów.

Angielski Londyn. Cieszy się z Krokusów.

JAK co roku pod koniec stycznia rozpoczął się w Paryżu sezon wielkich rewii mody wiosennej i zimowej. Gdy na dworze wiał mroźny wiatr w salonach „grands couturiers“ modelki paradowały w leciutkich toaletach plażowych, w powiewnych sukienkach, w tiulach i prawie nic nie zakrywających koronkach. Ale nie to było sensacją, jakiej oczekiwano. A ponieważ jej tak oczekiwano, nie zupełnie się doczekano.

Już sześć miesięcy temu, w rewii zimowej, kilku kreatorów wyrwało się jak Filip z konopi i nagle zupełnie odkryło kolano. Ekstrawagantki Jacques Esterel pokazał nawet wówczas kilka toalet, których spódnice kończyły się 6 centymetrów ponad kolanem. Było to zabawne i on sam się tym bawił, ale nikt nie wierzył, by ta moda „chwyciła“, bo wszystkie poważne domy, choć trochę — skróciły, jednak pokazały albo tylko pół kolana, albo najwyżej całe, ale ledwie, ledwie. Okazało się, że ta kusa moda zaczęła jednak „chwycić“. Brigitte Bardot, przed swoim pierwszym wyjazdem do Ameryki bezlitośnie chwyciła za nożyczki i poobcinała wszystkie swoje toalety — no ale ona ma właśnie to do pokazywania, od kolan w górę i od szyi w dół, tymczasem wiadomo, że trzy czwarte płci, niesłusznie nazywanej słabszą, ma kolana brzydkie, więc stateczne redaktorki mody przeszły nad tym do porządku i w dalszym ciągu twierdziły, że kolano pokazuje się tylko w pozycji siedzącej, bo wtedy ładnie zaokrąglają się i nabierają estetycznej linii. Jednak za BB. poszły inne aktoreczki i aktorki oraz wszystkie podlotki z Saint Germain-des-Près.

W obecnych rewiach Jacques Esterel i pokrewni mu kreatorzy skrócili do połowy uda i już nie wiadomo, czy taka toaleta przedstawia kusą spódnice, czy też długą tunikę. Natomiast domy „poważne“ z uporem trwają przy teorii, że kolano pokazywać nie należy. Dior, Balmain, Patou podobne im odkrywają je dyskretnie, (do 2 cm powyżej) a wyraźnie tylko w modelach dla bardzo młodych klientek. Nasza rodaczka, Lola Prusac, która ma nie dużą, ale bardzo wyborową klientelę, odkrywa tylko pół kolana, bo ona nigdy nie szła na jakieś szablo-

nowe linie czy „looki“ — jej toalety zawsze są projektowane z troską o estetykę, by kobieta wyglądała sztywnie i podobała się, przede wszystkim samej sobie, a następnie „jemu“. Podobnie jak Coco Chanel, ta nieśmiertelna Chanellka, której uroczych kostiumików nikt nie umie podrobić. Coco Chanel nie należy zresztą do syndykatu „haute couture“, a to dlatego, że pozwala swe modele fotografować natychmiast po pokazie, podczas gdy domy należące do syndykatu pozwalają publikować fotografie czy rysunki swych toalet w prasie dopiero miesiąc po rewii. Chodzi tu oczywiście o ochronę ich kreacji artystycznych, by np. w pismach amerykańskich nie ukazały się fotografie nowej rewii nim wysłannicy wielkich domów konfekcji, którzy za drogie pieniądze kupują w Paryżu modele, wróć do siebie do domu. Z fotografii można wiele skopiować.

A dlaczego Chanellka tym się nie martwi? Po pierwsze mówi, że jeżeli ją kopiują, to znaczy że jest coś warta; po drugie trudno ją skopiować. Jej styl jest bardzo prosty, więc: — Na prostocie można się wzo-



PATOU



NINA RICCI



NINA RICCI

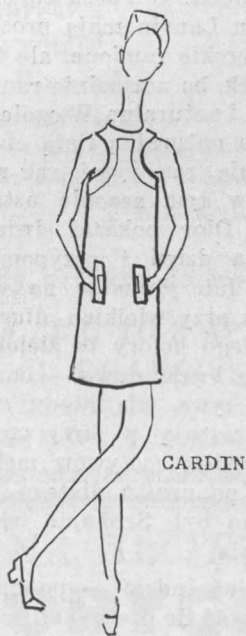


Ch. DIOR

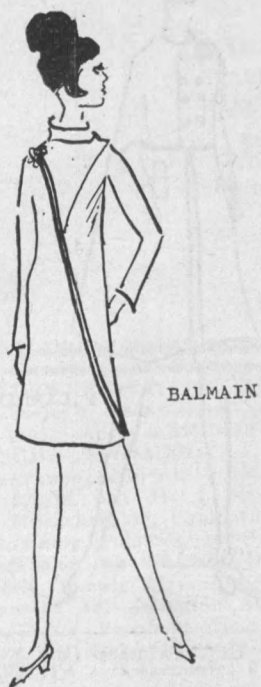
rować, ale nie można jej naśladować, bo prostota jest doskonałością — powiedziała Coco Chanel. Powiedzenie godne filozofa sztuki. Ona też nie skróciła spódnice, bo ta droga poszukiwania nowości nie jest w jej stylu. Zresztą ona nie ubiera podlotków — jest za droga. Jej klientela

KOLANKA, KOLANKA

Jan Claude



to żony potentatów przemysłu i finansjery (ale nie przyjaciółki). To ciekawe że ci mężowie wymagają od żon, by się ubierały u Chanelki, bo to podobno jest im potrzebne do ich „standingu“ (przyjaciółki z taką re-



prezentacją nie mają nic wspólnego i mogą się ubierać u Esterella).

Jak już jestem przy Chanelce, to muszę podkreślić, że ona tyle samo uwagi przywiązuje do nowego kroju toalet, co do nowych materiałów. Te materiały zamawia sama, podaje wzory i zastrzega wyłączność — nikt inny nie może ich kupić. Toteż jej kolekcja jest całą paletą artystycznie dobranych kolorów i jak się nie ma tych materiałów to oczywiście nie można jej skopiować. Podobnie zresztą robi Lola Prusac, które jest jedyną ostatnią w Paryżu posiadającą wspaniały wybór ręcznie tkanych materiałów, które już zanikają, bo nikt ich nie chce robić — są drogie.

Reasumując problem kolanek muszę stwierdzić, że nie ma jedynomyślności i panie, które mają na tyle samokrytycyzmu, że zdają sobie sprawę z ich niedoskonałości, mogą z powodzeniem pozostawić nożyczki w spokoju. Tylko niestety...z tym samokrytycyzmem, a raczej ze znajomością samej siebie, nie jest tak prosto. Ileż to statecznych matron chce koniecznie udawać podfruwajki. Gdy stały się modne obcisłe spodnie, to właścicielki siedzeń i ud ciężkiej wagi zaczęły się opinać, jak nasze babki gorsetami. Zapominają, że obcisła toaleta podkreśla, wydatnia, a nie maskuje obfitych kształtów.

Drugą ciekawą charakterystyką ostatnich rewii jest tendencja „anty Courrèges“ — tak jak by się prawie wszystkie domy umówiły. Zniknęły linie i desenie geometryczne, toalety są opływowe, o liniach miękkich, jednym słowem kobiece. Zresztą Courrèges już drugi sezon nie pokazał swej kolekcji, choć o nim się wciąż mówi i popularne sklepy sprzedają bez przerwy konfekcję w stylu Courrèges. Zdaje się, że już raz pisałem dlaczego tak się stało. Ta geometryczna linia jest bardzo łatwa do naśladowania i wobec tego nikt nie kupował u niego toalet — każda mała krawcowa, każdy zakład konfekcyjny bez najmniejszych tru-

B.D.I.C



dności fabrykował ten styl. No i ci co finansowali Courrègesa stracili pieniądze (a była to wielka włoska firma materiałów) i już z nim nie ryzykowali, bo z ich punktu widzenia kolekcja posiada wartość, jeżeli ma powodzenie, co jest oczywiste, a jak ma powodzenie, to powinna być trudna do imitowania. Ale Courrèges zdobył sobie nazwisko, więc znalazł nowych kapitalistów z dużą forszą (w tym jeden z największych





CARVEN

francuskich banków), tylko że tym razem nie będzie na nowo otwierać wielkiego domu mody, lecz stworzy (a właściwie stworzą mu ci kapitałści) wielką firmę luksusowej konfekcji.

Podobne perypetie finansowe przechodził młody Yves Saint-Laurent. Gdy był kreatorem u Diora, to jego abstrakcyjne modele wzbudzały zachwyt znudzonych brakiem sensacji redaktorek mody, ale kasowo zaczęło to źle wyglądać. Wobec tego Dior (a właściwie jego właściciel, czołowy we Francji fabrykant tekstyli Marcel Boussac — miał coś wspólnego przed wojną z Żyrardowem) podziękował mu grzecznie, ryzykując nawet proces o wielkie odszkodowanie za nieuzasadnione zerwanie kontraktu pracy. Na jego miejsce wziął bardziej realistycznego Marca Bohana i Dior finansowo jest w dalszym ciągu potęgą. A Yves Saint-Laurent zaczął próbować szczęścia otwierając własny dom. Oczywiście nie za swoje pieniądze. Ci co je wykładali zmieniali się dość często, aż wreszcie teraz kupił go Amerykanin

(od innego Amerykanina) Richard Salomon, właściciel 22 salonów pielęgnowania piękności Charles of Ritz. Wydaje się, że mniej on liczy na dom mody, a więcej na duży dom konfekcji pod firmą Yves Saint-Laurent pod nazwą „Rive gauche“, na lewym brzegu Sekwany, właśnie w okolicy piwnic Saint Germain-des-Près. Tam się znajdują klientki — nawet z gotówką. Kiedyś były to piwnice egzystencjalistów, gdzie królował J.P. Sartre i wyznająca jego filozofię młodzież. Dziś kierunek filozofii zmienił się tam zupełnie i młode adeptki tego nowego kierunku mają zwykle bardzo solidny finansowy „backing“, zapewniony przez tych, których żony ubierają się u Chanelki. Są podobno nawet Amerykanie, którzy mają tam swoje „adeptki“ i choć widują je tylko raz, dwa razy na rok muszą płacić za swe filozoficzne studia od stycznia do grudnia (co nie koniecznie pokrywa się z rokiem szkolnym — częściej z kalendarzowym).

Cóż więcej można powiedzieć o tej nowej modzie? Linia jest raczej prosta i czysta, to znaczy bez żadnych fantazyjnych dodatków w rodzaju kap, welonów, skrzydeł nietoperzy u ramion, trenów z którymi nie wiadomo co robić i tym podobnych farfeluszków. Poza tym jest to moda kolorowa, zresztą jak zwykle na wiosnę i na lato. Materiały bardzo lekkie i rzeczywiście z każdym sezonem są coraz lżejsze, sztuka tkania robi postępy — tu już pajęczynki, ale pajęczynki solidne, w efektowne desenie, wiele bardzo przezroczystych, inne mimo lekkości niczego nie odkrywają.

Dziwne rzeczy dzieją się z dekoltem. Na pierwszy rzut oka nie ma go i toalety podchodzą pod szyję. Dopiero przy dokładniejszym badaniu okazuje się, że w wielu wypadkach przesunął się... pod pachę i gdy właścicielka takiej sukni podniesie ramię to widać to wszystko, co zwykliśmy podglądać od przodu przy pomocy starego studenckiego żurawia. Ale to tylko w kilku domach. Kilka innych udaje, że zakrywa wszystko, tylko ta zasłona jest tak przezroczysta, że wszystko widać i trzeba przyznać, że to oglądanie przez mgiełkę ma dużo więcej powa-

bu niż zwykle, staromodne odkrywanie. Finezja.

Dodam, że żakiety kostiumów są w przygniatającej większości krótkie, jedno i dwurzędowe, albo fantazyjnie zapinane z boku, albo wreszcie w ogóle niezapinane, jak niektóre modele Chanelki. U Patou są obfite w plecach, u Lanvin mają prostokątne i dość szerokie ramiona, ale to jedyny wyjątek, bo normalnie ramiona są szczupłe i naturalne. W ogóle toaleta podąża za naturalną linią ciała. Talia wędruje, raz wyżej, raz niżej — nie ma w tym sezonie ustalonego miejsca. Dior pokazał dwie linie, prosta na dzień i przypominająca literę A lub piramidę na wieczór, zwłaszcza przy wielkich, długich sukniach. Jego kolory to zielony, żółty, różowy i granatowy — bardzo soczyste i żywe, ale nigdy ze sobą nie kontrastują w krzyżący sposób. Ma wiele motywów meksykańskich — po prostu dlatego, że tam nie dawno był. Szukając widocznie natchnienia.

Szczęśliwi ludzie — po natchnieniu latają aż do Meksyku. Bo ja tylko do mego „bistro“ na rogu ulicy. I to nie wystarcza.

Jean Claude

Rysunki wykonała

„Claudinette“



P. CARDIN

MOZESZ WYSLAC

WSZYSTKO

przez

Grabowskiego

Lekarstwa

Zywnosc

Pieniadze

Owoce

Ortaliony

(bez podpink i z podpinka)

i tak dalej

Kazdy artykul do wyboru

JESELI LEKI TO Z APTEKI

M. B. GRABOWSKI

175, DRAYCOTT AVENUE,

London, S.W.3. Tel.: KEN 0750



BIURO PODRÓŻY

ANGLOPOL TRAVEL

tuż przy stacji SOUTH KENSINGTON
(róg Exhibition Road — na szlaku Daquise—Ognisko)

38, THURLOE PLACE
LONDON, S.W.7 — Tel.: KENSington 3223

WSZELKIE BILETY, SPROWADZANIE KREWNYCH, WIZY, KUPONY
BENZYNOWE, BONY HOTELOWE, WAKACJE, PRZEKAZY PIENIEŻNE.

PRZEJAZDY SAMOCHODEM NA KONTYNET.

— POPIERAJ FIRMY POLSKIE —

NA ŚWIĘTA!

ORYGINALNE POLSKIE WÓDKI

WÓDKA WYBOROWA 73 Pr. (Blue Label) $\frac{3}{4}$ ltr. — 56/6, $\frac{1}{2}$ ltr. — 37/0,
 $\frac{1}{2}$ but. — 28/6, $\frac{1}{4}$ but. (Flask) — 15/0, Setka — 8/4, Min. — 4/6

WÓDKA WYBOROWA 65.5 Pr. (Red Label) $\frac{3}{4}$ ltr. — 47/6
 $\frac{1}{2}$ but. — 24/3; $\frac{1}{4}$ but. (Flask) — 12/6

WÓDKA LUKSUSOWA 79 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 39/11

WÓDKA KRAKUS 65.5 Pr. $\frac{3}{4}$ ltr. — 47/6; $\frac{1}{2}$ but. — 24/3

WÓDKA SOPLICA 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 37/0

WISNÍOWKA 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 37/0; $\frac{1}{2}$ but. — 28/3

JARZĘBIAK 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 37/-; Setka — 8/6; Min. — 4/6

ZUBRÓWKA 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 37/0; Min. — 4/6
ŚLIWOWICA 69 Pr. $\frac{3}{4}$ ltr. — 54/0; $\frac{1}{2}$ but. — 27/6
WIŚNIAK 42 Pr. $\frac{3}{4}$ ltr. — 42/6; $\frac{1}{2}$ but. — 22/0
KRUPNIK 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 38/6; Min. — 5/0
STARKA 87 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 48/0; Min. — 5/3
SPIRYTUS 100 Pr. $\frac{1}{2}$ but. — 36/9
SPIRYTUS 140 Pr. $\frac{1}{2}$ but. — 49/9; Min. — 7/4
GOLDWASSER 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 37/6; Min. — 4/6
CASSIS 61 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 33/0; Min. — 4/3
WINA OWOCOWE — butelka — 10/9

M I O D Y

WAWEL — Podwójny $\frac{1}{2}$ ltr. — 37/0; Gąsiorek $\frac{3}{4}$ ltr. — 18/0; Setka — 3/3

STAROPOLSKI — Gąsiorek $\frac{3}{4}$ ltr. — 18/0

BABUNIA w specjalnych butelkach — $\frac{3}{4}$ ltr. — 28/6

PIWO TATRA - ŻYWIEC, Okocimskie i Porter

Do nabycia po powyższych cenach w każdym dobrym sklepie win i wódek.

Wyt. Importer

EDOUARD ROBINSON LTD.

21, Old Compton Street, LONDON, W.1.

Tel. GER 3367

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf” — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we FRANCJI: „Syrena-Elka” — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.). Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski — 19, Park View Road, Bradford 9. W BELGII: J. Korab-Brzozowska-Csaky, 116 rue Joseph II, Bruxelles 4, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen, Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNI: „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.”, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf”, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bieńkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa”, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.



GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.

GRYF PUBLICATIONS LTD. I P.C.A. PUBLICATIONS LTD.

171, Battersea Church Road, London, S. W. 11. — Tel. BAT 1445

20, Queen's Gate Terrace, London, S. W. 7. — Tel. KNI 3500

ZAWIADAMIAJĄ O UKAZANIU SIĘ KSIĄŻEK:

Lidia i Adam Ciołkoszowie — HISTORIA SOCJALIZMU POLSKIEGO. Tom I. Str. 520
+ 65 plansz ilustracyjnych.
Cena: 63/-, \$ 9.00 lub F. 40.00.

Na wielką skalę zakrojone dzieło o polskim socjalizmie i polskim ruchu robotniczym od jego początków do czasów Komuny Paryskiej. Autorzy w swej pracy wykorzystali mnóstwo materiałów dokumentarnych, dotychczas nigdzie nieogłoszonych. Nieodzowna książka dla poznania społecznych i politycznych dziejów Polski XIX stulecia, ukazuje w prawdziwym świetle niepodległościowe tendencje polskiego ruchu robotniczego.

Michał Sokolnicki — DZIENNIK ANKARSKI. Stron 576. Ilustracje i indeks.
Cena: 52/6, \$ 7.00 lub F. 42.00.

Senior historyków i dyplomatów polskich, współpracownik Józefa Piłsudskiego sprzed I wojny światowej i w czasie czynu zbrojnego Legionów, autor „Roku 1914“. Druga wojna światowa zastaje go na placówce polskiej ambasady w Ankarze, gdzie przebywa do dziś. Autor pamiętnika przedstawia panoramę wojenną Europy, widzianą oczyma wnikliwego dyplomaty z ważnego i interesującego punktu obserwacyjnego.

Zygmunt Nowakowski — WIECZORY POD DĘBEM. Str. XX + 506. Ilustracje Ireny
Ludwig. Cena: 42/-, \$ 6.00 lub F. 30.00.

Autor — niezrównany felietonista, publicysta, dramaturg i pisarz — występuje tym razem w roli historyka w znakomitym zbiorze gawęd z dziejów Polski. Gawędy swą treścią i formą stanowią wspaniałą lekturę dla każdego czytelnika bez względu na wiek, smak literacki i zainteresowania. „Wieczory pod dębem“ to opowieść o naszej tysiącletniej przeszłości, wyzwolona ze sztywnych więzów pedanterii, błyskotliwa, potoczna, pełna humoru i przypieczętowana historiozoficzną pointą. Każdy rozdział stanowi całość. W sumie książkę czyta się jak najlepsze felietony Nowakowskiego.

Kazimierz Klochowicz — CZTERY NIEDOTRZYMANE PAKTY. Str. około 184.
Cena: 21/-, \$ 3.00 lub F. 15.00.

Zwięzły i syntetyczny przegląd czterech paktów, zawartych przez Polskę, celem ratowania pokoju w Europie. Żaden z nich nie został dotrzymany wobec Polski: pakt nieagresji z Sowietami i Niemcami oraz pakt o wzajemnej pomocy z Francją i Wielką Brytanią. Autor obiektywnie omawia skutki niedotrzymania tych umów nie tylko dla Polski ale i dla całej Europy.

W O P R A W I E

Mina Tomkiewicz — BOMBY I MYSZY. Str. 336. Cena: 35/-, \$ 5.00 lub F. 24.00.

Powieść mieszczańska, obejmuje schyłkowy okres współżycia Żydów i Polaków w Warszawie, okupowanej przez Niemców. Nie jest to powieść bohatera. W piekle warszawskiego getta toczy się w niezwykłych warunkach życie przeciw normalnych ludzi, zwykłych mieszczan — toczy się nieubłagane w kierunku śmierci. Trafność psychologicznych obserwacji, szczerokość ekspresji oraz styl czynią z książki wartościową pozycję w literaturze tego okresu. Przed kilku laty ukazała się ona w przekładzie hebrajskim i została przyjęta pochlebna krytyka.

KALENDARZYK KOMBATANTA NA ROK 1966

W oprawie reksynowej 5/-, w oprawie skórkowej 9/-

Zamówienia przyjmuje: GRYF — KSIĘGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.